

Ocalić od zapomnienia
ten czas i tych ludzi



Ewa Jaworska
Małgorzata Kaczmar

Ocalić od zapomnienia ten czas i tych ludzi

Wspomnienia o profesorach
Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu



Wrocław 2011

Opiniodawca
prof. dr hab. dr h.c Wojciech Wrzesiński

Opracowanie redakcyjne i korekta
Elżbieta Winiarska-Grabosz

Opracowanie komputerowe i projekt okładki
Paweł Wójcik

© Copyright by Ewa Jaworska, Małgorzata Kaczmar
and Wydawnictwo Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu
Wrocław 2011

ISBN 978-83-7717-074-8

WYDAWNICTWO UNIwersytetu PRzyrodniczego we Wrocławiu
Redaktor Naczelny – prof. dr hab. Andrzej Kotecki
ul. Sopocka 23, 50–344 Wrocław, tel. 71 328 12 77, e-mail: wyd@up.wroc.pl
Nakład 300 + 16 egz. Ark. wyd. 11,75 Ark. druk. 19,5
Druk i oprawa: Print Sp. j .

Jestem miejscem, w którym coś się wydarzyło

Claude Lévi-Strauss

Wstęp

Pomysł na spisanie wspomnień o dawnych profesorach i mistrzach zrodził się chyba w kilku głowach naraz. Tak to bywa z dobrymi pomysłami, że na wszelki wypadek kiełkują w kilku miejscach, zanim zostaną urzeczywistnione. W każdym razie pan rektor, prof. Roman Kołacz wypowiedział myśl o wydaniu wspomnień 22 stycznia 2010 r. Datę mogę wskazać dokładnie, ponieważ w kalendarzu z tego roku mam pod nią notatkę służbową, zresztą od tego dnia i tej rozmowy rozszerzył się zakres zadań powierzanych wydawnictwu uczelnianemu, co dodatkowo utrwaliło ostatnie dni stycznia w pamięci. No więc pomysł został wypowiedziany, a nawet trochę przedyskutowany, ale później przykryła go masa innych zajęć. Przypomniał o sobie rok później, kiedy Koncertem Noworocznym 14 stycznia 2011 r. zainaugurowany został jubileusz 60-lecia uczelni. Wtedy okazało się, że podobną ideę miały również panie Maria Wanke-Jerie – dyrektor Biura Informacji i Promocji oraz Małgorzata Wanke-Jakubowska – rzecznik prasowy uczelni, przynosząc rektorowi książkę opublikowaną z okazji jubileuszu Uniwersytetu Wrocławskiego. Jak widać, jubileusze sprzyjają ciekawym przedsięwzięciom, które w innych okolicznościach odkłada się na później. W każdym razie rektor do rozmowy sprzed roku wrócił, a niżej podpisana

została zmobilizowana do działania i zaprosiła do współpracy dziennikarkę Małgorzatę Kaczmar.

Zabierając się do pracy, wyobrażałyśmy sobie tę książkę: o kim i o czym ona będzie, jaki zdobędziemy materiał i jak ułoży się narracja. Przeprowadzane rozmowy, gromadzone i analizowane wspomnienia zmieniły kilka razy koncepcję książki. Ze wspomnień wyłaniały się postacie profesorów – wyraziste osobowości o wybitnej inteligencji, ludzie pełni pasji i życzliwości, których nawet bardzo ludzkie niedoskonałości były pociągające...

Nie pytałyśmy o szczegółowe koleje życia, kariery czy rozwoju naukowego – opracowanie biografii wymaga zupełnie innego podejścia metodologicznego, innych źródeł itd. Natomiast chciałyśmy wiedzieć, jacy byli Konopiński, Bac, Olbrycht, Szczudłowski i inni. Interesowało nas zarejestrowanie tego, co ulotne – osobistych wspomnień i wrażeń. Jeden z naszych rozmówców, docent Donat Dejas powiedział na wstępie: „O tym się nigdy nie pisze, bo to właściwie życie codzienne” – o tym właśnie chciałyśmy napisać, mając świadomość, że będzie to obraz odtwarzany przez naszych rozmówców po wielu latach. Obraz niepełny. Relacje te, choć nacechowane nieuniknionym subiektywizmem, niewątpliwie utrwalają część dziejów uczelni.

Tworząc tę książkę, zastanawiałyśmy się nad tym, kim jest Mistrz. Otóż, jest to osoba, która nie tylko ma wiedzę i umiejętności, ale jak magnes przyciąga do siebie uczniów, dając im część siebie. Nasi rozmówcy opowiadali o swoich Mistrzach, choć byłyśmy świadome, że w wielu wypadkach sami są nimi od dawna. Zresztą wspomnienia nie pozostawały oderwane od współczesności. Wywoływały refleksję o zaszczipionych wartościach i ideach, które przekazuje się dalej, choć w zmienionych

warunkach. Niewątpliwie bohaterami tej książki są zarówno ci, o których opowiadano, jak i ci, którzy opowiadali.

Jedną z pierwszych osób, którą poprosiłam o wywiad, za pośrednictwem pani profesor Bożeny Obmińskiej-Mrukowicz, był profesor Tadeusz Garbuliński. Miał 91 lat, a cztery miesiące wcześniej, w październiku, brał udział w obchodach 65. rocznicy powstania Wydziału Medycyny Weterynaryjnej. W styczniu nie zgodził się na rozmowę, przekładając ją na czas, kiedy poczuje się lepiej. Niestety, nie zdążyliśmy się spotkać. Odszedł 22 lutego 2011 r.

Większość rozmów została przez nas nagrana i zarchiwizowana. Poszczególne fragmenty, z których składa się niniejsza książka, napisałyśmy na podstawie przesłuchiwanych nagrań. Kilka tekstów nasi rozmówcy przygotowali osobiście i te zostały podpisane ich nazwiskami.

Nie ma w tej książce wszystkich, którzy powinni w niej być. Nie do wszystkich osób udało nam się dotrzeć i nie o wszystkich napisać, wierząc, że książka ta to dopiero początek wspaniałej przygody, jaką jest zbieranie wspomnień i doświadczeń ludzi związanych z Uniwersytetem Przyrodniczym we Wrocławiu.

Wszystkim naszym rozmówcom bardzo dziękujemy za ich wspomnienia i fotografie oraz za ich cierpliwość i zaufanie. Słowa podziękowania kierujemy również do prof. Romana Kołacza Rektora Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu, który był inicjatorem powstania tej książki.

Ewa Jaworska

Uczelnia powstaje z gruzów

Ta historia zaczyna się w folwarku na Nowogródczyźnie, a kończy – w stolicy Dolnego Śląska. Biegnie przez Zagłębie Donieckie i Wielkopolskę aż do Wrocławia. To historia niezwykła, bo opowiada o losie człowieka, który widział, jak miasto nad Odrą powstaje z gruzów, uczestniczył w wykładach pierwszej uczelni – wtedy jeszcze połączonej politechniki i uniwersytetu; słuchał wykładów osób, które dziś są legendami – prof. Kosiby, Stysia, Tołpy. Ale od początku.

Urodził się na Nowogródczyźnie, a dorastał w okresie, gdy granice państw zmieniały się jak w kalejdoskopie. 17 września 1939 r. do Polski wkroczyli Sowieci. Jerzy Kiersnowski, późniejszy wykładowca Uniwersytetu Przyrodniczego, doskonale pamięta strach przed bolszewikami, którzy w 1919 r. rozstrzelali jego dziadka, a w 1939 r. – na gazonie przed dworem – wuja. 17 września 1939 r. wraz z rodzicami i siostrą opuścił majątek położony między Wilnem a Lidą. Wsiedli do ostatniego pociągu, szybkiej Lux-torpedy. W największym niebezpieczeństwie był ojciec, kapitan rezerwy Wojsk Polskich, odznaczony w wojnie polsko-bolszewickiej.

Kilka tygodni później, 27 października, bolszewicy oddali Wilno Litwinom, którzy przez osiem miesięcy mogli się cieszyć

niepodległym państwem. Niedługo, bo wkrótce znów wrócili bolszewicy. Rok później, w 1941 r. wybuchła wojna niemiecko-radziecka, więc na Wileńszczyznę wkroczyli żołnierze Wehrmachtu. W tym czasie przyszły wykładowca Uniwersytetu Przyrodniczego, Jerzy Kiersnowski, miał 18 lat i właśnie zdał maturę. Na pamięć znał międzynarodówkę w czterech językach – po polsku, rosyjsku, litewsku i francusku. W szkole obowiązkowo uczył się historii WKP(b)¹. Chodził do prestiżowej szkoły, która przed wojną nosiła imię Króla Zygmunta Augusta, a jej absolwentami byli m.in. Czesław Miłosz i rotmistrz Witold Pilecki².

W czasie okupacji niemieckiej Jerzy Kiersnowski wraz z oddziałami AK rozpoczął marsz na Wilno w ramach operacji Ostra Brama³. Po zdobyciu miasta przywódca AK, ppłk Aleksander

¹ WKP(b) – Wszechzwiązkowa Komunistyczna Partia (bolszewików).

² Witold Pilecki (1901–1948) – rotmistrz Kawalerii Wojska Polskiego, żołnierz AK. W celach wywiadowczych przedostał się w 1940 r. do obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau, gdzie zorganizował ruch oporu i skąd uciekł trzy lata później. Uczestnik Powstania Warszawskiego. Autor pierwszych na świecie raportów o holocauście, tzw. Raportów Pileckiego, oskarżony przez komunistyczne władze Polski Ludowej i skazany na karę śmierci. Wyrok wykonano w 1948 r., natomiast w 1990 r. rehabilitowany. Pośmiertnie odznaczony Orderem Orła Białego.

³ Operacja Ostra Brama – rozpoczęta 7 lipca 1944 r. akcja zbrojna AK, która miała na celu oswobodzenie Wilna z rąk Niemców. Do działań w mieście żołnierzy przygotowywał, na rozkaz gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego, ppłk. Aleksander Krzyżanowski – „Wilk”. Po sześciu dniach połączone siły AK i Armii Czerwonej zdobyły miasto, „Wilk” kazał zgromadzić oddziały na skraju Puszczy Rudnickiej, a sam udał się na spotkanie z gen. Czerniachowskim. Z tego spotkania już nigdy nie wrócił.

Krzyżanowski został aresztowany, podobnie jak oficerowie, otoczeni i rozbrojeni przez Sowieców. Żołnierzy AK gromadzono w zamku w Miednikach Królewskich⁴, kilku batalionom udało się jednak zbiec do Puszczy Rudnickiej. Wśród nich była jednostka Jerzego Kiersnowskiego, której przewodził porucznik o pseudonimie „Licho”. Od sierpnia do momentu, gdy spadł pierwszy śnieg, ukrywali się z bronią w lasach.

Gdy nadeszła zima, krycie się w lesie zaczęło stanowić pewną śmierć. Kiersnowski zamieszkał na terenie majątku w Jaszunach, którym niegdyś władali bracia Śniadeccy, a przyjeżdżał tam sam Juliusz Słowacki. Pracę znalazł w tartaku za miasteczkiem.

– Ta idylla trwała krótko, ze trzy tygodnie – wspomina Kiersnowski. – Potem tartak otoczyli Sowieci, ustawili nas w szeregu i dokonali tzw. selekcji. Przez te kilka tygodni pracy jego ręce nabrały robotniczego wyglądu. Ubrudzone smołą stanowiły dowód ciężkiej pracy. Ale i tak nie uchroniły przyszłego wykładowcy Uniwersytetu Przyrodniczego od wywózki.

W trzaskający mróz, wraz z innymi zatrzymanymi, przeszedł na piechotę 24 kilometry. Po dwóch miesiącach spędzonych w więzieniu na Łukiszkach, w smrodzie i brudzie, głodnych więźniów Sowieci zapakowali do wagonów towarowych. W każdym jechało 40 osób.

– Wagon... W kącie była dziura w wiadomym celu, a pośrodku – piecyk żelazny. Spaliśmy jeden na drugim. Karmili nas raz dziennie – zazwyczaj była to brązowa zupa „pachlopka”, w której pływały ości ryb i łupiny ziemniaków. Do tego 200 gramów

⁴ Miedniki Królewskie, miejscowość na drodze Wilno-Mińsk, słynna z XV-wiecznego zamku. W lipcu 1944 r. na zamkowym dziedzińcu NKWD więziło 7 tys. żołnierzy AK.

chleba – opowiada Jerzy Kiersnowski. – Na koniec dwutygodniowej jazdy dali nam małą, słoną rybkę, którą jadło się razem z ogonem i łbem. Po tym strasznie chciało się pić. Błagaliśmy o wodę, ale ponieważ byliśmy jakieś trzy dni drogi od celu, żołnierze radzieccy stwierdzili najwidoczniej, że to nie ma sensu. Gdy ci, co przeżyli, dojechali na miejsce, od razu rzucili się do picia wody z czarnej od węgla kałuży. Potem dostawali krwawej biegunki i po trzech dniach umierali – dodaje.

Po dwóch tygodniach podróży docent Kiersnowski był przekonany, że jest w Azji. Tymczasem okazało się, że transport dojechał do Stalino, miasta, które za czasów carskich nazywało się Juzowka, a obecnie nosi nazwę Donieck. Dookoła – szachty, czyli kopalnie węgla. I praca w obozie od rana do nocy.

– Odkryłem najlepszy sposób na uniknięcie ciężkiej pracy: udawanie głupiego. Można się było na ochotnika zgłaszać do pracy pod ziemią, ale to się kompletnie nie opłacało. Wprawdzie dostawało się przydział kilograma chleba, zamiast 600 gram dziennie, ale przeżycie po kilku miesiącach pracy w kopalni było cudem – mówi.

Tymczasem, zrzędzeniem losu, okazało się, że Kiersnowski został wywieziony do Donbasu bez wyroku. Zastanawiał się, jakie Sowietom mogą mieć przeciwko niemu dowody. Wkrótce został wezwany na tzw. badanie do NKWD. *Ty miałeś brata w wojsku niemieckim* – powiedział oficer. Tymczasem rodzina Kiersnowskiego nigdy nie miała nic wspólnego z Wehrmachtem, poza tym on sam nie miał brata.

– Więc ja sobie pomyślałem: *Przecież ty nic o mnie nie wiesz.* I zacząłem zmyślać, że Czemiérówka, majątek, w którym się urodziłem, leży pod Warszawą. I to chwyciło.

Przyszły wykładowca Uniwersytetu Przyrodniczego został skierowany do obozu innostronnych poddanych, czyli obcych

obywateli w Gorłowce niedaleko Stalino – byli tam Serbowie, Chorwaci, Słowacy, a nawet jeden Anglik. I oczywiście Polacy. Kilku chłopaków z Łodzi, którzy przygarnęli go do siebie. Zrobili Kiersnowskiemu nawet nóż i namawiali do ucieczki.

– Ale ja, z doświadczeniem partyzanckim, znając tamten teren, nie chciałem ryzykować. Oni rzeczywiście uciekli, ale chyba po drodze zginęli, bo potem nic już więcej o nich nie słyszałem – mówi dziś Jerzy Kiersnowski. – Wprawdzie były przypadki, że ucieczki dochodziły do skutku... Np. profesorowi Karpińskiemu, który potem pracował na Akademii Sztuk Pięknych we Wrocławiu się udało. Ale ja wolałem zostać – wyjaśnia.

Znów zaczęła się zima. Oficerowie NKWD zaczęli przygotowywać więźniów do powrotu. Znów wsadzili ich do towarowych wagonów, choć tym razem więźniowie mieli do dyspozycji „luksusowe” prycze. Pociąg jechał na zachód, a młody Kiersnowski zastanawiał się, czy już przejechali granicę. Po raz pierwszy był tego pewien, gdy minęli Równe, ale okazało się, że granice Polski się zmieniły. Jechali więc dalej. W Radomiu Urząd Repatriacyjny dał byłym więźniom jedzenie i trochę bielizny. Gdy dojechali do Leszna, w wagonach wybuchł bunt: wszyscy obawiali się, że z rąk Sowietów wpadną w ręce Niemców. Kiersnowskiego wypuszczono w Poznaniu. Przyznał się, że umie czytać i pisać, więc szybko znalazł pracę: wypisywał PUR-owskie⁵ zaświadczenia. Miał wgląd do akt, postanowił więc zajrzeć także do swoich.

– Postawiono mi zarzut: „Był w Białopolakach⁶ albo miał z nimi związek”. Był albo miał. Czyli nic o mnie nie wiedzieli.

⁵ PUR – Państwowy Urząd Repatriacyjny.

⁶ Białopolacy – tak nazywano żołnierzy AK.

Poczułem ulgę, bo gdyby chwycili mnie z bronią w rękę, pewnie skończyłbym na Magadanie⁷ – opowiada Kiersnowski.

Odszukał rodzinę – okazało się, że mieszkają w Brzegu nad Odrą. Dotarł tam – tę datę pamięta dokładnie – 4 stycznia 1946 r. Był skrajnie wyczerpany, zapuchnięty i zawszony. Na początku rodzice nie dawali mu się najeść do syta, bo obawiali się, że dostanie skrętu kiszek. Po jakimś czasie, gdy doszedł do siebie, zaczął myśleć, co dalej robić. Przed wojną marzył o studiach na architekturze, ale bał się, że ma zbyt duże braki, by się dostać na te studia. Zaczął myśleć o rolnictwie – w końcu i dziadek, i ojciec, i stryj byli rolnikami. Tak trafił na Wydział Rolniczy. Był studentem pierwszego rocznika Wydziału Rolniczego połączonych Uniwersytetu i Politechniki.

Na pierwszym roku mieszkał u ciotki, a potem przeprowadził się do akademika przy ul. Malczewskiego na Biskupinie, przez wszystkich nazywanego „Domem Rolników”.

– Naszabrowaliśmy sobie mebli, każdy miał swój pokój, pełen luksus – mówi dziś z uśmiechem Kiersnowski.

Szybko dodaje jednak, że brakowało drewna na ogrzewanie. Wprawdzie pokój ogrzewał energią elektryczną z kuchenki, ale i tak w nocy zamarzała mu woda w miednicy. Koledzy zawsze się dziwili, jak może spokojnie spać, gdy temperatura w pokoju spada poniżej zera. Ale on do zimy był przyzwyczajony.

Pamięta Straż Akademicką, formację, która miała pilnować dobytku uczelni przed żołnierzami radzieckimi.

⁷ Magadan – jeden z punktów archipelagu GUŁAG, port nad Morzem Ochockim, miasto w azjatyckiej części Federacji Rosyjskiej, mieszczą się tam kopalnie złota i ołowiu, w których pracowali więźniowie – na przełomie 1940/1941 r. przywieziono tu 12 tys. Polaków. W zimie temperatura spada do -40 stopni Celsjusza, a w lecie osiąga maksymalnie 16 stopni.

– Sowieci często przychodzili do zakładów naukowych i szukali słoików wypełnionych alkoholem, w których trzymane były preparaty. Poza tym – kradli. Wobec tego studenci zorganizowali Straż Akademicką, dostali karabiny i pilnowali, by z uczelni nic nie zginęło – opowiada.

Pierwszym komendantem straży został student z Wydziału Rolniczego – Lis. Kiersnowski pamięta go doskonale, bo był rubaszny i kochał dowcipy. Lubił zakładać jedną rękę za plecy i przechadzać się po chodniku krokiem Napoleona. Potem Straż Akademicka została rozbrojona, bo władze nie chciały mieć w mieście uzbrojonej młodzieży. Profesor Zbigniew Samborski, wówczas jeden ze studentów, którzy pilnowali dobytku uczelni, opowiadał Kiersnowskiemu, że w okolicach pl. Grunwaldzkiego odbywały się w 1946 r. regularne strzelaniny. Zresztą, dzielnica była wtedy niebezpieczna. Wszędzie leżały gruzy, strzelano z piwnic.

– Tam, gdzie dziś przy ul. Skłodowskiej-Curie stoi Instytut Elektrotechniki, było gruzowisko. Przed wojną stał tam tzw. Soldatenhaus, piękna kamienica z płaskorzeźbami żołnierskich twarzy na elewacji. W czasie Festung Breslau w budynek trafiła bomba – opowiada Jerzy Kiersnowski.

Gruzowisko uprzątnięto dopiero w 1947 r.

– Na własne oczy widziałem urwaną do kolana nogę w żołnierskim bucie, która wystawała spod tych gruzów. Wszędzie unosił się zapach trupów – mówi profesor.

Jerzy Kiersnowski pamięta też inne wydarzenie z tych pierwszych miesięcy spędzonych we Wrocławiu. Był 3 maja 1946 r. Studenci postanowili zorganizować pochód. Plan był następujący: przejdą ul. Olszewskiego, przez pl. Grunwaldzki do Rynku. Gdy dotarli do ul. Nowowiejskiej, Kiersnowski zauważył wojskowych ukrytych w bramach kamienic. Milicjanci chodzi-



li wtedy w wojskowych mundurach, tylko na ramionach mieli biało-czerwone opaski z napisem MO.

– Więc myślę: *O, takie numery nie ze mną, starym partyzantem*. I dałem nogę – mówi Kiersnowski.

Ale tłum szedł dalej – studentów rozpędziła potem milicja. Podobna historia powtórzyła się rok później, gdy w nocy gdzieś na Ołbinie zastrzelono maturzystę z I LO przy ul. Poniatowskiego.

– Studentów to strasznie poruszyło, zrobili pochód z Biskupina na Poniatowskiego. Milicja znów rozpędziła tłum, a ja znów stamtąd uciekłem. Wolałem być ostrożny. Mnie te moje wojenne doświadczenia trochę chroniły – mówi Kiersnowski.

Po wojnie życie akademickie powoli wracało do normy. Pierwsi studenci, w roku akademickim 1945/1946, mogli w stolicy Dolnego Śląska wybrać tylko jedną uczelnię – połączone uniwersytet z politechniką. A w 1945 r. odbyły się jedynie dwa wykłady. Nie było indeksów, tylko papierowe karty egzaminacyjne. Studenci musieli czekać na indeksy trzy semestry.

Do Wrocławia zjeżdżali ludzie z całej Polski, również ze Lwowa. Ale byli też repatrianci z Wilna, byli Ślązacy i ci, którzy uciekli z Warszawy.

– Wszyscy po przejściach, ale o tym raczej się nie mówiło. Byliśmy szczęśliwi, że przeżyliśmy, przeszłość chcieliśmy zostawić za sobą – podkreśla Jerzy Kiersnowski.

Wydział zaczął organizować prof. Tadeusz Konopiński, który był poznaniakiem.

– Szczycił się tym, że organizował PWK – Państwową Wystawę Krajową, która odbyła się w 1928 r. w stolicy Wielkopolski. Jako pierwszy przyjechał do Wrocławia i zbierał studentów, by stworzyć Wydział Rolniczy. Był bardzo jowialny i dowcipny, potrafił zjednać sobie ludzi – opowiada Kiersnowski.

W gmachu przy ul. Norwida mieścił się nie tylko Wydział Rolniczy, lecz także weterynaria. Przed wojną Niemcy planowali wybudować nowy gmach u zbiegu ulic Norwida i osi pł. Grunwaldzkiego. Nie zdążyli – udało im się wyciągnąć budynek tylko do pierwszego piętra i w takim stanie przejęli go Polacy. Dlatego zajęcia dla wszystkich studentów – i weterynarii, i rolnictwa, odbywały się w jednym budynku przy ul. Norwida.

– Tłok był niesamowity – śmieje się prof. Kiersnowski.

Sytuacja była o tyle skomplikowana, że w jednym pomieszczeniu urzędował nie tylko lwowiak, prof. Aleksander Tychowski, lecz także jego asystent, Franciszek Nowotny, który Katedrę Rolnictwa prowadził tuż po wojnie na Politechnice Wrocławskiej. Przez jakiś czas na „wspólnej ziemi” funkcjonowały więc dwie katedry – dla Wydziału Chemicznego Politechniki i dla Wydziału Rolniczego Uniwersytetu. To właśnie tam przyszedł docent Kiersnowski pisać pracę magisterską, a później pracował – najpierw jako wolontariusz, później – jako asystent.

Pierwszym dziekanem Wydziału Rolniczego został profesor Bolesław Świętochowski, który studia skończył w Warszawie, a potem pracował w stacji doświadczalnej w Sarnach na pograniczu Wołynia i Polesia. Po nim władzę objął profesor Stanisław Tołpa, znany z badań nad torfem.

– Już jako asystent badałem nawet na zlecenie profesora Tołpy wysuszony wyciąg torfowy pod kątem przydatności technologicznej – opowiada Kiersnowski.

Sprawdzał, jak zachowują się drożdże i kiełkujący jęczmień w kontakcie z preparatem torfowym. Niestety, okazało się, że preparat nie ma właściwości stymulujących.

– Poszedłem powiedzieć profesorowi o wynikach badań. Gdy skończyłem, podsumował niewzruszony: *Panie Kolego, najwi-*



doczniej złą metodę badań Pan wybrał – opowiada Kiersnowski. Dodaje, że potem kilka razy prosił nawet profesora o wyciągi torfowe dla kolegów, którzy chorowali na raka, panowało bowiem przekonanie, że preparat może zwalczyć chorobę.

– I Tołpa bez słowa mi je dawał – podkreśla Jerzy Kiersnowski.

Kadra profesorska była prawdziwą galerią osobowości. Studenci lubili przedwojenny styl wykładania prof. Tołpy, z radością chodzili też na zajęcia prof. Konopińskiego, znanego z tego, że swoje naukowe wywody przerywał dowcipami. Za to jak ognia bali się profesora Tadeusza Olbrychta.

– Był dziwakiem i cholerykiem – wyjaśnia Kiersnowski – Przyjechał do Wrocławia z Anglii, gdzie był specjalistą od genetyki zwierząt, we Wrocławiu wykładał ogólną hodowlę zwierząt. Studenci często obserwowali w czasie sesji, jak z okien ogromnego gabinetu prof. Olbrychta wylatują indeksy.

– Gdy się zdenerwował, po prostu je wyrzucał – wyjaśnia Kiersnowski. – Poza tym już od progu wiedział, który student zaliczy egzamin, a który nie – dodaje.

Jedną z najciekawszych postaci był prof. Wincenty Styś, którego imieniem nazwano później salę wykładową na Uniwersytecie Ekonomicznym. Pracował na Wydziale Prawa, a studentom rolnictwa wykładał ekonomię społeczną. Na zajęciach nie krył opinii, że nie istnieje coś takiego jak ekonomia socjalistyczna. Mówił, że prawo podaży i popytu działa wszędzie.

– Tłumaczył: *Mogą wam wciskać ekonomię socjalizmu, ale pójdźcie tylko na szaberplac, a zrozumiecie, jak działa wolny rynek* – wspomina Kiersnowski. – Szybko dopadła go partia i zdegradowano go do stopnia woźnego. Dopiero po 1956 r., po odwilży, wrócił do łask... i znów wykładał ekonomię polityczną. Tych wykładów słuchaliśmy z zapartym tchem. To był niesamowity człowiek – podkreśla Kiersnowski.

W indeksie wykładowcy Uniwersytetu Przyrodniczego widnieje też nazwisko prof. Eugeniusza Ralskiego, który ani razu nie pojawił się na żadnym wykładzie. Aresztowano go w 1947 r. Profesorowie uczelni, chcąc ratować koleżkę, wpisywali go jako egzaminatora – wierzyli, że dzięki temu Ralskiego wypuszczą. Niestety, to nie pomogło. – profesor spędził w więzieniu prawie 10 lat. Napisał tam kilka podręczników z fitopatologii – chorób roślin.

– Potem go raz widziałem, gdy przyszedł odwiedzić prof. Tychowskiego. Ale w czasie studiów – w ogóle – mówi Kiersnowski.

Był też profesor Zygmunt Markowski, sława z Akademii Weterynaryjnej we Lwowie, który na pierwszym roku wykładał propedeutykę weterynarii. Starszy pan, kawaler, z siwymi bokobrodami. Jego wykłady stanowiły swoisty rytuał: najpierw do sali wchodził woźny, niosąc fotel dla wykładowcy. Dopiero kilka minut później pojawiał się dostoyny profesor i rozpoczynał wykład w starym, przedwojennym stylu.

Chemii uczył prof. Edwin Płażek, profesor, który miał wykłady nie tylko dla Wydziału Rolniczego, lecz również dla żaków Politechniki. Zajęcia odbywały się w sali nr 5, pozbawionej szyb w oknach. Nie było też krzeseł – ani dla studentów, ani dla wykładowcy.

– Profesor stał w płaszczu, my wszyscy – w płaszczach. Więc kiedyś wybraliśmy się do Hali Ludowej, wzięliśmy stamtąd krzesła i przetransportowaliśmy je na uczelnię – śmieje się prof. Kiersnowski.

Profesora Edwina Płażka wspomina także Maria Radomska:

– Koledzy pracowali, często nocami, spali wówczas podczas wykładów. Nie było sesji egzaminacyjnych, profesor po prostu wyznaczał termin egzaminu i studenci przychodzili. Pamiętam wypadek na moim roku, że kolega chemię ogólną z pierwszego semestru zdawał jako ostatni egzamin przed dyplomem. Nie



zdał raz, drugi, a później wstydził się przychodzić. Ten egzamin był u profesora Edwina Płażka, uczonego z Politechniki Lwowskiej, który był oficerem AK i więźniem NKWD w 1944 r. Profesor jako więzień pracował fizycznie w kopalni antracytu. We Wrocławiu mieszkał na Biskupinie, miał zwyczaj egzaminowania w domu, często na leżąco, czasem rzucał za studentem indeksem, czasem kapciami.

Wielką sympatią studenci darzyli profesora Aleksandra Kosibę – jego wykłady z meteorologii cieszyły się wielką popularnością.

– Opowiadał nam o swoich wędrówkach na Spitsbergen, bo brał udział w licznych wyprawach badawczych. Ale egzaminatorem był surowym – podkreśla Kiersnowski. I dodaje, że jego kolega, rekordzista, podchodził do egzaminu z meteorologii siedem razy. I za każdym razem profesor Kosiba wyrzucał go za drzwi. Jak wyglądał taki egzamin? Otóż ów nieszczęśnik, który próbował uzyskać zaliczenie już po raz siódmy, wszedł do gabinetu profesora. Zrezygnowany Kosiba zapytał, wskazując okno: *No, jakie to chmury?* Student na to: *Stratocumullusy.* Więc profesor: *No dobrze, a będzie z nich padał deszcz, czy nie?* Na to kolega: *Będzie padał.* Profesor Kosiba wziął indeks i wpisał dwóję.

– Kolega wychodzi z gabinetu, a tu nagle jak nie lunie. Więc wraca szybko do profesora i mówi: *Panie profesorze, przecież pada deszcz.* A profesor na to: *Ale nie powinien* – śmieje się prof. Kiersnowski.

O egzaminie u profesora Aleksandra Kosiby opowiada również prof. Maria Radomska:

– Egzamin z meteorologii w terminie kwietniowym w katedrze przy ul. Cmentarnej. W drzwiach stał laborant i mówił po cichu: *front atmosferyczny.* Był to dzień, kiedy profesor na okrągło pytał: słońce, ulewa, śnieg, znowu słońce. Laborant tak dyskretnie

podpowiadał, czego należało się spodziewać. Gabinet niewielki, profesor siedzi, student wchodzi i czeka. Na stole leżał zegarek i profesor pytał: *co to jest*, jeśli się odpowiedziało: *zegarek* – profesor dziękował i było po egzaminie, bo odpowiedź prawidłowa brzmiała chronometr. Następne pytanie dotyczyło życiorysu. W moim życiorysie był rok spędzony we Włoszech, w związku z czym Kosiba kazał mi scharakteryzować klimat Włoch. W meteorologii byłam biegłą, ponieważ na wakacjach z koleżanką robiłyśmy kurs żeglarski i uczyłam się z podręcznika meteorologii dla żeglarzy. Wiedziałam trochę więcej i dostałam bardzo dobry.

Dziś imię prof. Aleksandra Kosiby nosi ulica na Sępolnie, przy której stoi Obserwatorium Meteorologiczne.

Prof. Jerzy Kiersnowski doskonale pamięta wakacyjne prace, które wykonywał jako student, a potem – także jako asystent, szczególnie – akcję szukania stonki, gdy partia nastraszyła rolników, że kapitaliści będą zrzucać szkodniki z samolotów i przewozić pociągami.

– Zmobilizowano więc studentów do obserwowania granic Polski, żeby ta stonka nie przeszła. W Międzyzlesiu na stacji pilnowaliśmy ziemi kłodzkiej, dostaliśmy z demobilu amerykańskie spodnie, buty, swetry. I jeszcze 15 tys. zł miesięcznie – opowiada prof. Jerzy Kiersnowski.

Pracował również jako likwidator szkód gradowych. Wyposażony w odpowiedni sprzęt mierzył stopień uszkodzenia roślin po gradobiciu i wyliczał wysokość ewentualnego odszkodowania.

– Dostawaliśmy delegacje, pensje, a jeszcze nas ci rolnicy karmili. Bo uważali, że jeśli dobrze nas przyjmą, to wyliczymy im wyższe odszkodowanie – opowiada prof. Kiersnowski.

W 1948 r. pracował przy Wystawie Ziem Odzyskanych – obsługiwał laboratorium stacji chemiczno-rolniczej. Na własne oczy widział Pablo Picasso i Nerudę.

Gdy sięga pamięcią do początków uczelni, mówi:

– To był zgrany rok, świetni studenci, ale też doskonali wykładowcy.

Po studiach przez długi czas, jako były starosta roku, co 5 lat organizował zjazdy dla kolegów i profesorów. Prof. Tadeusz Rubenbauer przyjeżdżał, by się spotkać ze swoimi byłymi studentami, aż z Krakowa. Absolwenci Wydziału Rolniczego zjeżdżali na to spotkanie z całej Polski, regularnie co pięć lat. A prof. Kosiba był raz tak zaaferowany zjazdem, że się pomylił... i przyjechał o cały miesiąc za wcześnie.

O tym, jak profesor Tołpa...

...wjechał do Wrocławia na wielbłądzie

Jest rok 1945. Profesor Stanisław Leon Kulczyński, absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego, profesor Katedry Systematyki i Morfologii Roślin na Uniwersytecie im. Jana Kazimierza we Lwowie i rektor tej uczelni, ściąga swoich byłych uczniów i współpracowników ze Lwowa do Wrocławia, żeby wraz z nimi stworzyć w stolicy Dolnego Śląska nową uczelnię.

– Pierwszy rektor uczelni prezentował dość nietuzinkowy pogląd: z jednej strony uczniów chciał mieć blisko, z drugiej – jak najdalej. I dlatego jak już zebrał towarzystwo, wszystkich poumieszczał w różnych katedrach – śmieje się prof. Jerzy Fabiszewski.

Do naukowej grupy chce dołączyć profesor Stanisław Tołpa. Dociera do Trzebnicy, ale napotyka na szlabany i sowieckie kontrole. W końcu, na jednej z łąk zauważa wielbłąda.

– W tamtym czasie to go jakoś specjalnie nie zdziwiło, Rosjanie mieli różne rzeczy. Zresztą, profesor się za bardzo pochodzeniem zwierzęcia nie interesował. Miał przy sobie pół litra samogonu i za te pół litra kupił wielbłąda – opowiada prof. Fabiszewski.



Po paru godzinach, w dość niespotykany sposób, dociera do Wrocławia. Na studentach robił wrażenie surowego. Wysoki, przystojny mężczyzna, szczupły, łysy jak kolano, zawsze w eleganckim kapeluszu. Jego postura budziła respekt – przypominał rzymskiego patrycjusza.

– Gdy się stało z lewej strony, przekładał teczkę do prawej ręki, a lewą uchylał kapelusza. A jeśli ktoś był z prawej, przekładał teczkę do lewej, żeby tym kapeluszem nie machnąć przed nosem – wspomina profesor Waław Leszczyński.

Profesor Stanisław Tołpa kochał swoją pracę. Przychodził na uczelnię ok. 8.00, o 14.00 jechał do domu przy ul. Rozbrat na obiad, a potem wracał i siedział w gabinecie do późnego wieczora. Lubił pisać podręczniki.

– Nie wiem, czy lubił wykłady; nigdy nie miałem okazji go posłuchać jako student – wspomina prof. Jerzy Fabiszewski. – Skończyłem biologię na Uniwersytecie Wrocławskim, a pod skrzydła profesora dostałem się już jako magister – podkreśla. – Słuchałem za to jego referatów – były ciekawe i nowatorskie. Świetnie się ich słuchało. Mówił, nigdy nie czytał z kartki – dodaje.

Natomiast profesorowi Leszczyńskiemu świetnie zapadł w pamięć jeden z wykładów profesora Tołpy.

– Wykładowca zawsze na początku zajęć prosił o przypomnienie, o czym mówił ostatnio. Mówił: *Na ostatnim wykładzie mieliśmy...* i wskazywał... *może pan powie*. I akurat trafił na kolegę Leszczyńskiego, Edzia. Więc chłopak odpowiada:

– *O... o... o... inwertazie.*

– *A co robi inwertaza?* – dopytuje wykładowca. Koleżanki podpowiadają *...inwertuje.*

– *A co inwertuje?* – drąży Tołpa. Więc Edziu odpowiada:

– *Sacharozę do cukrów prostych.*

Profesor Tołpa jeszcze nie jest zadowolony:

– *To niech pan wymieni jakieś cukry proste* – prosi. I w tym momencie powstaje wielki komunikacyjny szum, Edziu już się całkiem gubi. W końcu, po długim namyśle odpowiada:

– *Cukier w kostkach.*

– Wszyscy ryknęliśmy śmiechem, a profesor na początku miał bardzo poważną minę, ale potem usiadł i sam roześmiał – opowiada Leszczyński. – Mówi do Edzia:

– *Panie, co pan za szkołę skończył?* A Edziu na to:

– *Administracyjno-ekonomiczną.*

– *Ale jak pan zdał egzamin wstępny z chemii?* – zastanawia się wykładowca. A Edziu na to:

– *Ja nie zdawałem, bo ja byłem przodownikiem pracy i nauki*⁸.

Wacława Leszczyńskiego, wtedy jeszcze nie profesora, znał Tołpa trochę lepiej, bo był szefem jego żony.

– Była wtedy w 8. miesiącu ciąży. Dostała wypłatę na uczelni, włożyła ją do torby i wyszła do drugiego pokoju. Gdy wróciła za chwilę, torby już nie było – ani pieniędzy, ani dowodu osobistego, ani dokumentów. A za miesiąc miało się nam dziecko urodzić... Żona się popłakała... – opowiada profesor Leszczyński. – Przyszedł prof. Tołpa.

– *Czemu ona płacze?* – pyta. Więc mu powiedzieli.

– *Jak się trochę uspokoi, niech przyjdzie do mnie.* – Poszła.

– *Ile pani ukradli?* – pyta profesor. I wypłacił jej równowartość pensji.

Profesor Fabiszewski najlepiej wspomina wyjazdy z prof. Tołpą w teren.

⁸ Przodownik pracy – tytuł przyznawany w okresie PRL pracownikom, którzy znacznie przekraczali normy pracy przewidziane do wykonania. Dotyczył to zarówno pracowników fizycznych, jak i inżynierów oraz rolników.

– Stać go było na dowcip, humor, często opowiadał anegdoty – mówi. A wyjazdów było sporo, w różne regiony Polski. Najbardziej lubił tereny nad Biebrzą. Tam profesor był sobą. Miał swoje metody pracy na torfowiskach. Na przykład nigdy się nie zapadał w tych bagnach, bo umiał chodzić „śladami łosia” – mówi tajemniczo prof. Fabiszewski. – Pod tym zresztą tytułem napisał przed wojną książkę popularnonaukową. Gdy wszyscy zapadali się w grząskim terenie, profesor Tołpa dziarsko skakał z kępy na kępę. Poza tym wszystkich uczestników wyprawy w zdumienie wprowadzało to, że w ogóle się nie pocił. My byliśmy cali mokrzy i pocięci przez gzy, a profesor dziarsko szedł przodem, uśmiechnięty i rześki.

Do pracy prof. Tołpa przychodził zazwyczaj w garniturze, ale na prace terenowe zawsze ubierał kapelusik, kamizelkę i kalosze. Wieczorami czytał. Kochał beletrystykę, szczególnie książki wojenne i historyczne. Za poezją nie przepadał. Rano, wspólnie z wszystkimi uczestnikami, jadł śniadanie. Potrafił żartować, także z siebie.

– Raz przy śniadaniu – jak wspomina profesor Fabiszewski – profesor Tołpa mówi: *Wiecie, panowie, ja coś dzisiaj kiepsko spałem. Dlaczego?* – pyta któryś z kolegów. *No, śniło mi się, że myśzy po mnie chodzą, szczególnie jedna była bardzo napastliwa.* Na to ten kolega: *I co, nie poślizgnęły się na głowie Pana Profesora?* A Tołpa był przecież łysy jak kolano. Profesor na to: *Nie, zatrzymały się na uchu.*

Gdy któryś z asystentów wychodził na dłużej niż pół godziny, trzeba było się zgłosić do profesora i go o tym poinformować. Jeden z kolegów w usprawiedliwieniu nadużywał słowa „dentysta”. Więc za którymś razem profesor mówi: *Panie Jurku, ale ja już się doliczyłem, że pan sobie plombuje siedemdziesiąty czwarty ząb!* To był właśnie dowcip Tołpy: fine-

zyjny, troszeczkę złośliwy, ale zawsze z uśmiechem. Palił dużo papierosów.

– Wtedy się paliło wszędzie, w gabinecie, na korytarzach. Tołpa palił czerwone Caro, powyżej paczki dziennie na pewno. Potem nabawił się wrzodów żołądka i rzucił palenie – mówi prof. Fabiszewski.

Lubił słodczyce i dobre wino. Nawet, gdy jechał na badania torfowe, do kiepskiej kolacji zamawiał dobrego gatunku wino.

– Nawet się nam zdarzyło hiszpańskie gdzieś tam na prowincji znaleźć – mówi prof. Fabiszewski. – I piliśmy to wino do schaboszczaka – śmieje się.

Niezapomniane były też przyjęcia imieninowe profesora, które obrosły tradycją. Rok w rok, 8 maja, Tołpa przywoził z domu tort z kwiatem magnolii w środku. Ciasto piekła jego żona, Ida. Nie wiadomo, skąd żona wzięła pomysł na przepis, ale miała dużo fantazji, malowała, była artystyczną duszą. Zresztą to właśnie dla niej profesor Stanisław Tołpa rzucił seminarium duchowne. Był już podobno przy święceniach kapłańskich, gdy nagle zdecydował się wybrać inną życiową drogę.

...zrezygnował z kapłaństwa

Profesor Stanisław Tołpa wraz z profesorem Włodzimierzem Tymrakiewiczem byli w seminarium duchownym.

Tołpa, kiedy już zdecydował się opuścić seminarium i po kryjomu wychodził na miasto – jak opowiada prof. Radomska – wypożyczał garnitur od swego kolegi Jana Radomskiego – ojca Marii, który w tym czasie siedział w swoim pokoju na poddaszu domu stryja w sutannie. Bowiem Tołpa dysponował tylko sutanną a Radomski jednym garniturem. Garnitur był na Toł-



pę przykrótki, a sutanna na Radomskiego przydługa. Czasem stryjek zachodził do bratanka na partyjkę kart, kiedyś zastał go siedzącego w ubraniu Tołpy. Zapytał tylko: *A co ty, Jasiu, wolę Bożą poczułeś?*

Podobno w czasie święceń kapłańskich, których elementem jest to, że młodzi, leżąc na ziemi, przyrzekają wierność Bogu, Tymrakiewicz mówi do Tołpy:

- *No i co, Stasiu? Zostajemy, czy wychodzimy? A na to Tołpa:*
- *Wychodzimy.*

I wyszli.

(Dr Jerzy Zabawski opowiada, że od prof. Tymrakiewicza słyszał, że było dokładnie odwrotnie – to Tołpa zapytał pierwszy).

...opracował metodę orientacji w zasobach boczku

Poza specjalną metodą chodzenia po torfowiskach grupa wykładowców z Uniwersytetu Przyrodniczego, wśród których był także profesor Tołpa, opracowała własną metodę orientacji w zasobach boczku, który był w bazie, a który w podejrzany sposób zniknął, gdy szli na badania.

– Zawsze bowiem w ośrodku zostawała jedna osoba, która gotowała kolację – wyjaśnia prof. Fabiszewski.

Profesorowie w końcu wymyślili metodę, która pozwoliła złapać rabusia. Chemicznym ołówkiem, który zostawiał fioletowy znak, narysowali na boczku kilka kropek. Gdy wracali, sprawdzali, czy kropki są, czy ich nie ma.

– W końcu złapali gagatka. Łakomczuchem okazał się jeden z asystentów, z którego wyrósł profesor – śmieje się Fabiszewski. Ale nie chce zdradzić personaliów złodzieja boczku. – Niech sam się przyzna.

...ekspresowo czytał prace doktorskie

Uczniowie prof. Stanisława Tołpy wspominają, że miał ogromny szacunek dla ich pracy.

– Widzę ten ruch rąk profesora... Przynoszę artykuł, profesor zgarnia wszyścusięńkie papiery z biurka, a nie był pedantem, i manuskrypt kładzie na czysty blat – mówi prof. Fabiszewski.

Jego mistrz nie należał do tych, którzy prace studentów czy asystentów tygodniami przechowują w szufladach albo je gubią. Artykuły traktował jak prawdziwą świętość. Pokażny maszynopis swojej pracy doktorskiej wręczył Fabiszewski swojemu promotorowi dwa dni przed 1 maja. Gdy zapytał, kiedy może się po nią zgłosić, profesor Tołpa odpowiedział pytaniem: *A będzie pan na pochodzie pierwszomajowym? Bo ja będę w pracy, to niech pan upadnie.* A profesor miał taki zwyczaj, że przychodził na uczelnię także w niedzielę i święta.

– Gdy przyszedłem po pochodzie, manuskrypt był poprawiony – mówi Fabiszewski. – Profesor bardzo poważnie podchodził do naszej pracy, uważał, że to jego misja. Wkładaliśmy w to wiele wysiłku, a on go szanował.

...egzaminował czwórkami

Profesor egzaminował z botaniki. Brał do siebie zawsze po cztery osoby. Zarówno prof. Maria Radomska na swoim roku studiów, jak i dr Jerzy Zabawski na swoim siedzieli na czwartym miejscu. Profesor pytał po kolei, zadawał to samo pytanie, a każda następna osoba musiała rozwinąć wypowiedź poprzednika.

– Trafiłem na słaby zestaw – wspomina Jerzy Zabawski. – Mój rok był zróżnicowany wiekowo, różnice dochodziły do 10 lat. Profesor zapytał wreszcie, jakie są elementy żeńskie w kwie-

cie. Jeden kolega tak się długo zastanawiał i wreszcie powiedział – jajniki. Siedziałem taki spięty, ale jak usłyszałem o tych jajnikach, to ryknąłem histerycznym śmiechem. Co się panu profesorowi nie bardzo podobało. Wszystkich zostawił i tylko mnie pytał, odpowiadałem. Później wpisał stopnie do indeksów – wychodzimy, zaglądamy a tam u wszystkich oceny dostateczne.

– Profesor Tołpa znał mnie od dzieciństwa – opowiada pani Maria Radomska – co nie zmienia faktu, że zdawaliśmy u niego po cztery osoby. W naszej czwórce pierwszy był Henio Noga, Jurek Sienkiewicz, Jaś Michalski, czwarta była Radomska. Dopowiadanie po kolegach było dla mnie krępujące, ale nasza czwórka akurat zdała.

Torfowiska były jego pasją

Na przełomie lat 70. i 80. słowo „torf” miała na ustach cała Polska. Preparat torfowy przyczyniał się bowiem do wzrostu odporności organizmu – pomagał nie tylko przy leczeniu zwykłej anginy, był także szansą dla chorujących na raka i białaczkę. Powstawał... w willi przy ul. Rozbrat 7. W badaniach nad preparatem pracowało kilkanaście osób, na czele z prof. Stanisławem Tołpą.

Dr hab. Klara Tomaszewska przez blisko 10 lat pracowała jako asystent w Pracowni Biologii i Biochemii Torfu, której kierownikiem był profesor Stanisław Tołpa. W roku 1977, po ukończeniu 70. roku życia, profesor przestał pełnić funkcję kierownika Zakładu Botaniki, a Pracownia Torfowa przeniosła się z ul. Cybulskiego 32 na ul. Rozbrat 7.

– W nowej siedzibie Pracownia Torfowa miała do dyspozycji piwnice przerobione na laboratorium i cały parter. Były to więc warunki niemal luksusowe w porównaniu z dwoma pomieszczeniami przy ul. Cybulskiego. Jednostka, którą kierował Profesor, była dosyć nietypowa: pracowało aż osiem pań – istny babiniec – a mimo to kłótnie praktycznie się nie zdarzały – wspomina dr hab. Klara Tomaszewska.

Dodaje, że profesor traktował swoich pracowników z ojcowską troskliwością.

W stanie wojennym Klara Tomaszewska dostała od Służb Bezpieczeństwa wezwanie do stawienia się na spotkania przy ul. Muzealnej. Chodziło o to, że do badań naukowych potrzebne jej były zdjęcia lotnicze.

– Dziś takie dokumenty są podstawą do badań, ale w czasach socjalizmu trzeba było mieć od SB specjalne pozwolenie na korzystanie z materiałów z klauzulą „tajne”, a do takich zaliczały się zdjęcia lotnicze – tłumaczy.

Każde wezwanie na Muzealną było wielką niewiadomą. Dlatego Klara Tomaszewska powiedziała prof. Tołpie oraz koleżankom, gdzie się wybiera. Pamięta oficera SB, który z nią rozmawiał – przedstawił się Andrzej Lipiński, choć nie było to jego prawdziwe nazwisko.

– Na koniec „rozmowy” zapytał, czy potrzebuję usprawiedliwienie do pracy. Odpowiedziałam, że nie, bo wszyscy wiedzą, gdzie jestem – mówi Tomaszewska. – Był bardzo zaskoczony: *Jak to, to Pani powiedziała, dokąd Pani idzie?* – zapytał. *Oczywiście* – odpowiedziałam. – *Profesorowi się wszystko mówi.* – *I wiedzą?* *Oczywiście, że wiedzą. Jak mnie zbyt długo nie będzie, to się będą niepokoić i dzwonić.*

Gdy Klara Tomaszewska wróciła do pracy, nawet nie zdążyła powiesić płaszcz na wieszaku, gdy zjawił się przy niej profesor Tołpa. *Wszystko w porządku?* – dopytywał się.

– Taki właśnie był: zycliwy, ale nigdy wścibski. Za to również bardzo go szanowaliśmy.

Jak wyglądał? Wysoki, zawsze wyprostowany, swoją postawą budził ogromny szacunek. W pracy nigdy się nie śmiał. Uśmiechał się tylko, a raczej delikatnie rozciągał usta. Ale niuanse tego „uśmiechu” doskonale oddawały jego aktualny nastrój. Można

było się tego nauczyć i my bez problemu potrafilismy się zorientować, jaki ma humor – opowiada Klara Tomaszewska.

Profesor nie miał włosów, ale łysina nigdy nie była źródłem jego kompleksów.

– Żartował z niej sobie i nie obrażał się, gdy robili to inni. Lecz mało kto się na to odważał – opowiada Klara Tomaszewska. – Gdy słuchał, był zamyślony albo padało jakieś pytanie, wtedy w bardzo charakterystyczny sposób gładził się po łysinie – dodaje.

Miał też słabość do łacińskich sentencji, z których tworzył sytuacyjne puenty.

– My nie znalismy łaciny, więc nie za bardzo je rozumieliśmy. Gdy profesor był w dobrym nastroju – tłumaczył, co przed chwilą powiedział, gdy w gorszym – zostawiał nas w niewiedzy – wspomina Tomaszewska.

Dzień rozpoczynał od przywitania się z każdym pracownikiem uściskiem dłoni. Był to pewien rytuał, przy czym w każdym pokoju Profesor miał ustaloną kolejność witania się. Gdy któraś z osób była zajęta, a było wiadomo, że czynności nie można przerwać, np. nakładania preparatu na kolumny frakcyjne, Profesor cierpliwie czekał, prowadząc lekką rozmowę i dopiero potem witał się ze wszystkimi. – Jeśli ktoś podpadł Profesorowi, jednym z sygnałów, takim delikatniejszym, była właśnie zmiana kolejności witania się – opowiada Klara Tomaszewska. Profesor w ciągu dnia kilkakrotnie był w każdym z pokojów i może dlatego, mimo że wszyscy darzyliśmy go ogromnym szacunkiem, nikt nie stawał przed nim na baczność – dodaje Tomaszewska.

Poza tym dbał o strój. Do pracy zawsze przychodził w garniturze, gdy było chłodno, pod spód wkładał sweter. Po przyjściu do pracowni natychmiast nakładał biały kitel.

– Praktycznie nie pokazywał się bez fartucha, chyba że były jego imieniny – podkreśla Klara Tomaszewska.

A to była wielka uroczystość. Tego dnia profesora odwiedzało kilkadziesiąt osób, a cały zespół włączał się w przygotowanie imprezy.

– Głównie w przygotowanie kanapek – uśmiecha się Klara Tomaszewska. Mieliśmy już opracowany podział ról: jedni kroili chleb, inni smarowali i układali na kromkach ser, pomidory i ogórki, jeszcze inni odpowiadali za to, by gotowe kanapki trafiły na talerz – opowiada Tomaszewska.

Torfowiska były pasją Profesora jeszcze od czasów przedwojennych. Był w nielicznej grupie osób, które tuż po wojnie badały i przeprowadzały inwentaryzację terenów bagiennych Polski powojennej. Później zaczął się interesować samym torfem i tym, czy można z niego wyodrębnić substancje czynne. Badania nad wyciągami z torfu trwały wiele lat.

Co takiego jest w tej skale osadowej, która powstaje w wyniku przemian obumarłych szczątków roślin?

– W torfie występują różne kombinacje związków chemicznych, które oczyszczone, mogą przyczyniać się do zwiększenia odporności organizmu – wyjaśnia dr hab. Klara Tomaszewska. – Preparat pomógł w przypadku zwykłej anginy, mógł pomóc przy nowotworach. Nie u wszystkich i nie zawsze, ale w wielu przypadkach po kuracji torfowej notowano poprawę stanu zdrowia – mówi. Tak było u pewnego nastolatka, który chorował na białaczkę. „Z jego szpitalnej sali tylko on jeszcze żyje” – mówiła jego matka po tym, jak brał preparat torfowy już kilka miesięcy. Chłopiec żył jeszcze kilka lat. Zmarł krótko po wycieczce na Śnieżkę, na którą wspinał się akurat wtedy, gdy nadciągnęła chmura radioaktywnego czadu po wybuchu reaktora elektrowni atomowej w Czarnobylu.

Marzeniem Profesora było, by jak najwięcej osób mogło korzystać z preparatu.

– Jednak losy wyciągu, nad którym profesor Tołpa pracował całe życie, potoczyły się zupełnie inaczej – opowiada Klara Tomaszewska. – Teraz niewielkie ilości produkuje Torf Corporation spółka z o.o. Patrząc z punktu widzenia ochrony środowiska i ochrony torfowisk – może dobrze, że nie rozwinęła się produkcja na wielką skalę. Przecież z każdego „cyklu produkcyjnego” uzyskiwało się zaledwie kilkadziesiąt gramów czynnej substancji – mówi.

O profesorze Tadeuszu Konopińskim i sprawach ogólnych

W pierwszych latach po wojnie studia rozpoczynali bardzo różni ludzie, nierzadko po ciężkich doświadczeniach, w wieku od 19 do 50 lat. Jedni wrócili z obozów koncentracyjnych, inni służyli w wojsku lub po prostu jakoś przeżyli ten wojenny czas. Pochodzili również z różnych środowisk społecznych, oczywiście niewielu wywodziło się z rodzin inteligenckich. Uczelnia spełniała więc rolę nie tylko kształcenia zawodowego, ale także wychowawczą. Studenci nabywali tu ogłady towarzyskiej, uczyli się być inteligencją. Osobowość i sposób bycia profesora akademickiego odgrywały kapitalną rolę.

– Z profesorem Tadeuszem Konopińskim zetknąłem się w około 1947 r., kiedy rozpocząłem studia – wspomina profesor Jerzy Juszcak. – To był człowiek życzliwy dla studentów i otwarty, dlatego wielu się do niego garnęło. Umiał z każdym nawiązać kontakt.

Profesor Konopiński otwierał swój prywatny dom dla studentów. Jego żona Stefania, z domu Jasiocka, wywodziła się z rodziny ziemiańskiej, była elegancka, pełna taktu i dobrych

obyczajów. Oczywiście, dom takich ludzi jak profesorostwo Konopińscy przyciągał. Ci, którzy przychodzili, mogli nawet czuć się początkowo skrępowani, nie zawsze umieli się zachować. Profesorowa wówczas potrafiła inteligentnie i taktownie zwrócić uwagę, co wypada, a czego nie można.

– Blisko mieszkaliśmy, w tej samej dzielnicy na Biskupinie, toteż przychodziliśmy z kolegami i pomagaliśmy profesorowi porządkować ogród. Profesor Konopiński wydawał nam się wtedy już stary, był bowiem po sześćdziesiątce, a więc dużo młodszy niż ja teraz – mówi profesor Juszczak.

Willi państwa Konopińskich stoi do dziś – to ten stary dom na rogu ul. Chełmońskiego, wtedy do niego przynależał też dużo większy niż w tej chwili ogród ze starymi, zniszczonymi podczas wojny drzewami. Znana jest anegdotka o sąsiadce, która zobaczyła Konopińskiego kopiącego w ogrodzie, a nie poznawszy go, zagadnęła: *Człowieku, a nie mógłbyś i mnie skopać ogródkę?* Anegdotka, jak to zwykle bywa, ma dwie wersje zakończenia, według jednej profesor zjawił się u sąsiadki następnego dnia z łopata, gotowy do roboty, a według drugiej sąsiadka zapytała jeszcze, czy profesor Konopiński jest w domu, a on odpowiedział: *Proszę wejść, on zaraz przyjdzie*, po czym po raz drugi przywitał się z nią, zaskoczona, w salonie.

Do profesorostwa przychodzili różni ludzie, jednym z gości bywał członek rodu Ronikier. W czasach powojennych i socrealistycznych hrabia nie robił wrażenia na młodych ludziach, ale profesorowa Konopińska, czując to, tłumaczyła zawsze, że hrabia to nie tylko kwestia pochodzenia i krwi, ale wykształcenia, często zagranicznego, i dobrego wychowania, hrabia inaczej widzi świat i go szerzej rozumie. To nie jest byle co.

– Kiedyś – jak wspomina profesor Jerzy Juszczak – komentowaliśmy artykuł prasowy o Prymasie i wyraziliśmy się o nim *per*

Wyszyński. Profesorowa zachnęła się wtedy i powiedziała: *Panie doktorze, tak nie można, mówi się pan kardynał Stefan Wyszyński, to nie jest jakiś Wyszyński.*

Profesor również wychowywał młodych nieustannie. Jak wsiadał do tramwaju, rozglądał się i mówił głośno: *No, trzeba by tu starszemu miejsce ustąpić*, chociaż wcale tego nie potrzebował.

Studentów nie było zbyt wielu, byli w różnym wieku i często musieli pracować, żeby się utrzymać. Z tego względu ich egzaminowanie przebiegało inaczej niż obecnie, przede wszystkim zawsze było ustne. Profesor Tadeusz Konopiński nie uchodził za srogiego, jeśli się człowiek nauczył, to nie miał problemów z zaliczeniem. Bardziej wymagający byli wykładowcy uczący trudnych przedmiotów – matematyki, fizyki – ale nigdy się nie zdarzyło, żeby którykolwiek profesor tak rygorystycznie postępował w stosunku do studenta i od razu stawiał mu dwóję. Nie. Student, nawet po wielokroć, był odsyłany. Profesor nie stawiał stopnia, tylko kazał się nauczyć i przyjść znowu.

– Na moim roku – wspomina profesor Juszcak – był kolega, który podpadł czymś profesorowi Aleksandrowi Kosibie z meteorologii, zdał u niego dopiero za 17. razem, ale w indeksie nie miał wpisanego ani jednego stopnia niedostatecznego.

Oczywiście, brak stopnia z przedmiotu nie załamywał kariery studenta, był on wpisany na kolejny semestr warunkowo i w końcu musiał kiedyś zaliczyć egzamin. To odsyłanie, dawanie po wielokroć szansy na zdanie egzaminu powodowało, że na uczelni w owym czasie była inna atmosfera. Drugim czynnikiem, który na nią wpływał, były wykłady. Nikt ich nie opuszczał. Często studenci zbierali się nawet dużo wcześniej, żeby zająć dobre miejsce, czyli blisko katedry, gdzie dobrze będzie słyhać. Przepelnione sale zdarzały się zwłaszcza na wykładach

łączonych, czyli takich, na które przychodzili w jednym czasie studenci różnych kierunków lub wydziałów.

– Kiedy studiowałem, była jedna duża uczelnia – Uniwersytet i Politechnika we Wrocławiu – mieliśmy na przykład wykłady wspólnie z weterynarią albo wspólnie z Akademią Medyczną, wtedy medycy przychodzili na zoologię. Gdy miał być wykład, wtedy tłum studentów biegł z ulicy Norwida na ulicę Bujwida, bo tam była sala wykładowa *Collegium Anatomicum*, żeby zająć miejsce, bo sala mieściła 200 osób, a wykładu chciało wysłuchać trzystu żaków – opowiada profesor Juszcak.

Trzeba pamiętać, że nie było wówczas wystarczającej liczby książek i czasopism, nie mówiąc już o mediach. W wielu wypadkach profesor był jedynym źródłem wiedzy. Drugim źródłem były przepisane i za parę groszy wypożyczone notatki tych, którzy szybko potrafili zapisać, co profesor mówi. Zdarzało się, że były one autoryzowane przez wykładowcę i przyjmowały wkrótce postać skryptu.

Profesor był towarzyski i bardzo popularny na Biskupinie. Kiedy wsiadał do tramwaju, od razu wszyscy wiedzieli, że jedzie Konopiński. Zagadywał znajomych, komentował aktualne wydarzenia z kraju i ze świata, z jego socjalistycznej części oczywiście.

– On był taki – jak to się wtedy mówiło – reakcjonista. Nic sobie z niczego nie robił – profesor Jerzy Juszcak przytacza taką historię – Kiedyś zobaczył mnie i woła z drugiego końca nad głowami pasażerów: *Panie Juszczak, nie chcą mi książki wydrukować. Dlaczego? Bo się tytuł nie podoba.* Pytam go, jaki to tytuł. *Bydło czerwone w Polsce.* Taka rasa, co złego w tym tytule? *Cenzura mówi, że to rodzi podejrzenia.* I co Pan Profesor zrobi? *Wydrukuję.* Zmienił ten tytuł na *Hodowla bydła w Polsce*, chociaż w środku używał sformułowania „bydło czerwone” do

woli. W każdym razie cały Wrocław wiedział, że profesorowi wstrzymano druk podręcznika z przyczyn politycznych.

Profesor Ryszard Ziemiński, ostatni asystent profesora Tadeusza Konopińskiego, także wspomina jego towarzyskość. Wykładowca lubił ponoć siadać w klubie pracowniczym przy stoliku blisko drzwi i wszystkich gości, którzy wchodzili, witał i zagadywał. Miejsce to mieściło się przy Katedrze Szczegółowej Uprawy w gmachu głównym. Profesor Ziemiński zapamiętał również dość uniwersalne powiedzonko profesora – kierownika Katedry Szczegółowej Hodowli Zwierząt i Zakładu Hodowli Bydła i Koni, które ten powtarzał przy niektórych okazjach: *Nas nie zjedzą konie, tylko zjedzą nas ci, którzy są przy złocie.*

Pisanie było wielką pasją życiową Konopińskiego. Pisał dużo – artykułów, podręczników – uważał, że profesorowie powinni pisać. Miał ulubioną kawiarnię w Rynku, tuż obok poczty, do której przychodził codziennie. Rano był na uczelni, a o 10.00 mówił: *to ja idę* i wszyscy wiedzieli, że udaje się do tej kawiarni. Siadał tam przy stoliku i pisał podręcznik. To była specyficzna kawiarnia, w której spotykali się profesorowie z różnych dyscyplin, dyskutowali tam na najróżniejsze tematy, przedstawiali swoje punkty widzenia i wiele rzeczy uzgadniali.

– Wiele dyskusji miało charakter naukowy, wymieniano informacje, wnioski, argumenty. To było dobre. Wiele razy mówiłem później – opowiada profesor Juszcak – że bardzo nam tego współcześnie brakuje, że nastąpiło wyobcowanie, każdy sobie działa na swoim poletku i nie ma nic łączącego.

Profesor Konopiński pisanie wymagał też od swoich asystentów. Musieli drukować w pismach naukowych i popularnych oraz nieustannie ćwiczyć się w wyrażaniu myśli w słowach. Jeśli ktoś się ociągał z pisaniem, profesor nazywał go *Eckensteher*,

czyli stojący w kącie. Profesor pochodził z poznańskiego i stamtąd przywiózł to określenie.

Drugim jego konikiem było kształcenie. Wyszukiwał zdolnych i namawiał ich do doktoryzowania się. Wypromował ponad 40 doktorów, ale nie po to, żeby wszyscy byli naukowcami. Uważał, że studia doktorskie poszerzają horyzonty, kształtują światopogląd i polepszają pozycję społeczną w pracy. To zamiłowanie do kształcenia ludzi ujawniało się już w 1945 r., gdy wahały się losy Wydziału Rolniczego i nie wiadomo było, czy taka jednostka rzeczywiście przy Uniwersytecie i Politechnice powstanie. Konopiński był rolnikiem-praktykiem, zakupił przed wojną gospodarstwo w Wielkopolsce o nazwie Panienka, niedaleko Góry, wywłaszczony podczas wojny powrócił do niego po wyzwoleniu, utrzymując dozwolone w czasach komunistycznych 100 hektarów. Widział więc Konopiński potrzebę kształcenia w rolnictwie i robił, co mógł, żeby taki wydział na uczelni został utworzony, chociaż koniunktury nie było. Udał się do ministerstwa w tej sprawie, gdzie usłyszał, że jeśli znajdzie około stu kandydatów, to wydział otworzą. Szukał studentów wszędzie, podobno trafił nawet na komisję poborową, gdzie agitował, że jak przyjdą, to będą wyreklamowani z wojska. Było to pewne nadużycie z jego strony, ale sposób okazał się skuteczny. Później profesor wspominał, że z tej komisji przyszło ok. 20 kandydatów. Wydział Rolniczy powstał, a Konopiński został jego pierwszym dziekanem.

Miał poczucie sprawiedliwości. Jerzy Juszcak przypomina sobie historię kolegi, który pisał doktorat, przyjeżdżał do profesora Konopińskiego na konsultacje aż z Olsztyna. Wreszcie złożył mu całą pracę do akceptacji, ale profesor chyba był nie w humorze, bo na końcu tej pracy napisał swój komentarz w postaci jakiegoś niecenzuralnego słowa i stwierdził, że już nie

chce doktoranta widzieć. Kolega wyjechał, praca została. Profesor chodził kilka dni nieswój, w końcu zawołał swojego asystenta Juszcza i polecił mu przejrzeć tę rozprawę, poprawić stylistycznie i po kolegę do Olsztyna zadzwonić.

– Widać było, że profesor jak wyrzucił tego doktoranta, to źle się z tym czuł, gnębiło go i szukał, jakby tu chłopaka uratować.

Przyjaźnił się z profesorem Władysławem Tilgnerem z ekonomii. Przed 1950 r. Tilgner dostał udaru, umysł miał sprawny, ale leżał w domu sparaliżowany. Konopiński odwiedzał go regularnie, prowadzili długie rozmowy na różne tematy, zwłaszcza o ekonomii rolnictwa. Te rozmowy profesor Konopiński bardzo sobie cenił i często powtarzał, że prof. Tilgner jest mądrym człowiekiem. Z czasów okupacji przetrwała też przyjaźń z profesorem Jerzym Kotlińskim. Obaj działali w okręgu świętokrzyskim – Kotliński walczył w partyzantce, a Konopiński założył podziemną uczelnię. Był to kielecki oddział Uniwersytetu Ziemi Zachodnich, działającego w latach 1940–1944 początkowo w Warszawie, a od 1943 r. w Częstochowie i właśnie w Kielcach, gdzie kształcił na pięciu kierunkach. W kontekście opowieści o działalności profesora pod okupacją profesor Ryszard Ziemiński wspominał o jego znakomitej znajomości języka niemieckiego

– Nawet naziści ją doceniali – mówi Ziemiński.

Poglądy polityczne profesora Konopińskiego nigdy nie były *pro*, ale zawsze przeciw. Polegało to na tym, że wypowiadał się z przekąsem o partii, władzy, komitecie. Nie angażował się jednak w sposób aktywny w politykę. Był natomiast dobrze widziany w Ministerstwie Rolnictwa z uwagi na swoją fachowość, reprezentował bowiem praktyczne rolnictwo. Konopiński należał do różnych komisji przy Ministerstwie Rolnictwa i jego zdanie się liczyło. Profesor Juszcza wspomina, że jechali kiedyś wiosną

poszerzoną radą wydziału do Bukowca koło Jeleniej Góry, gdzie znajdowało się uczelniane gospodarstwo doświadczalne. Autobus był pełny profesorów i asystentów z Wydziału Zootechnicznego. Gdzieś za Gniechowicami profesor Konopiński poprosił o postój przy obsianych polach, a gdy wszyscy wysiedli powiedział: *No, mamy samych fachowców, co to za zboże?* Wszyscy zrywali, patrzyli, dyskutowali, ale nie mieli śmiałości się wypowiedzieć. Konopiński się śmiał: *Przecież to jęczmień ozimy*, dowodząc tym samym, że niedostatki wiedzy są wynikiem wąskich specjalizacji, których był przeciwnikiem. Dobrze się też znał na zwierzętach. Gdy wybierano się za granicę, żeby zakupić najlepsze sztuki do rozrodu, zabierano go, bo był dobrym fachowcem.

Znana była powszechnie oszczędność i gospodarność profesora Konopińskiego.

– Kiedyś kupił sobie wartburga – wspomina profesor Bolesław Nowicki. – Pojechaliśmy do Pawłowic koło Leszna, Juszcak prowadził, obok siedział profesor Konopiński, z tyłu profesor Kotliński i ja. Wszyscy nas wyprzedzają, jakieś dziecko w tylnej szybie zagrało nam na nosie. Wreszcie Konopiński pyta Juszcaka, czy nie można szybciej jechać samochodem, na to Juszcak przyspieszył. Po jakimś czasie, przejechaliśmy może z 20 km, profesor Konopiński pyta: *Panie Jerzy, a jak się jedzie szybciej, to spala się więcej benzyny?* – *Oczywiście* – odpowiada Juszcak. – *No to proszę zwolnić, gdzie my się właściwie spieszymy!*

Jechali wówczas, aby wziąć udział w ocenie zwierząt na aukcji w Osowej Sieni koło Leszna. Profesor Konopiński przewodniczył komisji. Gdy wracali, w Lesznie zatrzymali się, aby coś zjeść.

– Chcieliśmy zjeść gicz cielęcą, ale nie było, zamówiliśmy więc golonkę, a profesor tylko kawę – opowiada Nowicki. – Jedziemy dalej, ale w Rawiczu zatrzymaliśmy się znowu, bo

chciało nam się pić po tych golonkach, ale w restauracji trafiliśmy na gicz cielęcą. Nie mogliśmy się oprzeć. Profesor Konopiński był zniesmaczony naszym rozpasaniem i zamówił sobie sałatkę. Gdy nie zdołaliśmy już dokończyć tej giczy, a Konopiński zobaczył, że jeszcze dużo zostało mięsa na kościach, zawołał do kelnerki: *Ma pani gazetę!? – Dzisiejszą!?* – *Nie, dużą!* Przyniosła „Trybunę Ludu”. Zapakował wszystkie resztki dla psa. U profesora nic nie mogło się zmarnować.

Profesor Jerzy Juszcak jako młody asystent delegowany do rad wydziału pamięta, że dochodziło tam do dyskusji pomiędzy profesorami teoretykami a Konopińskim-praktykiem o poziom naukowości broniących prac doktorskich. Zarzucono wówczas, że jest za niski, bo brakuje w tych pracach podstaw naukowych, obudowy metodologicznej, obliczeń statystycznych, która w latach 50. minionego stulecia dopiero raczkowała. Konopiński odpierał wówczas te zarzuty, mówił, że prace muszą mieć wymiar praktyczny, bo taka jest ta uczelnia. Jednego razu zaproponował, żeby członkowie rady przynieśli na następne spotkanie własne prace doktorskie i wtedy sprawdzi się ich poziom naukowości. *Zobaczymy* – powiedział wtedy – *ile będzie śmiechu.*

– Dyskusje bywały na tych radach zażarte, ale dotyczyły spraw naukowych, naprawdę – ocenia profesor Jerzy Juszcak z perspektywy lat – istotnych i innych niż dzisiaj. Tu się coś zmieniło.

Profesor Tadeusz Konopiński zawsze wpajał, aby kształcić następców. Źródło pewnego pomysłu trzeba szukać właśnie w jego nauczaniu.

– Otóż, hodowla bydła nie była liczącą się dyscypliną naukową, ale kiedyś przy okazji jakiejś konferencji – jak wspomina profesor Juszcak – Spotkaliśmy się w Warszawie z profesorami

Władysławem Zalewskim, Skolasińskim, Antonim Kaczmar-kiem i stwierdziliśmy, że trzeba by tę dyscyplinę ożywić. Wymy-śliśmy profesorski klub hodowców bydła, do którego włączy-li się wszyscy profesorowie zajmujący się hodowlą bydła, a było ich tylko siedmiu.

Wybrali prezydenta klubu – prof. Henryka Jasiorowskiego (obecnie jest nim prof. Tadeusz Szulc) i postanowili stworzyć warunki, które mogłyby przyciągnąć młodych i umożliwić im prowadzenie badań.

Postęp w tym zakresie umożliwiły znacznie środki finansowe przekazane Katedrze Hodowli Bydła w ramach programu re-sortowego na temat: „Metodologiczne podstawy doskonalenia bydła”, do którego zaangażowani zostali pracownicy wszyst-kich katedr i instytutów naukowych. Uczelnia wrocławska dysponowała pieniędzmi, a członkowie klubu ustalili zagad-nienia i tematy badawcze. Program trwał trzy lata, a młodzi uczeni z całej Polski doktoryzowali się i habilitowali. Hodow-la bydła stała się mocną dyscypliną. Tematy badawcze były na tamte czasy aktualne, dotyczyły wielkotowarowych przedsię-biorstw, których zarządcy też interesowali się wynikami. Efek-ty były pozytywne.

Profesor Tadeusz Konopiński wypalał kilka paczek papiero-sów dziennie, jednego papierosa kończył, a drugiego natych-miast zapalał. W ostatnim roku swojej pracy był już bardzo chory, miał nowotwór płuc. Starał się utrzymać formę i zacho-wać pogodę ducha. 1 października 1965 r. odszedł na emerytu-rę, a tydzień później zmarł. Jego pogrzeb był bardzo uroczysty: wielki pochód z orkiestrą i wieńcami przeszedł ulicami miasta z ulicy Chełmońskiego na Bujwida. Taki pogrzeb miał też pro-fesor Hirszfeld z Akademii Medycznej, a później już takich nie robiono.

Dwadzieścia lat pod jednym dachem

Poznali się tuż po wojnie. Pierwszy – przedwojenny profesor, który wykładał w niemieckim Breslau i w Berlinie. Drugi – chłopak, który kilka lat działał w partyzanckim oddziale Barabasza na Kielecczyźnie. Tam splotły się ich drogi. Wtedy jeszcze nie wiedzieli, że wspólnie przepracują powojenne lata.

Profesor Tadeusz Konopiński studia kończył na Uniwersytecie Poznańskim, rok później był już doktorem. Habilitował się we Lwowie, wykładał w niemieckim Breslau i Berlinie.

– Lepiej mówił po niemiecku niż po polsku – wspomina jego student i doktorant, prof. Wiesław Poznański.

Konopiński jest jednym z pierwszych wykładowców, którzy docierają do Wrocławia. Osobiście namawia maturzystów, by decydowali się na studia rolnicze. Zgłasza się dokładnie 99 chętnych – tyle wystarczy, by zainauguować rok akademicki.

Jednym z pierwszych doktorantów prof. Konopińskiego jest Jerzy Kotliński, który w czasie wojny działał w konspiracji. Jako 19-latek wstępuje do oddziału partyzanckiego w Górach Świętokrzyskich „Wybraniec”. Pełni tam funkcję osobistego kancelisty dowódcy i kronikarza, szefa kompanii, adiutanta, a potem dowódcy plutonu „Wilków”.

– Miał traumatyczne wspomnienia z tego okresu – podkreśla prof. Poznański.

„W miejscu, gdzie koło Leszczyn tor kolejki przecina droga z Radlina do Leszczyn, »Kostek«, niebędący członkiem patrolu, w ostatniej chwili zauważył Niemców i krzyknął do tyłu: »Uwaga, Niemcy!«. Wszyscy (...) rzucili się do ucieczki. Biegli przez otwarty teren po ścierniskach zupełnie odstępni. Byli dla żandarmów doskonałym celem. Po seriach z broni maszynowej padli bez walki, rannych Niemcy dobili na miejscu. Uratował się jedynie »Kostek« i »Leszek«, którzy zostali w kolejce, wykorzystując fakt, że Niemcy strzelali tylko do biegnących. Polegli: »Orlicz«, »Sławek«, »Heniek«, »Kanarek« i »Tadek«” – pisze profesor Kotliński w książce „Oddział partyzancki Gór Świętokrzyskich Barabasze–Wybraniec”.

To zresztą niejedna książka, jaką napisał. Ma na swoim koncie kilkanaście tomików wierszy i wspomnień. Prof. Poznański uważa, że ponad trzy lata w partyzantce wywarły olbrzymi wpływ na dalsze życie Kotlińskiego.

– Palił Mocne, jednego za drugim. Gdy kiedyś wyjechał do Anglii, koledzy z Wysp sprezentowali mu dwie paczki zachodnich papierosów, byleby tylko nie palił tych swoich śmierdzących bez filtra – opowiada z uśmiechem prof. Poznański.

Kotliński studia skończył w 1949 r. Profesor Konopiński od razu zaproponował mu doktorat i otoczył opieką. Nie tylko naukową – Kotliński zamieszkał bowiem w domu swojego promotora na Biskupinie.

– Często zdarzało się, że prof. Konopiński dyktował Kotlińskiemu treść podręcznika, który tworzył, a Kotliński wszystko przepisywał. To była pierwsza książka z zakresu hodowli i żywienia zwierząt, która ukazała się po wojnie – wspomina prof. Poznański.

Wiesław Poznański był od profesora Kotlińskiego raptem 9 lat młodszy. Pochodzi ze Wschodu, wychował się 40 km od Lwowa, w Kamionce Strumiłowej. W 1944 r., gdy na tamtych terenach zaczęły grasować bandy UPA, dwa tygodnie po śmierci ojca, wraz z matką i dziadkami przeniósł się na Kielecczyznę, pod Krosno.

W Suchodolu jego wuj został nauczycielem w Technikum Rolniczym, którego dyrektorem był dr Jerzy Dmochowski – późniejszy rektor Akademii Rolniczej w Szczecinie. Był początek września. W tym czasie młody Wiesław Poznański miał zacząć naukę w Liceum Humanistycznym w Krośnie.

– Zapytałem wuja, czy będę się mógł jeszcze przenieść do technikum. Pamiętam, powiedział: *Synu, dobrze się zastanów, bo to jest decyzja na całe życie*. Porozmawiał z dyrektorem szkoły i kilka dni później zostałem uczniem Państwowego Podkarpackiego Liceum Rolniczego w Suchodole – wspomina.

Dla przyszłego wykładowcy Uniwersytetu Przyrodniczego zaczął się nowy etap życia. Szkołę skończył w dwa lata, ponieważ objął go przyspieszony, powojenny tryb nauczania. Marzył, by zostać weterynarzem. Na studia do Wrocławia się dostał – o sto miejsc walczyło wtedy ponad 700 kandydatów.

Otrzymał pracę w Powiatowym Związku Gminnych Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” w Brzozowie, w dziale nasiennym.

– Byłem najmłodszy, więc ciągle dokładali mi obowiązków – skarży się profesor. A to skup złomu, a to butelek – wyjaśnia. Ale dyrektor pobliskiego PGR-u, utworzonego z dawnego majątku kurii przemyskiej, szybko dowiedział się, że w spółdzielni marnuje się technik rolnictwa. Szybko zatrudnił go jako zootechnika.

– Przepracowałem tam dwa lata, miałem pod opieką 10 majątków – opowiada Poznański.

Ale wciąż marzyły mu się studia.

Znów wybrał Wrocław, z tym że zupełnie nowy kierunek – zootechnikę, z którym przez dwa lata był związany zawodowo. Kandydatów nie było tak wielu jak na weterynarię, więc łatwiej było się dostać na studia.

Na pierwszym wykładzie koledzy prof. Poznańskiego wybrali go starostą roku.

– Pewnie dlatego, że byłem dwa lata starszy i wcześniej pracowałem jako technik rolnictwa – tłumaczy dziś profesor. Jako jeden z 10 osób zakończył studia z tytułem magistra – reszta jego kolegów, po uzyskaniu tytułu inżyniera, dostała nakaz pracy.

Studentów pierwszego roku dzieliła często przepaść całego pokolenia. Najmłodszy, tuż po liceach ogólnokształcących, mieli po 17–18 lat. Najstarsi, którym wojna przeszkodziła zrealizować marzenia o wykształceniu, często po odbytej służbie wojskowej albo wywózkach na Sybir, byli już po czterdziestce.

– Przez trzy pierwsze lata studiów musieliśmy odbywać szkolenia wojskowe – opowiada Wiesław Poznański. – Nie mieliśmy żadnego umundurowania, na poligon każdy po prostu brał swoje najgorsze ubrania. Dopiero na drugim roku dostaliśmy zielone kombinezony – tłumaczy.

Dodaje, że charakterystycznym zwyczajem związanym z ćwiczeniami wojskowymi, był obowiązkowy śpiew.

– Śpiewało się w czasie wymarszu z uczelni i w czasie powrotu z poligonu. Notatki z zajęć musieliśmy zostawiać w wojskowym depozycie, bo mogły zawierać tajne informacje – opowiada profesor.

Poznański doskonale pamięta, jak prof. Konopiński zaprosił go, jeszcze jako studenta, na swoje imieniny. Była jesień, on właśnie skończył wykład.

– Zawsze zapraszał wszystkich pracowników katedry i starostów lat, na których wykładał – wyjaśnia Poznański. Goście bawili się w willi Konopińskiego na Biskupinie.

– To były imprezy na luzie, z adaptera sęczyły się tanga, na stole pojawiał się tort, pyszne ciasteczka, koniak i wino – wspomina prof. Poznański.

Jako wykładowca i egzaminator Konopiński był wymagający, ale równocześnie życzliwy. Natomiast w stosunkach szef–podwładny prof. Poznański czuł spory dystans. Zupełnie inaczej było w przypadku jego kontaktów z profesorem Kotlińskim.

– Przejście na „ty” zaproponował mi przed obroną doktoratu – mówi Poznański. – To była barwna postać – podkreśla. Miał swoje hobby – zieleń miejską. Na własną rękę sadził drzewa i krzewy na Biskupinie. To właśnie on stworzył namiastkę arboretum przy ul. Koźuchowskiej. Dzisiaj dorodne modrzewie i bujne krzewy zdobią Biskupin. Odkąd sadził je Kotliński minęło niemal pół wieku.

– Ponad trzy lata w partyzantce, stres, zimno i niedojadanie odbiły się na jego zdrowiu. W latach 80. zaczął chorować na niedrożność żył w nodze, po kilku operacjach amputacja stała się jedynym rozwiązaniem. Operował go prof. Witkiewicz. Uparł się, by uciąć nogę pod kolaniem, a nie nad, tak by Kotliński mógł w miarę normalnie funkcjonować. Po amputacji nogi profesor dalej jeździł autem. Miał przystosowanego dla niepełnosprawnych złotego malucha.

– Ten samochód zawsze rano stał pod uczelnią, nawet gdy profesor przeszedł już na emeryturę – mówi Poznański.

Na emeryturze Kotliński całkowicie poświęcił się literaturze. Przede wszystkim – dokumentacji działań oddziału Barabasa na Kielecczyźnie. Ale pisał też wspomnienia i wiersze. Własnym nakładem opublikował 14 książek i 16 tomików wierszy. Profesor Wiesław Poznański ma te pozycje w swojej kolekcji, każdą – z dedykacją.

Po pierwsze – praca, po drugie – praca, a po trzecie... też praca

Profesor Tadeusz Maria Celestyn Olbrycht był niewątpliwie uczonym wielkiego formatu, kształcił się we Lwowie, Wiedniu i w Dreźnie, w Poznaniu uzyskał tytuł doktora nauk weterynaryjnych. W pierwszej połowie lat 20. minionego wieku wyjechał do Stanów Zjednoczonych i pracował na Uniwersytecie w Columbii pod kierunkiem słynnego Thomasa Hnuta Morgana, twórcy chromosomowej teorii dziedziczności i teorii genów, laureata Nagrody Nobla. Podczas II wojny światowej Olbrycht przebywał w Wielkiej Brytanii, kontynuując pracę naukową, zwłaszcza w Royal Veterinary College w Edynburgu (Szkocja). Na Uniwersytecie Londyńskim uzyskał drugi doktorat – z filozofii. Do Polski przyjechał w 1946 r., gorąco namawiany przez prof. Tadeusza Konopińskiego. Na Uniwersytecie i Politechnice objął Zakład Doświadczalnej Hodowli i Genetyki Zwierząt.

Prof. Bolesław Nowicki, uczeń profesora Olbrychta wspomina, że ten szanował pracę i doceniał tylko tych, którzy już coś zrobili, natomiast nie przywiązywał wagi ani do nazwiska, ani pochodzenia, ani poglądów politycznych.

– Kiedyś przyjechał jakiś profesor z Moskwy i pyta o plany rozwoju kadry naukowej, w którym roku ilu będzie doktorów, ilu docentów, a ilu zostanie profesorami? Na to Olbrycht odpowiada, że wszystko zależy od dorobku naukowego, postępu w badaniach. Ta odpowiedź nie usatysfakcjonowała gościa z Rosji, który zaczął tłumaczyć, że niedobrze, że wszystko powinno być zaplanowane, w roku tym i tym ten zostaje doktorem, a ten się habilituje, a w roku tym i tym ten zostaje profesorem. Pytam następnego dnia profesora Olbrychta – wspomina profesor Nowicki, który był tłumaczem tamtej rozmowy – jakie wrażenie wywarł na nim ten profesor z Moskwy, a Olbrycht na to odpowiedział pytaniem: *A zostawił Panu odbitki swoich prac naukowych?* Nie. *Mnie też nie zostawił.* I na tym się skończyła rozmowa.

W czasach stalinowskich w Związku Radzieckim, co oczywiście przenosiło się na pozostałe państwa bloku komunistycznego, rangę największego autorytetu w dziedzinie biologii miał Trofim Łysenko, radziecki uczonec, agrobiolog i agronom. W pseudonaukowych teoriach Łysenki odrzucone zostały prawa dziedziczności, zanegowane istnienie i znaczenie genów. W ZSRR naukowcy, którzy reprezentowali inne niż Łysenko poglądy, byli prześladowani. Dla profesora Tadeusza Olbrychta, ucznia Thomasa H. Morgana, łysenkizm był absolutnie nie do przyjęcia.

– Był rok 1955 – wspomina profesor Bolesław Nowicki – ten rok ma znaczenie. Stalin już nie żył, z więzień stalinowskich powoli wypuszczano tych, co przeżyli, ale na Odwilż Październikową trzeba było jeszcze trochę poczekać. Profesor Olbrycht poprosił wówczas profesora Mieczysława Cenę, swojego byłego asystenta ze Lwowa, aby ten zorganizował spotkanie na Sali II R przy ulicy C.K. Norwida, bo profesor chce wreszcie wygłosić

swoje zdanie na temat teorii genetyki. Cena, jak pamiętam, wszedł pierwszy na maksymalnie wypełnioną ludźmi salę i zapowiedział, że wystąpi profesor Tadeusz Olbrycht z wykładem, przy czym będzie ubrany w togę Uniwersytetu Londyńskiego, którego jest doktorem filozofii. Młodzież nie widziała na co dzień profesorów w togach. Było to ogromne wydarzenie. Olbrycht wyszedł i rozpoczął wykład słowami: *Kiedy profesor ma coś wyjątkowo ważnego do przekazania, ubiera togę. Dzisiaj ja Wam coś ważnego chcę wyjaśnić*. I opowiedział wtedy publicznie, że Łysenko nie ma racji, że gen istnieje i jest jednostką materialną, jeszcze go co prawda nie widziano, ale wiadomo, że mieści się w chromosomie, działa i wyznacza cechy.

Sala po wykładzie zagrzmiała brawami. Słuchacze nagrodzili profesora za rzetelne wyjaśnienia naukowe i za odwagę. Nowicki wspomina, że przez jakiś czas po tym wystąpieniu obawiano się na uczelni nieprzyjemnych konsekwencji, ale nic takiego się nie wydarzyło. Można się zastanawiać, na ile istotny był tu fakt, że żona prof. Olbrychta, Franciszka, była rodzoną siostrą Hilarego Minca⁹, wysoko postawionego komunisty. Był to raczej znak rozluźniania stalinowskiego gorsetu.

O odwadze profesora Olbrychta świadczyło jeszcze inne wydarzenie. Otóż, profesor wspólnie z profesorem Władysławem Nadwyczawskim napisali podręcznik o kukurydzy (1956). Olbrycht przyniósł asystentowi Nowickiemu świeżutki egzemplarz z prośbą o napisanie w języku rosyjskim dedykacji dla Nikity Chruszczowa, I sekretarza KC Komunistycznej Partii ZSRR i premiera, z dopiskiem, że profesor Olbrycht chętnie

⁹ Hilary Minc (1905–1974) – członek Komisji Bezpieczeństwa KC PZPR, nadzorującej procesy stalinowskie. W 1949 r. został wice-premierem. Był twórcą planu sześcioletniego.

by obejrzał uprawę kukurydzy w ZSRR. Dedykacja i ów dopisek były krokiem tyleż samo ryzykownym, co ironicznym. Chruszczow bowiem usiłował leczyć komunistyczny system gospodarczy i udowodnić, że może być on efektywniejszy od amerykańskiego. Jednym z jego pomysłów było sadzenie w całym olbrzymim państwie kukurydzy, nawet w miejscach, gdzie nie miała szans na plonowanie (choć zgodnie z teorią Łysenki warunki środowiskowe powinny przystosować kukurydzę do rozwoju).

– Napisałem dedykację, tak jak mnie profesor Olbrycht poprosił – wspomina profesor Nowicki. – Zaadresowałem: Chruszczow-Kreml-Moskwa i zaniósłem na pocztę. Urzędniczka w okienku zbladła, ale paczkę przyjęła.

Bardzo szybko, po jakiś dwóch, trzech tygodniach, przyszło zaproszenie do profesora, skierowane za pośrednictwem ambasady ZSRR w Warszawie, do Moskwy. Chruszczow mógł więc być osobiście zainteresowany, ponieważ Olbrycht przywiózł ze Stanów Zjednoczonych ziarna kukurydzy Końskiego Zębu, zaaklimatyzował je, a później sam wyhodował kilka odmian już we Wrocławiu. W każdym razie profesor Olbrycht pojechał do Moskwy. To było w 1956 r. Jego tłumaczem był Roman Nowosad z Wydziału Weterynaryjnego, który tam się doktoryzował.

Profesora Olbrychta interesował młody Rosjanin, z którego artykułem zapoznał się jeszcze w Polsce, a który uważał, że można nasienie samca, spermę, konserwować nie poprzez mrożenie, ale przez wysuszenie. Kiedy więc Olbrycht przyjechał do Moskwy, chciał spotkać się z tym badaczem, wówczas okazało się, że Rosjanin został wysłany gdzieś do kołchozu i odsunięty od badań. Olbrychtowi jako gościowi Chruszczowa nikt nie śmiał odmówić, profesor dostał samochód i pojechał 500 km na spotkanie. Kiedy wrócił do Moskwy, jak wiadomo z rela-

cji Romana Nowosada, wypowiedział cierpką uwagę na temat usunięcia uczonego w miejsce, gdzie nic nie robi. Wtedy prowadzący spotkanie zaproponował, żeby rozmawiali w języku angielskim, ponieważ dotąd profesor Olbrycht mówił po polsku, a Nowosad tłumaczył na język rosyjski. Oczywiście, Olbrycht się zgodził, ale po kilku zdaniach prowadzący zaproponował przejście na język niemiecki. Olbrycht nie miał nic przeciwko temu, ale zwrócił po chwili uwagę, że niemiecki rozmówcy sprawia większą trudność niż angielski. Chodziło jednak o to, że prowadzący to spotkanie zorientował się, że jeszcze ktoś z obecnych rozumie język angielski, a nie chciał, żeby krytyczne słowa Olbrychta pod adresem podejmowanych w Moskwie decyzji zostały usłyszane. Tak to spotkanie komentował po powrocie do Polski Roman Nowosad¹⁰.

Nie są znane losy tego Rosjanina, który wpadł na pomysł liofilizacji. Prawdopodobnie został w kołchozie i nie kontynuował żadnych badań. Profesor Tadeusz Olbrycht uważał jednak, że nie jest ważne, czy ktoś dokończy badania, ważne, że je zaczyna i ma pomysł, który można rozwijać. Myśl się skryształizowała.

Profesor Tadeusz Olbrycht pierwszy w świecie nakręcił film na temat sztucznego unasienniania koni i bydła. Po wygłoszeniu referatu w Atenach profesor przyjechał do Włoch i tam miał przedstawić swój film. Organizatorzy konferencji mieli ponoć wątpliwości, czy film można pokazać w obecności kobiet. Ostatecznie zgodzono się na tę projekcję i uczeni z całego świata obejrzeni nakręcony cały proces – od pobierania nasienia od ogiera po inseminację u klaczy. Było to w 1955 r. Ale film Olbrycht nakręcił samodzielnie we Wrocławiu, przy ulicy

¹⁰ Historię notujemy według wspomnień profesora Bolesława Nowickiego.

Kożuchowskiej 7 na podwórku katedry około roku 1951 i bez zbędnej pruderii wyświetlał studentom.

– Z tym wyświetlaniem pamiętam taką zabawną historię – mówi profesor Bolesław Nowicki – Szeff kazał mi się udać po taśmę do profesora Rudolfa Hohenberga z Wydziału Melioracji wodnych, który miał ten film przygotować do wyświetlania. Przyszedłem, profesor dał mi duże blaszane opakowanie z podpisem „Sztuczne unasiennianie”, przyniosłem do katedry, nałożyliśmy taśmę na projektor, puszczaemy przed studentami, a tam... piękna pani wstaje z łóżka, w przeźroczyście szlafrocuku... Prof. Olbrycht zaczął krzyknąć, żeby wyłączyć to, a studenci na to: *Nie, nie, niech zostanie!* Okazało się, że profesor Hohenberg zamienił niechcący filmy. Odniosłem mu taśmę i opowiadam, co się stało, a Hohenberg na to: *Panie, ja miałem jeszcze gorzej. Zaprosiłem rodzinę i chciałem puścić film o tym, jak z żoną spędziliśmy wakacje, puszczaemy taśmę a tam ogier...*

Profesor Olbrycht prowadził zajęcia z nauki o typach użytkowych i rasach zwierząt domowych, z hodowli ogólnej zwierząt oraz z genetyki. Podczas zajęć był oschły, precyzyjny, wykłady raczej czytał, a laborant wyświetlał przeźrocza.

Na seminariach magisterskich lubił, gdy studenci znaleźli coś ciekawego w zagranicznej literaturze i potrafili to zreferować podczas zajęć. Szanował samodzielność, umiejętność wyszukiwania interesujących, nowoczesnych informacji i przede wszystkim znajomość języków obcych, która pozwalała zrozumieć artykuł i umiejętnie przekazać jego treść. Zresztą, znajomością języków obcych nie było łatwo zaimponować profesorowi Olbrychtowi, który władał biegle angielskim, niemieckim i francuskim. Nie mówił natomiast po rosyjsku.

– Propagował też rzeczy, które u nas nie były znane, np. przywiózł tablice żywieniowe, informujące o owocach, które mają

najwyższą zawartość witaminy C – wspomina profesor Jerzy Preś. – Pamiętam, że największą wartość miała czarna porzeczka. Do znaczenia witamin dla ludzkiego zdrowia nikt w krajach bloku komunistycznego w tym czasie nie przywiązywał wagi, a on już wtedy uczył nas tego.

Na egzaminach profesor Tadeusz Olbrycht przyjmował zawsze większą gromadkę, zadawał pytania, a jak nie był usatysfakcjonowany, to kazał się wynosić, a zdarzało się, że indeksy wyrzucał przez okno. Nie wpisywał dwój, tylko właśnie nakrzyczał i wyrzucił indeksy. Kiedyś profesor Nowicki, będąc jeszcze asystentem, ośmielił się zapytać: *A czemu Pan tych studentów tak źle traktuje?* Na to Olbrycht odpowiedział: *Bo ja bym im musiał dwóje wpisać, a strasznie tego nie lubię.*

Profesor Zbigniew Staliński podczas sesji naukowej z okazji 100-lecia urodzin profesora T.M. Olbrychta, 27 września 1991 r., w referacie zatytułowanym „Profesor Olbrycht – pedagog i nauczyciel akademicki”, zanotował: „Pamiętam wykłady w salce przy ulicy Kozuchowskiej, gdy pojawiał się czasem w futrze czy kozuchu. Egzamin, który zresztą *wygrał* profesor (zdałem go z wynikiem dostatecznym) w tejże salce, a który rozpoczął się od prezentacji wiedzy studenta przy obrazkach rozwieszonych na różnych ścianach tej salki. Potrafił być *przekorny* w trakcie egzaminu w szczególności do tych studentów, którym się wydawało, że posiadli wiedzę w sposób doskonały”¹¹.

Kiedyś profesor Olbrycht poprosił swojego asystenta Nowickiego, wówczas doktora, żeby ten zastąpił go na radzie wydziału z głosem decydującym.

¹¹ Maszynopis referatu Zbigniewa Stalińskiego jest własnością prof. Bolesława Nowickiego, autorki dysponują jego kopią.

– Poszedłem – opowiada profesor Bolesław Nowicki – zgłosiłem dziekanowi profesorowi Stanisławowi Chudobie, że jestem w zastępstwie. Rozpatrywano wówczas chętnych z Warszawy do doktoryzowania się. Wypytałem o tematy, o proponowane metody i materiał badawczy, i byłem przeciwny w imieniu profesora Olbrychta. Prace nie przeszły.

– Zapoczątkowałem w naszym kraju badania z zakresu genetyki populacji i cech ilościowych – wspomina też profesor Bolesław Nowicki – ale najpierw poszedłem do profesora Olbrychta i zapytałem, co sądzi o tym temacie, czy powinienem się mu poświęcić? *Jak najbardziej!* padła odpowiedź i było to dla mnie wystarczające potwierdzenie, że idę we właściwym kierunku.

Kiedy profesor Olbrycht powiedział, że coś warto się zacząć, to z całą pewnością praca przynosiła owoce. Wiedział, które problemy są godne uwagi, które nie są wystarczająco zbadane. Zawsze można było liczyć na jego radę. Nie był zazdrosny o pomysły i wyniki swoich uczniów. Przeciwnie, zapraszał ich do własnych projektów.

– Kiedyś zaproponował mi, żebym opisał problemy genetyki populacji w skrypcie z ogólnej hodowli zwierząt, czyli żebym był wraz z nim współautorem. Szanował cudzą pracę i osiągnięcia – ocenia profesor Nowicki, wspominając jeszcze jedną znamienną historię: – Profesor Olbrycht wręczył mi kiedyś swoje materiały badawcze przywiezione z Anglii i dotyczące bydła, mówiąc, że są ciekawe i żebym je opracował z wykorzystaniem metod statystycznych. Uczęszczałem wówczas od dłuższego czasu na seminaria w Instytucie Matematyki i korzystałem z konsultacji u profesora Steinhausa, który skierował mnie do jednej z matematyczek. Materiały opracowywałem ze dwa lata, obliczenia trwały bardzo długo, bo przecież nie było komputerów, tylko ręczne arytmometry. Kiedy ukończyłem pracę, pod-

pisalem ją nazwiskiem Olbrychta na pierwszym miejscu, tej matematyczki na drugim, a swoje umieściłem na końcu. Wówczas profesor Steinhaus polecił mi pokierować się alfabetem, tłumacząc, że współautorstwo polega na tym, że wszyscy autorzy w równym stopniu przyczynili się do powstania dzieła. Tym samym moje nazwisko, młodego asystenta, znalazło się przed nazwiskiem profesora Tadeusza Olbrychta. Ten nie widział w tym nic niestosownego – cenił pracę.

W każdą sobotę odbywały się zebrania z asystentami. Każdy musiał przedstawić krótko i na temat, jak daleko posunął się w swoich badaniach. Profesor nie tolerował gadulstwa.

– Zorganizowałem kiedyś potańcówkę dla pracowników na Biskupinie, przy ul. Olszewskiego, w lokalu, gdzie dziś mieści się klinika okulistyka – opowiada profesor Nowicki – zaprosiłem profesora Olbrychta, który zjawił się dopiero o 2 w nocy, elegancko ubrany i wypoczęty, zdziwił się, że towarzystwo już nie tańczy. Porwał profesorową Poznańską i pokazał wszystkim klasę. Pięknie tańczył. Trzeba wiedzieć, że kiedy przebywał w Stanach Zjednoczonych, brał lekcje baletu, pokazywał mi nawet swoje baletki, które stamtąd przywiózł.

To były jednak rzadkie przypadki, bo w zasadzie profesor Tadeusz Olbrycht nie był towarzyski. Nie urządzał imienin. Nie miał czasu.



– Panie Profesorze, czego Pan się nauczył od swojego Mistrza?

– Proszę Pani – odpowiedział prof. Bolesław Nowicki – ja w swoim życiu przepracowałem 50 lat dwa miesiące i 20 dni, należało mi się 50 dni urlopu, wykorzystałem tylko pięć. Pracowałem w soboty, niedziele i wszystkie święta, od rana do wieczora. Ani jednej godziny nie opuściłem i nigdy się nie spóźniłem. Teraz jestem na emeryturze i służę żonie.



Konopiński i Olbrycht – „Dwa na słońcach swych przeciwnych – Bogi”¹²

– Byli na „ty”, ale potrafili się też kłócić – prof. Jerzy Juszczak przytacza taką anegdotę: kiedy profesor Tadeusz Olbrycht, namówiony przez Konopińskiego, zdecydował się przyjechać z Anglii i osiąść na stałe w Polsce, zapytał kolegi, co powinien ze sobą zabrać, czego w Polsce brakuje. Na to Konopiński odpowiedział ponoć, że w Polsce nie ma węgla. Rzekomo, biedny Olbrycht gdzieś jakiś transport węgla z Anglii załatwiał. Długo później nie mógł darować koledze tego żartu. Wspominając tę relację, prof. Jerzy Juszczak uważa, że obaj się w rzeczywistości lubili, chociaż mieli wiele scysji. Obaj byli pobudliwi, z tym że o Konopińskim można powiedzieć, że był rubaszny, a o Olbrychcie, że wyniosły.

Prof. Zbigniew Staliński w swym referacie o profesorze Olbrychcie powiedział m.in.: „W czasie gdy studiowałem we Wrocławiu na Wydziale Rolnym intrygowały nas jako studentów dwie sylwetki, profesora Olbrychta i profesora Konopińskie-

¹² Cytat pochodzi z poematu Juliusza Słowackiego pt. *Beniowski*.

go. Gdy się spotykali na zebraniach, w których jako studenci uczestniczyliśmy, wymiana poglądów tych dwóch osobowości była swoistą uciechą dla młodzieży, używam świadomie słowa *ucieczką* a nie *uczta duchową*, gdyż odmienność głoszonych poglądów natrafiała często u młodzieży na taki właśnie sposób odbioru”.

– Obaj – jak wspomina prof. Bolesław Nowicki – byli swoim przeciwieństwem pod względem uczuciowości, Olbrycht był oschły i chłodny a Konopiński wylewny i ciepły, pierwszy nie pamiętał o swoich imieninach, a drugi czułby się urażony, gdyby ktoś zapomniał złożyć mu życzeń.

Obaj mieli początkowo odmienne zdania w kwestii powstania Wydziału Zootechnicznego. Konopiński uważał początkowo, że nauka o hodowli zwierząt nie powinna być wydzielona z Wydziału Rolniczego, ponieważ absolwent musi mieć jak najrozleglejszą wiedzę rolniczą, tyleż samo wiadomości o hodowli zwierząt, co o uprawach roślin. Zootechnik bez rolnictwa nie będzie mógł istnieć. Konopiński chciał kompleksowego nauczania, idąc za wzorem niemieckim, widział potężny Wydział Rolniczy z jedynie specjalizacją zootechniczną. Profesor Tadeusz Olbrycht, który przywiózł nowe metody ze Stanów Zjednoczonych i Anglii, dążył – wzorem amerykańskim – do zbudowania osobnego wydziału. Podobnie jak profesor Mieczysław Cena uważał, że zootechnika jako osobny kierunek ma szansę rozwoju, ponieważ rozwijająca się produkcja zwierzęca będzie wymagać coraz większej liczby wąsko wyspecjalizowanych pracowników.

Profesor Tadeusz Olbrycht został pierwszym dziekanem Wydziału Zootechnicznego, a profesor Tadeusz Konopiński objął to stanowisko po nim.

Jak asystenci Juszczak ze Stefanowiczem kupowali warchlaki i budowali drogę

Tę historię opowiedział jeden z jej głównych bohaterów, profesor Jerzy Juszczak, późniejszy Dziekan Wydziału Zootechnicznego i Rektor Akademii Rolniczej we Wrocławiu. W czasie, kiedy miała miejsce, wraz z kolegą Janem Stefanowiczem, dopiero co ukończyli studia na Wydziale Rolnym Uniwersytetu i Politechniki we Wrocławiu. Obaj zostali na uczelni asystentami.

– Wszystko to wydarzyło się za sprawą profesora Mariana Junego, specjalisty od hodowli owiec i oceny surowców zwierzęcych. Był bardzo nierówny, z jednej strony człowiek do rany przyłóż, wszystko załatwi i pomoże, grzeczny, a czasem, jak go coś napadło, to trudno z nim było wytrzymać. Miał różne pomysły, ale był świetnym organizatorem – wspomina profesor Juszczak.

Po wojnie, w 1948 r., została zorganizowana we Wrocławiu Wystawa Ziem Odzyskanych. Jedną z wielu ekspozycji była wzorcowa zagroda wiejska, usytuowana na terenie należącym



obecnie do Miejskiego Ogrodu Zoologicznego. Profesor Juny zdobył tę zagrodę dla uczelni i wraz z asystentami pracował nad zbadaniem i opisem układu kostnego świni. Zorganizował tam bazę dydaktyczno-naukową zakładu. Powstały tam także fermy liczące po kilkadziesiąt owiec i kóz, a także kaczek, indyków i królików.

– Byliśmy asystentami, ale pracowaliśmy fizycznie na równi z robotnikiem, który był do pracy przy tej zagrodzie najęty. Sam nie dałby rady – opowiada prof. Juszczak. – Opiekowaliśmy się całym trzymanym tam zwierzyńcem. Było nas czterech: ja, Nowakowski, Kamiński i Stefanowicz. Juny przychodził i tylko objeżdżał nas, że nic nie robimy. Kiedy chcieliśmy odpocząć, graliśmy w tysiąca, ale baliśmy się profesora Junego. Wypuszczaliśmy wtedy na podwórko barana, który wszystkich bił, wtedy mieliśmy gwarancję, że profesor na podwórko nie wejdzie. Zdarzało się, że przychodził i wołał za parkanem, ale udawaliśmy, że nie słyszymy. Kiedy później pytał, twierdziliśmy, że pracowaliśmy w laboratorium, a tam nie słychać odgłosów z podwórza.

W zagrodzie znajdował się jedyny środek lokomocji, jakim w tym czasie dysponowała uczelnia – wóz z koniem. Wszystko, co było potrzebne na uczelni, nim wozili. Kiedyś do badań trzeba było zakupić dwie świnię. Juszczak ze Stefanowiczem wsiedli na wóz i pojechali na targ, który mieścił się na placu, gdzie teraz znajduje się centrum handlowe Magnolia Park. Kupili dwa warchlaki, zapakowali do worków i wieźli z powrotem.

– Jedna ze świń, gdzieś koło ulicy Ruskiej, przedarła worek i uciekła w gruzy. Stefanowicz wręczył mi do trzymania drugiego warchlaka i zostawił razem z wozem i koniem, a sam pobiegł za tą, co uciekła. Ludzie pomogli mu ją schwytać, przyniósł, ale nie było już gdzie jej schować, bo worek podarty. Stefanowicz

trzymał tę świnie, a jak się świnie trzyma, to ona się strasznie drze. I tak jechaliśmy przez całe miasto. W dodatku wolno musieliśmy jechać, bo koń był trochę kulawy. Stefanowicz powiedział mi, że już więcej ze mną nigdzie nie pojedzie.

Profesor Marian Juny miał różne pomysły. Kiedyś przyszedł do zagrody i powiedział, że trzeba zrobić drogę dojazdową. To będzie łatwe: rozgarnąć łopata i wyrównać. Skoro trzeba, to asystenci zabrali się do pracy. Po kilku dniach, gdy już wyłaniała się droga, profesor Juny przyszedł i stwierdził, że to musi wyglądać porządniej i trzeba zrobić drugi pas, żeby była dwukierunkowa. Profesor Juszcak rozstał się wówczas ze swoim dotychczasowym szefem, przyszedł do katedry prof. Jerzego Kotlińskiego, tam zrobił doktorat o świniach, a później znalazł się u profesora Konopińskiego.

W Brzozówce na Przełęczy Kowarskiej uczelnia utrzymywała stado owiec, mieściła się tam też bacówka, w której mieszkał pracownik-opiekun stada. Pewnej srogiej zimy prof. Marian Juny zlecił swojemu asystentowi Stefanowiczowi, żeby pojechał do tego pracownika, zawiózł mu zapasy żywności i w ogóle sprawdził, czy ten żyje. I chociaż Jan Stefanowicz raz już się zarzekał, że z kolegą Juszcakiem już więcej nigdzie nie pojedzie, poprosił go tym razem o towarzystwo. Na dworcu okazało się, że z powodu śnieżycy żaden z pociągów nie jeździ w tamtą stronę, ale przejeżdża czasem sama lokomotywa, za pomocą której maszyniści sprawdzają stan trasy. Obaj asystenci zabrali się lokomotywą, która wysadziła ich na Przełęczy Kowarskiej. Dotarli do bacówki, gdzie okazało się, że pracownik nie umiera z głodu, przczekali kilka dni, aż śnieżycy ustąpi i wrócili do Wrocławia.

Teraz byłoby niemożliwością, żeby zadać asystentowi robotę, która się nie wiąże z jego tematem naukowym. Ale to były inne czasy. Profesor Jerzy Juszcak wspominał, że siedł ostatnio ulicą



Norwida z kolegą, innym profesorem, który zwrócił uwagę na budynek uczelni i powiedział: *Za naszych czasów to światła paliły się do późnej nocy, wszyscy pracowali, a teraz pali się tam jedno okienko, pewnie ktoś zapomniał zgasić światło.*

– Przypomniałem mu, że w tamtych latach siedzieliśmy i liczyli, a teraz wszystko robi za nas komputer. Podążaliśmy zawsze za nowymi metodami, a wtedy nowością była statystyka. Obliczeń statystycznych w pracach naukowych wymagał rygorystycznie profesor Zygmunt Ruszczyk. Wszystkie obliczenia były żmudne w tamtym czasie, na piechotę. Sukcesem było, kiedy w jakimś antykwariacie udało mi się kupić angielską książkę kwadratów, już przynajmniej tego nie trzeba było liczyć, tylko można było sprawdzić każdą następną potęgę. Sukcesem było zdobycie arytmometru, a później pojawienie się elektrycznego sumatora do sumowania liczb. Nad byle jakim obliczeniem statystycznym, aby obliczyć wiarygodność doświadczenia, trzeba było siedzieć tydzień.

Wiele aparatów robili sobie sami, na przykład prosty aparat do badania zdolności wydojowej krów.

– Zawsze – jak wspomina profesor Jerzy Juszczak – staraliśmy się wprowadzić coś nowego. Na tym polega postęp – dodaje. – I jeszcze na tym, żeby stworzyć uczniowi możliwości bycia lepszym od swojego nauczyciela.

Napoleon Markowski

– Jaki był profesor Zygmunt Markowski?

– Wspaniała – odpowiada jednym słowem Helena Skurska, która ma 95 lat, a we Lwowie, kiedy tuż przed wojną zdawała maturę i pod okupacją pracowała w instytucie Beringa zarządzanym przez Niemca prof. Zendelmayera, była dwudziestoletnią dziewczyną.

Przyjechała do Wrocławia ze swoim ojcem Michałem Skurkim i bratem Adamem, który zabrał swoją żonę i małą córkę. Pamięta, że do transportu kolejowego zapakowały się uniwersytet, medycyna, politechnika i weterynaria. Jechali profesowie, asystenci, studenci, technicy. Wszyscy razem tak jak we Lwowie pracowali, tak razem zapakowali się do pociągu:

– Jechaliśmy, wiedząc o tym, że Wrocław jest zniszczony – mówi Skurska.

– Jakby wziąć garścią kawałek Lwowa i przenieść do Wrocławia, tak to sobie zawsze wyobrażałem – opowiada profesor Ryszard Badura. – A profesora Markowskiego rzeczywiście nazywano Napoleonem.

Był bardzo arystokratyczny w obyciu, charakteryzował się niezwykle silną osobowością. Ukończył medycynę i weterynarię, w Wiedniu się specjalizował. Weterynarię rozumiał jako naukę medyczną, weterynaria to medycyna weterynaryjna. Markowski

widział konieczność jej naukowego rozwoju. Można powiedzieć, że podniósł prestiż akademicki uczelni weterynaryjnej, wyrwał ze szkół kucia. W praktyce, pościagał profesorów z medycyny – Antoniego Banta, Aleksandra Zakrzewskiego, Moraczewskiego, z Uniwersytetu im. Jana Kazimierza – Gustawa Poluszyńskiego, z Politechniki – Janowskiego, ludzi, którzy mieli dorobek odpowiadający, ale u siebie nie mogli doczekać się na osiągnięcie profesury. Takie panowały wówczas zasady. W katedrze mógł być tylko jeden profesor, jeden z docentów zostawał nim dopiero po śmierci swojego szefa. Markowski, zapraszając tych wybitnych naukowców, dawał im możliwość awansu. Korzyści były obopólne.

– Nasycił weterynarię akademickością, przyczynił się do tego, że dzisiaj możemy mówić *medicina una est, nun discipline multiplices* – podsumowuje profesor Badura.

– Czy spotykała Pani profesora Markowskiego we Lwowie?

– Mój ojciec pracował jako portier na Akademii Medycyny Weterynaryjnej – wspomina Helena Skurska. – Wychował, można powiedzieć, czterech profesorów: dwóch swoich synów – Rudolfa i Adama, Fredka Senzego i Frania Wandokantego – synów kolejarzy. Razem się uczyli u nas. Kiedyś ojciec mówi do profesora Markowskiego: *Mi, portierowi trudno utrzymać swoich chłopców, a tu jeszcze dwóch przychodzi, bo nie mają u siebie warunków do nauki. Co tu zrobić, Panie Profesorze?* Markowski na to: *Jak będą się uczyli na bardzo dobrze, to będą zwolnieni z opłat uczelnianych.* I uczyli się u nas. Innym razem ojciec mówi do profesora Markowskiego: *Taki duży półmisek mama zrobiła gołąbków czy pierogów, wszystko zjedli i oglądają się, żeby coś jeszcze.* A Markowski na to: *Niech Pan kupi grzybnię pieczarek, rozrzuci na gazony przed dziekanatem i co rano niech córka z koszykiem zbiera, będziecie mieli do tych pierogów i gołąbków.* I ojciec tak zrobił.

– To jaki jeszcze był ten Markowski?

– Taki właśnie jak powinien być – odpowiada Skurska. – Postawny mężczyzna, robiący wrażenie nawet na tramwajarzach, którzy zatrzymywali tramwaje, żeby wysiadł sobie na rogu i miał blisko na uczelnię. To było już we Wrocławiu. W kieszeni zawsze miał czekoladki dla dzieci. Jeśli któreś umiało powiedzieć wierszyk, dawał pomadkę. Kiedy byłam mała, a to było jeszcze we Lwowie, rano stawałyśmy z koleżankami przed drzwiami i zawsze mówiłyśmy profesorowi wierszyk na dzień dobry, żeby dostać czekoladkę. Wiedział, co komu trzeba.

– Jak odnaleźliście się w nowym świecie, w obcej przestrzeni i nowych czasach?

– Bogu dziękowaliśmy, że przeżyliśmy wojnę i jesteśmy razem. To było najważniejsze. A po drugie uważaliśmy, że z tego, co tu we Wrocławiu zastaliśmy, da się coś zrobić. Owszem, Markowski był energiczny. Oni wszyscy byli i chcieli w życiu dobrze robić. Byli życzliwi i ludzcy. Pamiętam taką historię – choć to akurat nie o Markowskim – Nie chciałyśmy z koleżanką tracić roku, więc pojechałyśmy do Poznania, żeby złożyć papiery na studia medyczno-farmaceutyczne. A tam w dziekanacie nam mówią, że nie przyjmą dokumentów, bo nie mają tłumacza przysięgłego, a i akademik trzeba by było dać. Niestety, odmawiają. Wyszłyśmy zapłakane z tego dziekanatu i wpadłyśmy prosto na profesora Ajdukiewicza, który znalazł się po wojnie w Poznaniu, chwyciłyśmy go za rękę: *Zdawaliśmy u Pana egzamin, niech Pan nas ratuje!* Poratował, poszedł do dziekana i zaświadczył, że studiowałyśmy we Lwowie na pierwszym roku, dyplom dziekanowi sam przetłumaczył, podpisał swoim autorytetem i miałyśmy rok uratowany.

Profesor Ryszard Badura opowiada, że profesor Zygmunt Markowski miał poczucie humoru i zdystansowany stosunek

do powojennej rzeczywistości kraju. Zawsze przed pierwszym maja odbywały się na uczelni mityngi, na których trzeba było podejmować się różnych zadań, czynić zobowiązania pierwszomajowe. Na budowach robotnicy obiecywali, że szybciej niż zaplanowano wybudują osiedle, a na uczelniach zobowiązywano się do innych rzeczy. Rektor prowadził takie zebranie. Markowski stawał zawsze pierwszy i donośnym głosem oświadczał, że on z okazji pierwszego maja albo rewolucji październikowej podejmuje się napisania podręcznika z interny.

– A kiedy już wracaliśmy po tym mityngu z panią Matyldą Szczudłowską, mówił, że on ma życie poza sobą i spędził je świetnie, ale nie zazdrości nam, że musimy w tym systemie zostać – dodaje profesor Badura.

– Słyszałam, że profesor Markowski a także inni, którzy się tu pojawili po wojnie, z energią zajęli się budowaniem uczelni we Wrocławiu?

– Widziałam ten entuzjazm – wspomina Skurska. – Uczelnia żyła od rana do wieczora. Nie tylko nauczała studentów, ale przychodziło dużo ludzi, którzy potrzebowali leków, kosmetyków, porad, przyprowadzali zwierzęta albo przychodzili ze swoimi chorobami. Uczelnia była dla ludzi otwarta. To tworzyło pełnię życia – człowiek nie był zasklepiony. A profesorowie byli wzorami jako światli, mądrzy ludzie, nie tylko jako nauczyciele akademicy. Mój ojciec był portierem we Lwowie, a później we Wrocławiu przy ul. Norwida. Pracował do śmierci, czyli do stu lat.

Państwo Szczudłowscy – historia o miłości... również do muzyki i koni

Tuż po drugiej wojnie światowej, w 1945 r., profesorowie opuścili Lwów, gdzie na uczelni dobrze zorganizowanej i o długich, dobrych tradycjach wiodło im się szczęśliwie. Znaleźli się we Wrocławiu – w obcym mieście – gdzie weterynarii nigdy nie było. W przedwojennym Breslau istniał, co prawda, Instytut Weterynarii ze Szpitalem dla Zwierząt przy Instytucie Rolniczym akredytowanym przy Wydziale Filozoficznym, nauczający studentów podstaw, i nic więcej. Profesorowie nie byli w sile wieku, większość z nich przekroczyła już sześćdziesiątkę, zajęli się jednak kształtowaniem wydziału w taki sposób, jakby mieli żyć wiecznie: dyskutowali, obsadzali katedry, planowali, jak wszystko urządzić i rozbudować.

– Bardzo mi to imponowało – wspomina profesor Ryszard Badura, absolwent pierwszego rocznika wrocławskiej weterynarii. – Ludzie ci mieli olbrzymią charyzmę, przyszli tu już ze swoją legendą, byli ukształtowani i na studentach wywierali wielkie wrażenie. A swój Lwów potrafili przedstawić w taki sposób, że człowiek od razu się w nim zakochał.

Profesor Kazimierz Szczudłowski należał do lwowskiej kadry, był ostatnim rektorem w Akademii Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie. Profesor Ryszard Badura trafił do niego za namową doktora Zbigniewa Madeja, wówczas asystenta profesora Zakrzewskiego, który mu powiedział: *Jeśli chcesz nauczyć się zawodu, idź do Szczudłowskiego.*

– No to poszedłem.

Katedra profesora obejmowała wówczas chirurgię ogólną, chirurgię szczegółową, w tym wszystkie techniki operacyjne, raczkującą okulistykę, wykluwające się początki radiologii, ortopedię i położnictwo. Spośród zwierząt królował koń, a choroby kończyn stanowiły najistotniejszy problem.

Szczudłowski był przede wszystkim praktykiem. Uważał, że jeśli ktoś nie zna dobrze zawodu, to nie będzie zdolny do prowadzenia efektywnych badań. Jego ojciec był instruktorem podkuwactwa, co na przełomie XIX i XX w. cieszyło się dużym poważaniem, wojsko posługiwało się końmi i transport się na nich opierał. Kazimierz Szczudłowski miał więc z tymi zwierzętami do czynienia od dzieciństwa, podczas pierwszej wojny światowej walczył na froncie włoskim, a po 1918 r. w był kawalerzystą i lekarzem w stopniu kapitana w wojsku polskim, prowadził też szkołę kucia.

Wszelkie umiejętności posiadał w palcach. Na początku minionego stulecia nie było rezonansu magnetycznego, tomografu, ultrasonografu, rentgena, nie mówiąc już o komputerach, wszystkie badania konia przeprowadzano dotykowo.

– Szczudłowski miał wyjątkowe wyczucie, taką umiejętność badania i diagnozowania, że nigdy więcej już nikogo takiego nie spotkałem – wspomina profesor Badura.

Był bardzo spokojny i zrównoważony, a jednocześnie dynamiczny. Czasem na podwórze, zwłaszcza w dni targowe, stało

30 koni, które trzeba było zbadać. Szczudłowski uwijał się między nimi tak szybko, że asystenci nie nadążali. Nawet w późniejszym wieku zadziwiał dobrą kondycją fizyczną. W młodości uprawiał wiele sportów – grał w tenisa, jeździł na nartach, uprawiał piesze wycieczki górskie. Umysł miał ścisły i dbał o precyzję wysławiania się. Jego wykłady były niesłychanie syntetyczne, w myśl żartobliwej sentencji, którą czasem wygłaszał: *Im więcej będziesz mówił, tym więcej głupstw powiesz.*

– Kiedy napisałem pierwszą pracę, przeczytał i powiedział: *Bardzo dobrze to napisałeś, tylko teraz napisz tak, żeby ten, kto Cię będzie czytał, rozumiał to samo, co ty chciałeś powiedzieć* – opowiada profesor Badura. – Szczudłowski, jak coś powiedział – była to sama esencja. Podziwiałem jego umiejętność syntetycznego myślenia i wyrażania myśli. Zawsze chciałem tak umieć.

Profesor – weteran dwóch wojen światowych i wojny polsko-bolszewickiej z 1920 r. – bał się Rosjan, znał ich i czuł niepokój przez cały okres komunizmu. Kiedy zawiązała się Solidarność, obawiał się krwawego stłumienia ruchu, jak na Węgrzech. Spalił wówczas liczne listy, które przez czterdzieści lat otrzymywał od swoich byłych studentów, lwowskich absolwentów; wielu z nich wyjechało za granicę i pisali stamtąd, przysyłając nawet paczki. Nie chciał narazić rodziny na ewentualne represje.

Profesora Kazimierza Szczudłowskiego charakteryzowała ostrożność i trzeźwość myślenia, zwłaszcza w odniesieniu do politycznej rzeczywistości czy to czasów wojennych, czy późniejszych. Opowiadał profesorowi Badurze o swoim szwagrze, który uciekł przed Niemcami z Krakowa i zatrzymał się u nich we Lwowie. Gdy bolszewicy zajęli Lwów, pojawiły się w mieście ogłoszenia, że cywilni uciekinierzy spod okupacji niemieckiej muszą się zarejestrować. Szwagier chciał to oczywiście uczynić, ale Szczudłowski powstrzymał go. Okazało się później, że wszyscy zarejestrowani zostali wy-

wiezieni do łagrów na Syberię. Szwagier przedarł się do Krakowa przez zieloną granicę i przeżył.

Natomiast w czasach powojennych, już we Wrocławiu, wybrali profesora Szczudłowskiego kiedyś na przedstawiciela rady wydziału do ministerstwa. Pojechał, wziął udział w obradach, zanotował podsumowanie, wrócił i zreferował, jakie powzięto ustalenia. Później okazało się, że obowiązuje zupełnie coś innego. Po tym doświadczeniu na obrady wysyłał już depeszę: *Z powodu choroby przybyć nie mogę.*

Dzień profesora miał ustalony, niezmienny porządek. Mieszkał przy ul. Łukasiewicza. Do pracy przychodził zawsze pierwszy, przed ósmą. Wszyscy asystenci też musieli być od rana na stanowiskach do dyspozycji pacjentów i ich opiekunów oraz studentów, którzy rano słuchali wykładów, a po południu mieli ćwiczenia. O 13.00 profesor wracał do domu na obiad, po którym odpoczywał w fotelu, czytając gazetę. Niedługo, bo przed 15.00 córka w domu zaczynała lekcje gry na wiolonczeli i fortepianie, wtedy profesor ewakuował się z powrotem na uczelnię. O 15.00 zaczynały się ćwiczenia ze studentami, które trwały do 18.00. Szczudłowski bywał w klubie prasy i książki, tam czytał zagraniczne czasopisma, a co piątek razem z żoną chodzili do filharmonii. Sam nigdy się nie spóźniał i nie tolerował tego u swoich uczniów. Profesor Ryszard Badura opowiada, że gdy w tamtych latach dorabiał do marniutkiej pensji asystenta w Liceum Urszulanek, ucząc biologii, zdarzało mu się czasem, że nie mógł zdążyć na 15.00. Musiał wtedy bardzo uważać, żeby nie natknąć się na profesora, który natychmiast surowo przywoływał do porządku: *O której zaczynają się zajęcia, panie kolego?*

Profesor, kiedy był w dobrym humorze, zwracał się *per wy, wy kolego*, ale kiedy był zły, mówił *panie kolego*, tonem, który nie pozostawiał złudzeń.

W ciągu semestru ten porządek kilka razy ulegał zachwianiu. Otóż, w Lublinie na Wydziale Medycyny Weterynaryjnej przez dwa powojenne lata nie było wykładowcy od położnictwa, Szczudłowski kilka razy w semestrze jeździł więc na drugi koniec Polski i tam to położnictwo wykładał. A pociągi, w co trudno uwierzyć, były w jeszcze gorszej kondycji niż współcześnie.

Nie było pardonu, jeśli ktoś nie umiał na egzaminie. Gdy student mówił mu, że jest zdenerwowany i dlatego odpowiedź tak mu źle idzie, to Szczudłowski ironicznie doradzał: *Jak pan jest taki zdenerwowany, to niech pan uczy się na celująco, wtedy dostateczny pan dostanie.*

– Najpierw trzeba było zdać przy koniu, później narzędzia i podkowy. Jak który student nie umiał chodzić koło konia, to profesor odwracał się i szedł do gabinetu bez słowa. Wiadomo było, że jest już po egzaminie – opowiada profesor Badura.

Bano się go, bo był wymagający i ostry, choć ponoć we Wrocławiu już nie tak bardzo jak we Lwowie. Po lwowskiej uczelni lekarze weterynarii zarabiali dużo pieniędzy, dlatego po czterech latach studiów, kiedy osiągnęli status absolwentów, choć jeszcze bez dyplomu, wielu podejmowało pracę w terenie i już nie kończyło studiów. Dopiero po wojnie przyjeżdżali do Wrocławia, żeby zdobyć dyplom. Przywieźli legendę Szczudłowskiego: znawcy, praktyka i surowego egzaminatora. On sam stwierdzał krótko: *Nie mogłem tolerować nieuctwa, bo lekarz weterynarii po studiach ma zawód społecznego zaufania, dzięki któremu dobrze zarabia, musi więc umieć.* Nie odpuszczał nawet studentom, którzy przychodzili z innych kierunków i musieli uzupełnić wiedzę, zwłaszcza w klinikach. Jednemu kiedyś wpisał do indeksu „bez noty”, bo – jak mówił – nawet na dwóję nie umiał.

Ze Lwowa przyjechała jeszcze jedna legenda, bardzo romantyczna – historia miłości profesora Kazimierza Szczudłowskiego do Matyldy.

W latach 20. ubiegłego wieku Kazimierz Szczudłowski był lwowskim profesorem i kawalerem już niemłodym, o ustalonych poglądach w kwestiach małżeństwa. Uważał bowiem, że jak ktoś chce się poważnie zająć nauką, to nie może się wiązać z żadną kobietą, bo ona będzie mu tylko przeszkadzać.

Ale Matylda była wyjątkowa. Wówczas studentka, pierwsza kobieta we Lwowie studiująca weterynarię, w dodatku uderzająco piękna. Wywodziła się z rodziny muzyczno-teatralnej, jej matka była śpiewaczką, a siostra wiolonczelistką pracującą w Filharmonii w Krakowie i profesorem w Akademii Muzycznej. Szwagrem był natomiast reżyser i profesor krakowskiej Szkoły Teatralnej. Matylda również ukończyła konserwatorium muzyczne. Była kulturalną, wykształconą, elegancką indywidualistką.

Dlaczego zdecydowała się na studia weterynaryjne? Tego profesor Ryszard Badura nie wie. W tamtych czasach klientem lekarza weterynarii było wojsko albo był nim niewykształcony chłop, trzymający konie, krowy, buhaje na zacofanej wsi, zwykle w fatalnych warunkach. To zdecydowanie nie był zawód dla kobiet. Dzisiaj klientela się zmieniła, przychodzą ludzie kulturalni i wykształceni, przyprowadzając często małe, czyste zwierzęta. Jak to się stało, że pani Matylda znalazła się na weterynarii? Nie wiadomo. Z pewnością była rozmiłowana w zwierzętach.

– Pamiętam – opowiada profesor Badura – że była bardzo wrażliwa na cierpienie zwierząt, zawsze pilnowała, żeby przed zabiegiem odpowiednio znieczulić pacjenta i nie przysparzać mu zbędnego bólu. Była niechętna wszelkim eksperymentom na zwierzętach. Miała tu swojego ulubionego konia o imieniu

Bunio. Kiedy już byłem szefem katedry, Bunio był już bardzo stary. Kiedyś patrzę na niego, a on leży i nie jest w stanie się podnieść. Zdecydowałem, że trzeba przerwać jego cierpienia. Szczudłowska wyjechała wtedy na urlop, a kiedy wróciła, nie chciała przyjąć do wiadomości śmierci tego konia. Zapamiętała mi to do końca życia.

Studenci we Lwowie, czyli jej koledzy, zachowywali się wobec niej w sposób obcesowy i niegrzeczny, nie pasowała do męskiego towarzystwa, ale profesura – przeciwnie – z atencją. Szczudłowski zakochał się w niej. Kiedy ukończyła studia i rozpoczęła pracę nad doktoratem u profesora Zygmunta Markowskiego, ten przyjął ją na stanowisko kierownika apteki. Miejsce, w którym pracowała, sąsiadowało z katedrą Szczudłowskiego. Kiedy tylko Matylda wychodziła na balkon, Szczudłowski natychmiast podchodził do okna i rozmawiał z nią.

– Ukraińcy we Lwowie do tej pory pokazują ten balkon – mówi profesor Badura – co świadczy o tym, że ta historia jest bardzo żywotna.

Kazimierz Szczudłowski mógł się podobać. Nie był młodziutki, ale był przystojny, ustabilizowany i mądry – mógł fascynować młodą, inteligentną kobietę. Kiedy Matylda wyszła za mąż za profesora Kazimierza Szczudłowskiego, przestała pracować i zajęła się domem, prowadząc bardzo kulturalne życie.

Po drugiej wojnie światowej profesor Szczudłowski sam przyjechał do Wrocławia, żona zatrzymała się u siostry w Krakowie. Chciała zamieszkać tam, gdzie była jej rodzina, ale też świat wysokiej kultury. We Wrocławiu nic nie było, tylko zgłiszcza i niepewność. Szczudłowski pojechał po nią i powiedział: *Pakuj się, tam jest etat dla Ciebie, musisz wspomóc ten wydział.* W tamtych czasach nie było dobrze widziane, żeby profesor zatrudniał kogoś z rodziny pod swoim kierownictwem, dlatego Szczudłow-

ska pracowała jako okulista w katedrze profesora Markowskiego, ale oddelegowana była do katedry męża.

Mieli dwie córki. Obie otrzymały solidne wykształcenie muzycznie. Jedna została lekarzem okulistą a druga wiolonczeliską – pobierała nauki u Wilkomirskiego i Rostropowicza, wyszła za mąż za muzyka, Szwajcara, zamieszkała w Genewie i zatrudniła się w tamtejszej filharmonii. Rodzice wyjątkowo pozwolili na to małżeństwo. Matka pilnowała w domu dyscypliny i nie akceptowała konkurentów do ręki jednej czy drugiej córki, którzy pochodzili ze świata artystycznego, bo sama ten świat znała aż za dobrze. Zwłaszcza aktorzy nie mieli szansy na łaskawe przyjęcie.

Profesor Matylda Szczudłowska lubiła studentów. Matkowała im. Z ramienia uczelni była też formalnie opiekunem studentów zagranicznych. Wiele potrafili u niej wyprosić. Profesor Badura wspomina, że gdy ktoś oblał u profesora Szczudłowskiego egzamin, to przychodził skruszony do jego żony i tłumaczył się, że ktoś mu z rodziny zmarł albo chorował i dlatego nie mógł się nauczyć. Szczudłowska szła wtedy do męża i prosiła: *Kaziczku...* Ale kiedy już po raz trzeci przychodziła tego samego dnia, profesor delikatnie protestował: *Madzuniu, ja przez ciebie to tylko czas tracę.*

Każdego marca, na swoje imieniny profesor zapraszał do swego domu wszystkich z katedry: asystentów i laborantów. Podkreślał tym więź z katedrą i bez różnic stanowiskowych. Szanował pracę wszystkich i w tym dniu okazywał, że wszyscy są ważni. Oczywiście, wszyscy składali również życzenia profesorce, ponieważ jej imieniny także przypadały w marcu. Pani Matylda Szczudłowska organizowała jeszcze osobne przyjęcie. Zapraszani byli wówczas profesorowie z teatru, szkoły muzycznej i asystenci.

Profesor zmarł w wieku 95 lat, ona dożyła 104. Kiedy miała 97 lat czuła się jeszcze bardzo dobrze. Nie mogła chodzić ze względu na zmiany miażdżycowe, ale na wózku wozila ją zakonnik. Jechały zwykle na spacer do Hali Stulecia (wówczas Ludowej), tam profesorowa zjadała kiełbasę z rusztu, popijała jednym małym piwem i wracały. Była żywotna, a poczucie humoru nigdy jej nie opuszczało.

Bant.

Profesor Antoni Bant wiódł prym na Wydziale Medycyny Weterynaryjnej. Przez dwie kadencje był dziekanem, wsławiając się jako bardzo skuteczny organizator. Był twórcą bazy materialnej uczelni. Budyunki weterynaryjne, łącznik z głównym gmachem i dobudowa sal zostały wzniesione według jego pomysłu. On też zdobył na nie fundusze. Zawsze dopinał swego. Głośnym echem obija się po wyższych uczelniach historia, jak to profesor Bant pojechał do Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego w sprawie finansowania budowy klinik, a kiedy sekretarka próbowała go zbyć, usiadł i oznajmił, że ma czas, a na czas pana ministra zaczeka. Minister się nie prześlizgnął i Bant pieniądze dostał.

Profesor Bant studiował medycynę i pracował na Akademii Medycznej we Lwowie, na Akademię Medycyny Weterynaryjnej przeszedł nakłoniony przez profesora Zygmunta Markowskiego, a po wojnie przybył do Wrocławia uniwersyteckim transportem wraz z innymi profesorami lwowskimi.

Profesor przeżył we Lwowie osobistą tragedię – jeszcze przed wojną w wypadku zginął jego kilkuletni jedyny syn – został przygnieciony zmurszałą płytą nagrobną na cmentarzu.

Antoni Bant, pełniąc funkcję dziekana, nie używał żadnych pieczętek, uważał bowiem, że jego podpis wystarczy. Pisał *Bant* i już. Cały dziekanat, czyli wszystkie ważne dokumenty wydziału,



nosił w swojej teczce (w tym czasie nie uczyło się tak wielu studentów i dziekanaty nie były zbyt rozbudowane).

Bant miał ok. 165 cm wzrostu i szczupłą posturę. Zawsze chodził w białym fartuchu, a w niepogodę nakładał na buty specjalne krótkie kalosze. Miał też wadę wymowy – głoski s, c, dz wymawiał ze specyficznym szelestem.

Wykładał anatomię porównawczą dla studentów pierwszego roku i anatomię topograficzną dla trzeciego. Wiedzę miał wielką i wykładał z marszu – kreda i mazanie. Na wykładach starał się powiedzieć wszystko. Zamęczał studentów greką i łaciną – nazwy każdej kosteczki w obu starożytnych językach musiały być odmienione przez wszystkie przypadki – oraz porównaniami. Bant uwielbiał porównania, wszystko było do czegoś podobne. Gdy mówił na przykład o budowie czaszki i jej kościach płaskich, to kazał asystentowi Janowi Stefanowiczowi przynieść rozerwaną gumową piłkę, którą właśnie znalazł gdzieś na budowie. Stefanowicz przynosił, a profesor pokazywał. Oczywiście, nie brakowało prawdziwych czaszek do pokazania, ale zawsze musiał omawianą część porównać do czegoś zupełnie innego. Kiedy mówił o jelicie i o tym, że w środku znajdują się charakterystyczne żłobienia, znajdował porównanie do lufy armatniej, której kawałkiem naturalnie dysponował i kolega Stefanowicz musiał go szybko przynieść z gabinetu.

Profesor mieszkał przy ul. Rodakowskiego 27, w willi na Biskupinie. 13 czerwca, w dniu św. Antoniego, zapraszał profesorów i asystentów na swoje imieniny. Na podwórzu kampusu Biskupińskiego miał też kurnik, w którym trzymał stadko kur i zawsze z rana zbierał jajka. Kiedyś studenci kupili jajka i ci chaczem podłożyli na grzędę. Profesor był bardzo zadowolony ze zbioru, dopóki nie zauważył, że jajka mają stemple. Wybuchła awantura i do żartu nikt się nie przyznał. Profesor Piotr

Paweł Wyrost – asystent Banta opowiada, że chociaż jajek nie podkładał, przyczynił się do temperatury całej akcji, bo zanim zobaczył te pieczętki, usiłował wmówić rozsierdzonemu profesorowi, że te jajka na pewno zniosły jego kury, bo któżby się ośmielił... Profesor hodował też pszczoły i zbierał miód. Uchodził za znawcę, choć – jak wspomina profesor Wyrost – raczej nim nie był.

Miał blisko z Rodakowskiego, przychodził więc na uczelnię o każdej porze z ulubionym psem, który nazywał się Smok i leżał zawsze przy biurku.

– *Szmok, wyjdź, bo zgłupiejesz, student mówi głupstwa, wyjdź, bo nawet ja nie mogę tego słuchać* – mawiał profesor Bant podczas zaliczeń.

Profesor miał ambiwalentny stosunek do czasu i rozkładu zajęć. Jeśli wykład rozpoczynał się o 8.15, to przychodził o w pół do dziesiątej, ponieważ idąc wałem, wstępował jeszcze na histologię, gdzie wypijał herbatę. Zostawało mu jakieś 40 minut czasu, ale zupełnie się tym nie przejmował, tylko dawał wykład na dwie godziny. Jeśli starosta roku był odważny, to wstawał i mówił:

– *Panie Profesorze, mamy wykład z botaniki na Cybulskiego.*

– *A czo mnie to obchodzi? Ja ma dwie godziny* – odpowiadał profesor zupełnie niezrażony.

I studenci grzecznie siedzieli. Niewątpliwie odczuwali presję. Gdy po południu zajrzał na ćwiczenia prowadzone przez asystentów i o coś zapytał, to mało kto umiał przytomnie odpowiedzieć. Studenci bali się go panicznie. Profesor Bant – jak wspomina profesor Jerzy Monkiewicz – kiedyś się zdenerwował:

– *Nicz nie umiecie. Zarządzam: poniedziałek, wtorek, środa, czwartek...*

– *Panie Profesorze, wojsko mamy w czwartek, musimy być.*

– Czo, czo? To piątek – prosektorium codziennie od 15 do 18 godziny! I szobota przed południem!

No i asystenci musieli być, i te zajęcia zarządzane poza planem ze studentami odbywać. Asystentów profesor Bant miał kilku. Jednym z nich był Piotr Wyróst, późniejszy profesor i kierownik Katedry Anatomii. Jemu Bant za pośrednictwem asystenta Mariana Sobocińskiego zaproponował asystenturę, choć Wyróst był jeszcze wtedy studentem. Studia ukończył w 1952 r., a doktoryzował się w 1960 r.

Spod ręki profesora Banta wyszło kilku znakomitych uczonych, np. prof. Karol Buluk późniejszy kierownik Katedry Patologii Ogólnej Akademii Medycznej w Białymstoku, prof. Marian Kubasiewicz – kierownik Katedry Anatomii Akademii Rolniczej w Szczecinie, Czesław Nieżankowski – kierownik Katedry Anatomii Akademii Medycznej we Wrocławiu, Jan Gienc – kierownik Katedry Anatomii na Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim w Olsztynie.

Wymagania profesor Antoni Bant miał duże. Gromił studentów na egzaminach. Mało kto zdawał u niego w pierwszym terminie. W zasadzie nie stawiał dwój, ale nieustannie odsyłał, czasem po 15 razy. Ukochał odsyłanie. Egzaminował nawet do godziny 22.

– Na moim roku było około 130 osób – wspomina profesor Jerzy Monkiewicz – przeszło 30, a setka repetowała. Wszyscy polegli u Banta.

– Na moim roku – wspomina lek. wet. Mieczysław Kopeć – było około 80 osób, w pierwszym terminie przeszła połowa.

Na egzamin profesor przyjmował pięć osób, które dzielił na dwie grupy: dwie osoby szły na praktyczny, czyli musiały preparować jakiś wskazany fragment, a trzy osoby na teoretyczny. Tamtym dwóm mógł pomóc czasem jakiś asystent, na przykład

doktor Jacek Zabłocki, którego wszyscy lubili. Potem była zamiana, jeśli przypadkiem ktoś zdał teorię przed profesorem.

Egzamin był publiczny, z tyłu siedzieli studenci, którzy byli jeszcze przed egzaminem, czyli tzw. giełda, i słuchali, czego profesor pyta i jakie odpowiedzi go zadowolają. Jak się mocno zdenierwował, to brał krowią miednicę i walił nią w stół, a kości rozpryskiwały się na wszystkie strony. Giełda uciekała ze strachu z sali.

– Zdałem egzamin dzięki temu, że mi dali ściągę – opowiada profesor Monkiewicz. – Na pytania z kości i mięśni odpowiedziałem, ale o mózdzku pamiętałem jedynie, że taki jest. Ktoś z tyłu, z giełdy, podsunął mi kartkę z wykładu, niewyraźnie napisaną. Profesor Bant się gdzieś spieszył i już się trochę pogubił: *Acha, tu odpowiedzieliście, w porządku, tu zaliczone, to kończymy... a zaraz, zaraz, kolega Monkiewicz tu ma jeszcze mózdzek... proszę odpowiadać*. No to przeczytałem powoli i jękając się, bo nie mogłem odczytać, do dziś pamiętam, że w tym mózdzku są cztery jądra podkorowe. W każdym razie zdałem ten egzamin. – *Kolega najlepiej odpowiedział – plus trzy*.

Ale lek. wet. Mieczysław Kopeć wspomina marny los jednego podpowiadacza – był nim Jerzy Wustinger – późniejszy profesor Katedry Anatomii, który u profesora Banta dostał trójcę, ale zamiast pójść do domu i cieszyć się z tej tróji, usiadł z tyłu i podpowiadał kolegom. Profesor Antoni Bant doczekał cierpliwie do końca egzaminów, poprosił kolegę Wustingera do siebie, skreślił postawioną wcześniej w jego indeksie ocenę i wlepił niedostateczny.

Profesor Bolesław Nowicki pamięta historię, jak to na egzamin u profesora Banta czekała studentka, była ostatnia i poszła na chwilę do toalety. W tym czasie profesor skończył egzamin, zobaczył, że już nikogo nie ma, zamknął katedrę i zabrał Smo-

ka do domu. Dziewczyna spędziła całą noc wśród tych kości. Rano znalazł ją woźny, gdy siedziała przestraszona i zziębnięta pod gabinetem profesora. Zdała.

W indeksie Bant nierzadko opatrywał ocenę komentarzem, czasem stawiał trzy minus. Ten minus postawiony na pierwszym roku studiów oznaczał, że profesor wróci do tematu na trzecim i obok anatomii topograficznej zada pytanie z opisowej.

Profesor Antoni Bant był straszny, ale też skuteczny. Wszyscy lekarze weterynarii, którzy opuszczali mury wrocławskiego Wydziału Medycyny Weterynaryjnej, znali anatomię pięciu gatunków zwierząt gospodarskich jak nikt inny.

Alfabet Mieczysława Ceny

Był człowiekiem o szerokich zainteresowaniach humanistycznych, historycznych, filozoficznych i religijnych, doskonałym dydaktykiem i wychowawcą wielu pokoleń młodzieży akademickiej. Uprawiał aktywnie sport: kajakarstwo, pływanie, podnoszenie ciężarów, turystykę górską. Był opiekunem Studenckiego Koła Naukowego oraz kuratorem Akademickiego Związku Sportowego. Miał dobry kontakt z młodzieżą, przekonywał ją do samokształcenia i samodoskonalenia fizycznego, intelektualnego i duchowego, uprawiania sportu i turystyki. Brał udział w wielu obozach naukowych i sportowych. Słynne były jego prelekcje na ten temat, zawsze późnym wieczorem, po kolacji lub przy ognisku.

Mało znanym faktem biograficznym jest życie duchowe i religijne profesora. Jak wspominał jego uczeń naukowy i duchowy prof. T.M. Janowski, profesor Cena był tytanem pracy, znawcą Pisma Świętego i wielkim mistykiem. Był mistrzem modlitwy kompletacyjnej, uczestniczył w spotkaniach grupy modlitewnej Ruchu Światło – Życie, Stowarzyszenia Rodzina Serca Miłości itd. Jego cykle wykładów o tematyce religijnej i filozoficznej oraz spotkania modlitewne dla różnych grup społecznych

(głównie studentów) cieszyły się uznaniem w całej Polsce, chociaż umiarkowany stosunek miały do nich władze kościelne.



Istnieje kilka anegdot związanych z jego osobą:

1. W pięknie urządzonej gabinecie przy ul. Dicksteina 3 przed biurkiem na środku pokoju leżała skóra niedźwiedzia, której nadeptnięcia unikali studenci w czasie ustnych egzaminów, gdyż w przeciwnym przypadku – według studentów – groziło to oceną niedostateczną w indeksie. Po jakimś czasie skóra się zużyła i dobrały się do niej mole. Należało ją spalić. Profesor nie protestował, a na uwagę, że już nie będzie chyba ocen niedostatecznych, bo już nie ma skóry, dziwnie zareagował. Nie wiedział o tym, że nadeptnięcie skóry przynosi pecha, traktował ją jako specjalny, prezent z ogrodu zoologicznego.
2. W czasie grupowego egzaminu ustnego z zoohigieny trafił na grupę dobrych studentów. Zadał na koniec egzaminu pytanie: *Jak nazwać inaczej powstające w kraju fermy przemysłowe?* Nikt nie wpadł na pomysł, że są to po prostu „fabryki” mięsa, mleka i jaj. Podobnie jak nazwać inaczej powstające we Wrocławiu osiedla – blokowiska, należało je nazwać po prostu „kamienne pustynie”. Nikt tak nie odpowiedział, ale cała czwórka otrzymała ocenę bardzo dobrą, bo uczęszczała na wykłady profesora (posiadał świetną pamięć wzrokową).
3. Przyjmując raz nową osobę do pracy w swoim gabinecie zwrócił uwagę, że w Katedrze ma być spokój, a u niego setka. Kandydat na asystenta pojechał rowerem do sklepu i kupił „ćwiartkę” wódki. Postawił ją na biurku, dodając, że w „setkach” nie sprzedają alkoholu. Profesor z przerażeniem stwierdził, że chodziło o żarówkę w lampie na stole,

gdyż w gabinecie było słabe oświetlenie naturalne, a w ogóle jest abstynentem.

4. Jeden z pracowników Katedry widział profesora wieczorem na Placu Grunwaldzkim w stroju turystycznym z dość dużym plecakiem. Był pewien, że profesor wyjechał w góry, gdyż uprawiał sport i turystykę, często bywał w gospodarstwach agroturystycznych. Przyszedł następnego dnia później do pracy i ku zdziwieniu zastał profesora przy biurku w swoim gabinecie. *Jako to Pan Profesor nie wyjechał? Odpowiedź była zaskakująca: Noszenie plecaka w stroju turystycznym nie oznacza jeszcze wyjazdu. Po prostu poprawiam kondycję fizyczną, biegam z plecakiem, w którym są cegły lub kamienie, które obciążając plecy, poprawiają sylwetkę.*



Jakim był człowiekiem?

- A – asertywny, apolityczny, abstynent
- B – bezinteresowny
- C – ciekawy, cierpliwy, charyzmatyczny
- D – dumny, dyplomatyczny
- E – elokwentny, energiczny
- F – filantrop, fantazyjny
- G – gospodarny, górnołotny
- H – humanista
- I – inteligentny
- J – jasny umysł, jasnowidzący
- K – koleżeński, kulturalny, krasomówca
- L – lubiany, liberalny
- M – mistyk
- N – nowatorski, niepalący
- O – otwarty, odważny
- P – przystojny, prostolinijny, patriota, poliglota



R – rodzinny, romantyczny, religijny
S – szlachetny, sympatyczny, szanowany
T – troskliwy, twórczy, tolerancyjny
U – utalentowany, uważany
W – wysportowany
Z – zdyscyplinowany, zasadniczy
Ż – życzliwy, żywotny

(tekst Zbigniew Dobrzański)

Czasem trzeba było wziąć byka za rogi

Dwie krowy w doświadczalnej stajni, nauka wśród gruzów i grupa kilku profesorów, którzy marzyli o założeniu wydziału. By stworzyć Wydział Weterynarii profesor Alfred Senze interweniował u samego prezydenta Bolesława Bieruta.

Początki

Profesor Alfred Senze absolwent prestiżowej lwowskiej Akademii Medycyny Weterynaryjnej, przybył do Wrocławia tuż po wojnie. W 1945 r. obronił doktorat – pisał o pigmentach w skórze żab. W nowotworzonej uczelni w stolicy Dolnego Śląska pod swoje skrzydła wziął go prof. Kazimierz Szczudłowski, kierownik Katedry Chirurgii i Położnictwa. Wkrótce młody doktor Senze został zastępcą profesora. Szybko zabrał się za szukanie młodej kadry naukowej. Przypadkiem, na ministerialnym korytarzu spotkał swojego byłego studenta, Stanisława Raułuszkiewicza. Był początek lat 50. Podszedł i powiedział po prostu: *Kolego, może zostaniesz u mnie asystentem?*

– Powiedziałem: „Dobrze”, pokiwałem głową, po czym o całej sprawie zapomniałem – śmieje się dziś Stanisław Rauluszkiewicz.

Studia kończył w ekspresowym tempie. Chciał jak najszybciej pójść do pracy, bo kończyły mu się pieniądze ze studentkiego stypendium. Dostał przydział do Warszawy, do tworzącej się tam Inspekcji Weterynaryjnej przy ul. Wspólnej 30. Po jakimś czasie przeprowadził się do Gorzowa, bo praca w stolicy za dużo go kosztowała. Decyzją premiera Józefa Cyrankiewicza został przeniesiony do Katedry prof. Senzego, z powrotem do Wrocławia.

– On chciał ten wydział jak najszybciej zorganizować. Dwoił się i troił, byleby tylko ściągnąć na uczelnię kadrę naukową – opowiada Rauluszkiewicz.

A wszystko zaczęło się... od wizyty Bolesława Bieruta. Goszczący na początku lat 50. we Wrocławiu prezydent został przez rektora zaproszony na uczelnię. Profesorowi Senzemu przypadło w udziale oprowadzanie gościa po wydziale. Zaprowadził więc Bieruta do niewielkiej stajni, gdzie stały dwie krowy – ówczesna wydziałowa klinika. *Panie prezydencie, jak ja w tych warunkach mam dać Polsce dobrych weterynarzy? Chyba nam Pan pomoże?* – pytał. Na to Bierut odpowiedział: *Owszem pomogę.*

– I słowa dotrzymał, bo po kilku miesiącach ministerstwo przyznało pieniądze na rozbudowę Wydziału Weterynaryjnego we Wrocławiu – opowiada prof. Rauluszkiewicz.

Z prośbą do Bieruta zawróciła się także żona jednego z лаборantów, pani Bedryło. Prosiła, by jej syn mógł powrócić do Polski z gułagu pod Kołymą. Dała Bierutowi adres i list.

– I już na jesieni jej syn powrócił, z żoną Rosjanką – opowiada prof. Rauluszkiewicz. – Wygląda na to, że Bierut ruszył z miejsca budowę Wydziału Weterynaryjnego – podkreśla.

Pierwsza powstała Klinika Chorób Zakaźnych, potem internista prof. Zygmunta Markowskiego, położnictwo i w końcu chirurgia z prof. Ryszardem Badurą. Prof. Stanisław Raułuskiewicz podkreśla: *Wtedy nikomu w Warszawie nie zależało na tworzeniu uczelni we Wrocławiu. Przede wszystkim dlatego, że stolica Dolnego Śląska leżała na peryferiach Polski, a obawiano się, że granice kraju mogą się jeszcze zmienić.*

Samo miasto było wielką ruiną. Tam, gdzie teraz stoi wrocławski Manhattan, piętrzyły się ruiny kamienic. W czasie oblężenia Wrocławia w 1945 r. zapadła decyzja o ich wyburzeniu, by stworzyć lotnisko w sercu miasta¹³. Miejsce niezwykle stanowił szaberplac, który mieścił się na terenie, gdzie dziś stoi akademik „Dwudziestolatka”.

Prof. Alfred Senze był człowiekiem wymagającym i zdyscyplinowanym. Tej dyscypliny wymagał także od innych. W pracy zjawiał się wcześniej – około 5 rano. Sprawdzał, jak pracują sprzątacze i palacze. Jeśli ktoś spał albo wiadomo było, że coś wypił, wzywał na dywanik dyrektora administracyjnego.

– Dużo pracował – wypromował ponad 30 doktorów. Kto może się wykazać takimi osiągnięciami? – zastanawia się prof. Raułuskiewicz. – Niektórzy nazywali go nawet „niezlomnym księciem” – dodaje.

Lubił mieć swoich pracowników na oku. Zazwyczaj po prostu siadał przy mikroskopie przy wejściu do katedry i pracował. Ale zarazem – patrzył. Nic się przed nim nie ukryło.

¹³ Decyzja ta zapadła w 1945 r. Rozkaz wydał Karl August Hanke, nazywany też „katem z Wrocławia”, nadprezydent dolnośląskiej regencji NSDAP od 1941 r. To zresztą właśnie jego samolot, jako jedyny, startuje z lotniska w sercu miasta. Fieseler 156 Storch, którym podróżuje, zostaje jednak zestrzelony przez aliancki myśliwiec.

– Niektórzy koledzy nie wytrzymywali takiej „kontroli”. Kolega Olgierd Wołkowski po czterech dniach przyniósł podanie o zwolnienie, bo stwierdził, że w takiej atmosferze nie potrafi pracować – opowiada prof. Rauluszkiewicz.

Odchodzili też inni. Głównie dlatego, że dostawali lepiej płatne oferty pracy, a asystentura u prof. Senzego gwarantowała świetne rekomendacje. Pensja doktoranta wynosiła wtedy 937 zł, asystent dostawał nieco ponad 1200. Bochenek chleba kosztował ok. 3 zł.

– Tyle, że w piekarniach był tylko jeden rodzaj pieczywa – ciemny razowy chleb. Piliśmy też czarną kawę z palonego jęczmienia – wspomina prof. Stanisław Rauluszkiewicz.

Koledzy

Przyjechali z różnych stron Polski. Byli tacy, którzy służyli w wojskach polskich, nie brakowało też byłych żołnierzy wojsk radzieckich i niemieckich. Byli więźniowie Oświęcimia, byli tacy, którzy wracali ze zsyłek i z gułagów.

W jednej z ławek siedzieli trzech przyjaciół. Jeden z nich w czasie wojny bronił Królewca, drugi był niemieckim oficerem, trzeci, który wtedy był robotnikiem, siedział w tym czasie w schronie. Wszyscy dogadali się co do dnia, godziny i miejsca.

– Jeden z kolegów był kapitanem wojsk niemieckich, rano go pod Stalingradem. Jego brat służył w Luftwaffe, potem w RAF-ie – opowiada prof. Rauluszkiewicz.

Obydwaj bracia pochodzili z Bytowa na Pomorzu. Ich ojciec za przynależność do Polonii trafił do Oświęcimia, oni zostali wcieleni do niemieckiego wojska.

Żołnierzy było więcej. Po pierwszym roku studenci zdawali egzamin u prof. Jana Niklibordza, który kierował Wydziałem Fizyki na Politechnice Wrocławskiej.

– Usiadłem w środku, bo sobie pomyślałem, że profesor znacznie pytać albo od prawej, albo od lewej strony, więc środek był najbezpieczniejszy. A ponieważ skończyłem liceum o profilu matematyczno-fizycznym, byłem spokojny o wynik egzaminu – opowiada prof. Raułuszkiewicz. – Profesor zadał mi jedno, drugie pytanie, a potem zaczął maglować kolegę. Poprosił o opisanie krzywej balistycznej. Student wstał i zaczął tłumaczyć. Profesor Niklibordz mówi: *Wie pan co, Panie Kolego? Dam dostateczny, bo Pan tego nie rozumie.* Więc ten odpowiada: *Panie Profesorze, krzywe wykladałem w trzech szkołach oficerskich – uczyłem, jak strzelać i jak ustawiać armaty. Pod Bolonią¹⁴. strzelałem wprost na niemieckie pozycje, więc nie miałem czasu liczyć krzywych.* Profesor odpowiedział: *To za odwagę dam dobry.* A student: *Panie Profesorze, za odwagę mam order.* Proszę mnie zapytać jeszcze raz. Profesor Maciborzec wstał i pogratulował mu postawy.

Ale studenci starali się zapomnieć o przeszłości i zacząć życie na nowo.

– Cieszyliśmy się, że możemy studiować i że wojna nareszcie się skończyła – podkreśla prof. Raułuszkiewicz.

Na zajęcia przychodzili dużo wcześniej. Gdy tylko otwierały się drzwi sali wykładowej, wbiegali na zajęcia, by zająć pierwsze ławki.

– Chcieliśmy chłonąć wiedzę – opowiada Raułuszkiewicz. – Poza tym nie było podręczników, książek, skryptów. Jedyńm źródłem wiedzy byli nasi profesorowie – opowiada.

¹⁴ Bitwa o Bolonię – jedna z ostatnich bitew, jaką stoczyły wojska alianckie w II wojnie światowej (od 9 do 21 kwietnia 1945 r.). 9. Batalion Strzelców Karpackich jako pierwszy wkroczył do zdobytego miasta i zawiesił nad nim polską flagę.

Profesorowie

Profesorowie Poluszyński, Klisiecki, Markowski, Szczudłowski, Senze – wykładowcy uczelni stanowili prawdziwy kalejdoskop osobowości.

Profesor Andrzej Klisiecki, przed wojną – lwowski fizjolog – miał małego foksteriera, który mu towarzyszył na egzaminach. Studenci, zanim trafili do gabinetu egzaminatora, smarowali buty kielbasą, żeby tylko pies do nich podbiegł i pomachał ogonem. Wtedy profesor mówił: *O, pies się na Panu poznał, więc Panu zaliczę.* Ale jak nie daj Boże zwierzę warknęło, wykładowca wzdychał i wpisywał dwójcę: *Jeśli psu się Pan nie spodobał, to znaczy, że Pan musi przyjść jeszcze raz* – argumentował.

– Niezwykły był też prof. Gustaw Poluszyński, zesłaniec sprzed I wojny światowej, badacz jeziora Bajkał. Miał wspaniały głos, jego wykłady to był popis wiedzy i retoryki – opowiada Rautuszkiewicz. – Nigdy nie czytał, na niewielkiej karteczce miał tylko zanotowane najistotniejsze punkty wykładu – dodaje.

O profesorze Poluszyńskim krążyła następująca historia. Kiedyś na egzaminie zadał studentowi pytanie: *Do jakiej grupy zaliczyłby Pan pijawki?* Żak odpowiada: *Do ssaków.* Profesor pyta więc: *Do ssaków?! Ale dlaczego? Bo krew ssą* – mówi student. Więc profesor: *To Panu się kawał udał, ale nie egzamin.*

– Potem rzucił indeksem o drzwi i nie chciał go więcej widzieć – wspomina Rautuszkiewicz.

Prof. Maria Radomska wspomina wykłady z zoologii z prof. Poluszyńskim. Chodzili na nie w jednym czasie studenci dwóch wydziałów: Rolniczego i Lekarskiego, a odbywały się w wielkiej sali budynku przy ul. Norwida 25:

– Ciemna boazeria, szerokie parapety, na których mieścili się i ludzie, i płaszcze. Na katedrze stał profesor i zaczyna głąbo-

kim basem: *mors juvat vitam* – śmierć wspiera życie. Wrażenie niesamowite: stary siwy człowiek wypowiadający te słowa do młodych. Po dłuższej chwili ciszy następuje wykład. Ten profesor uchodził za bardzo wymagającego, życzył sobie, żeby dziewczyny przychodziły na egzamin wyłącznie na niebiesko. Dysponowałam tylko mundurem II. Korpusu w kolorze khaki i szlam na ten egzamin z duszą na ramieniu. Rozmawialiśmy o wydanej wówczas książce Dembińskiego „Psychologia zwierząt”, pytań egzaminacyjnych nie było, poprosił indeks i wpisał ocenę bardzo dobrą.

Był też profesor Zygmunt Markowski, z bardzo dawnego tytułarnego rodu, elegancki, zawsze w muszce i okularach. Przed wojną pracował w Ministerstwie Zdrowia, był współautorem jednej z ustaw dotyczących ochrony przed pasożytami.

– Raz mieliśmy ćwiczenia w takiej maleńkiej oborze, gdzie stała krowa. W pewnym momencie profesor Markowski odwraca się i pyta: *A gdzie są moje barany?* Nie wiedzieliśmy, o co chodzi – mówi prof. Stanisław Rouszkiewicz.

Tymczasem profesor Markowski pytał o swoich trzech asystentów: pierwszy miał na nazwisko Baran, drugi – Baraniewski, trzeci – Baranowski.

Był też profesor Antonii Bant, prawdziwe charakterologiczne przeciwieństwo prof. Alfreda Senzego. Gdy weterynaria zaczęła się rozbudowywać, pełnił funkcję dziekana. Średnio raz na tydzień jeździł do Warszawy, by w ministerstwie konsultować budowę uczelni. Czasami latał samolotem. A że lubił się spóźniać, pewnego razu przyjechał na Okęcie po odlocie maszyny.

– Zrobił karczemną awanturę. *Jak to możliwe, że samolot na mnie nie poczekał?* – pytał. Po jakimś czasie służby lotniska otrzymały informację, że maszyna zaczęła się gdzieś pod Łodzią o drut wysokiego napięcia i spłonęła – ze wszystkimi pasa-



żerami na pokładzie. I wtedy przestał się awanturować. Mówił później: *Los chciał, żebym dojechał w pociągu żywy* – opowiada prof. Rauluszkiewicz.

Profesor Bant, jako jeden nielicznych wrocławian, miał własny samochód, zrujnowaną poniemiecką maszynę. – Kiedyś zaproponował profesorowi Zakrzewskiemu, który był jego sąsiadem: *Jadę na wydział, zabiorę Pana*. A Zakrzewski na to: *Dziękuję, Kolego, ja się spieszę na wykład, chcę zdążyć*. Bo ten samochód potrafił się popsuć na trasie z Biskupina na pl. Grunwaldzki nawet kilka razy – opowiada z uśmiechem prof. Rauluszkiewicz.

Profesor Zygmunt Markowski podróżował natomiast do pracy tramwajem. Podobno kiedyś stał na przystanku, już miał wsiadać, a tu nagle się wpycha baba, niosąca bańki z mlekiem. Więc mówi: *Paniusiu, proszę nie pchajcie się tak*. Ona na to: *Niech mnie Pan w dupę pocałuje*. Na to Markowski: *Ech, te wspomnienia. Jak się było młodym, to się to robiło, a teraz...*

– I cały tramwaj ryczał ze śmiechu – mówi Rauluszkiewicz.

Na niektórych wykładowców studenci mieli swoje sposoby. Przy egzaminach z anatomii u profesora Banta pomocny okazywał się laborant Kazimierz.

– Mówiło się: *Panie Kaziu, zrób Pan tak, żeby przy profesorze leżały takie i takie kości*. I za piąta była załatwione. A przecież profesor zawsze sięgał po tę kość, która była akurat pod ręką – mówi Rauluszkiewicz.

Najbardziej skrupulatny był prof. Alfred Senze. Przed wejściem na egzamin praktyczny, studenci musieli mu pokazać dłonie. Jeśli paznokcie były za długie albo jeśli któraś z pań miała na palcu obrączkę lub pierścionek, profesor wpisywał dwójkę. *Przecież Ty masz operować* – mówił. – *Jak tu operować z diamentami na palcach?*

– Przecież wiadomo, gdzie się te ręce wkłada – mówi prof. Raułuszkiewicz. – Wtedy w ogóle nie było w Polsce jednorazowych, gumowych rękawiczek. Dłonie smarowało się maścią cynkową, a potem jeszcze gęstym olejem. Łatwo się można było zarazić każdą chorobą. Ja, mimo 40 lat pracy w klinice, nie zakażiłem się, a operowałem codziennie – dodaje.

Wrocław lat 50. okiem weterynarza

Profesor Stanisław Raułuszkiewicz przez kilkadziesiąt lat pracy przebadał tysiące zwierząt – od szynszyli do lwicy. Ale jako weterynarz badał przede wszystkim duże zwierzęta gospodarskie, a tych we Wrocławiu po wojnie było wiele.

Dopiero w 1964 r. decyzją rady miejskiej kilkadziesiąt tysięcy wrocławskich gospodarstw zostało zlikwidowanych. Mleko zaczęto więc robić w mleczarniach i przywozić w woreczkach albo w butelkach. Ale wróćmy do lat 50.

Cały miejski transport opierał się na konnych wozach. Chleb, mięso, cukierki, piwo z browaru przy ul. Jedności Narodowej, wszystko rozwożone jest właśnie w ten sposób. Prof. Raułuszkiewicz doskonale pamięta, jak został wezwany do chorej krowy.

– Piękna poniemiecka willa na Kowalach. W garażu, zamiast samochodu, stała krowa. Na parterze willi piękny parkiet. A po nim chodzą kury, kaczki i świnię. Niesamowity widok – opowiada profesor.

Były też inne podobne przypadki, opisane przez wrocławskie gazety. Przy ul. Słowiańskiej na drugim piętrze przez długi czas mieszkała koza – w jednym pomieszczeniu z właścicielami. Zapach zwierzęcia nie przeszkadzał lokatorom. Przy ul. Traugutta na trzecim lub na czwartym piętrze kamienicy zamieszkała krowa.



– Wciągnąć to wciągnęli, a później nie dało jej się sprowadzić na dół – wzdycha Raułuszkiewicz.

Profesor podkreśla: wtedy studia weterynaryjne wyglądały zupełnie inaczej. Dużo większą uwagę poświęcano umiejętności leczenia i diagnozowania zwierząt gospodarskich niż psom i kotom. Szczególnie profesor Senze zwracał uwagę na praktyczną naukę zawodu. Studenci badali świnie, owce i krowy. Każdy musiał uczestniczyć w zabiegu.

– Przed każdym badaniem ostrzyliśmy igły, potem się je dezynfekowało i gotowało. Nie było jednorazówek – podkreśla prof. Raułuszkiewicz. – To, co mieliśmy, to pozostałości po wojskach sowieckich. Z Zachodu nic nie przychodziło. Antybiotyki pokazały się dopiero w latach 50. – dodaje.

Uczelnia

Profesor Raułuszkiewicz doskonale pamięta słowa, jakimi przywitała go dr Julia Łobarzewska, gdy 1 listopada 1953 r. zaczął pracę na uczelni.

– Powiedziała: *O, jeszcze jeden zasrany naukowiec* – śmieje się profesor.

Na Uniwersytecie Przyrodniczym pracował ponad 40 lat. Przez ten czas koledzy z pracy stali się jego dobrymi przyjaciółmi.

– Samborski, Marcinkowski, Wołkowski. Potem przyszedł dr Borkowski – wymienia.

Wszyscy mieli swoje historie. Jan Bernard w czasie wojny walczył w pułku pancernym generała Maczka, był porucznikiem w Normandii, jego czołg miał w niewoli generała niemieckiego.

– Fantastyczny był Antoni Żebracki – posiadał niesamowity urok osobisty – podkreśla Raułuszkiewicz. – Kiedyś pojechał

do ministerstwa – musiał załatwić coś bardzo ważnego. Staął w kolejce, ale sekretarka chłodno poinformowała: *Pan nie dostanie się do dyrektora*. Więc Żebracki na to: *Niech Pani mu powie, że to Antoś z Kołomy przyjechał*. Dyrektor wszystko zostawił, wbiegł i wyczałował profesora Żebrackiego. Okazało się, że byli kolegami z dzieciństwa, siedzieli w jednej ławce, wszystko razem robili – śmieje się prof. Rauluszkiewicz.

Podkreśla też, że praca naukowa była wtedy trudna – nie było komputerów, Internetu, komórek, kalkulatorów. Badania wymagały czasem zbadania ponad tysiąca krów.

– I jak to wszystko spisać? – pyta Rauszkiewicz.

Albo literatura – po książki jeździli do centralnej biblioteki w Warszawie; literaturę zbierali tygodniami, miesiącami.

– Ale ci nasi profesorowie zdobywali dla nas książki. Ale teoria to jedno, najważniejsza była dla nich praktyka – podkreśla Rauluszkiewicz.

Profesor Senze mawiał: *Możesz pomylić się w nazwach, możesz pomylić teorię, ale rozciąć i zaszyć musisz umieć*.

– Poród, cesarskie cięcia, zakładanie sondy jelitowej do żołądka u koni i krów – wszystko to musieliśmy umieć. A takie zakładanie sondy to niełatwa sprawa. Trzeba koniu lub krowie podnieść głowę i wsadzić do żołądka grubą rurę. Ja sam bym sobie czegoś takiego nie pozwolił wsadzić do gardła – mówi profesor. – Albo oczyszczanie kopyt u koni... To dopiero wymaga od weterynarza siły i refleksu boksera – dodaje.

Pamięta operacje, które przeprowadzali z kolegami w terenie. Często operowali w malusieńkich pomieszczeniach, od zapachu eteru wirowało im w głowie. Zdarzało się im wykonywać badania, gdy na dworze panował kilkustopniowy mróz. W takich warunkach położenie na ziemi byka, który ważył ponad tonę, stanowiło nie lada wyzwanie. Żeby tego dokonać, potrze-



ba było czterech silnych mężczyzn – jeden chwycił zwierzę za kark, a dwóch przytrzymało mu rogi przy ziemi, żeby nie ubódl, czwarty badał.

Raufuskiewicz podkreśla, że wszystko to, co osiągnął, zawdzięcza swoim profesorom.

– Nikt nie pokazywał nam nagrań na wideo. Przychodziliśmy na egzamin i musieliśmy wiedzieć, jak zbadać krowę. W czasie studiów wykonywaliśmy takie badania pod okiem naszych profesorów dziesiątki razy i dzięki temu później mogliśmy diagnozować zwierzęta ze spokojnym sumieniem – dodaje.

I podkreśla: jego profesorowie byli ludźmi niezwykłymi. Odważnymi, charyzmatycznymi, ale też specjalistami w swoim fachu.

– Oni wybudowali tę uczelnię na gruzach – mówi Raufuskiewicz. – Stworzyli coś, z czego my dziś jesteśmy dumni.

Weterynarze z trojanką i adapterem

„Kupa gruzów, potworna mieszanina zniszczonego sprzętu wojennego, brak ulic, barykada za barykadą i słodkavo–mdły zapach trupi – to pierwsza dekoracja Wrocławia” – napisał profesor Alfred Senze w swoich wspomnieniach. Był jednym z pierwszych naukowców, którzy przybyli po wojnie do stolicy Dolnego Śląska.

Urodził się w Tarnopolu, weterynarię studiował we Lwowie. Po studiach pracował jako weterynarz terenowy.

– Był praktykiem, a swoje wykłady zawsze ilustrował przykładami z życia. To ważne, bo dobry weterynarz nie może być teoretykiem – podkreśla profesor Andrzej Dubiel, jego student, a potem asystent.

Po wybuchu II wojny światowej profesor Senze pracował w Katedrze Chirurgii i Ortopedii Lwowskiej Akademii Weterynaryjnej – najpierw jako laborant, potem – jako starszy asystent. Zaangażowanie w działalność konspiracyjną zmusiło go do wyjazdu.

– W 1941 r. naziści dokonali mordu na lwowskich profesorach. Wśród tych, którzy zginęli, był m.in. profesor Edward Hamerski, kierownik Katedry Chorób Zakaźnych Zwierząt Domowych Akademii Weterynaryjnej – mówi profesor Dubiel.



Stopień doktora medycyny weterynaryjnej uzyskał Alfred Senze już we Wrocławiu – 1 października 1945 r. Początkowo pracował w Katedrze Chirurgii Podkownictwa i Położnictwa.

– Nazwa nawiązywała jeszcze do czasów przedwojennych – tłumaczy profesor Dubiel. – Wtedy weterynarze kształceni byli przede wszystkim w ortopedii koni – zwierzęta musiały mieć bowiem zdrowe nogi.

Trzy lata po wojnie profesor Senze zostaje kierownikiem nowej jednostki – Katedry Położnictwa i Patologii Rozwoju Zwierząt. Był prorektorem uczelni, a przez trzy kadencje – rektorem.

– To dzięki niemu powstały kliniki – Chorób Zakaźnych, Chorób Wewnętrznych, Rozrodu i Chirurgii – podkreśla profesor Andrzej Dubiel. I wyjaśnia, że w przedwojennym Wrocławiu nie było Wydziału Weterynarii. – Była tylko Katedra Weterynarii przy Wydziale Rolniczym – kilka komórek i zagród ze zwierzętami. Dokładnie pamięta też, jak w czasie przeprowadzki do nowych budynków nosił meble na plecach. – Zastanawiałem się, jak się pomieścimy w takich pałacach – śmieje się.

Jaki był profesor Senze? Postawny, dobrze zbudowany, elegancki. Na wykładach pojawiał się w wyprasowanej koszuli i muszce. Budził respekt.

– Gdy się zdenerwował, potrafił wyrzucić ze swojego gabinetu nawet pierwszego sekretarza partii – opowiada profesor Dubiel.

Starannie przygotowywał się na wykłady. Zawsze zabierał ze sobą zapisane drobnym maczkiem notatki.

Poza tym – podkreśla profesor Dubiel – dbał o swoich pracowników.

– W podziemiach katedry produkowaliśmy płyn fizjologiczny dla wojska i dla szpitali. Sterylizowałem butelki – dostawałem za to dodatkowo 500 zł. To były dla mnie wtedy wielkie pieniądze – podkreśla.

Ale postawny profesor Senze, który swoim stylem bycia budził respekt, potrafił się też bawić. Wraz z małżonką pojawiał się na organizowanych w katedrze z okazji rozpoczęcia czy zakończenia roku akademickiego dancingach. Wśród zaproszonych gości byli nie tylko pracownicy uczelni, lecz także dyrektorzy zarządu aptek, stacji krwiodawstwa, Herbapolu. Na stole pojawiały się ciastka i trojanka – nalewka na ziołach. Zjawiali się profesorowie Samborski i Raułuszkiewicz z małżonkami. Ten ostatni odpowiedzialny był za obsługę adaptera i wybór towarzyszących imprezie piosenek.

– Dziś już takich profesorów jak on nie ma – wzdycha profesor Dubiel. – Wypromował ponad 40 doktorów, głównie terenowych weterynarzy. – Był odważny, nie bał się mówić, co myśli.

Weterynaria i medycyna

Był nie tylko profesorem weterynarii, lecz przede wszystkim – lekarzem. Mówił spokojnie i nigdy nie podnosił głosu, a mimo to jego wykładów słuchało się z zapartym tchem. Znał trzy języki obce, a na emeryturze napisał książkę „Sanatorium Mariówka i medycyna”, w której wspomina przedwojenne lata spędzone w sanatorium ojca

Profesor Aleksander Zakrzewski najpierw skończył medycynę na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu im. Jana Kazimierza we Lwowie. Dwa lata później rozpoczął kolejne studia – tym razem weterynarię. Przed rozpoczęciem II wojny światowej pracował w instytutach naukowych praktycznie całej Europy – od Paryża po Związek Radziecki. Do Wrocławia przybył jako jeden z pierwszych repatriowanych naukowców i zamieszkał wraz z żoną, również lekarzem, w willi na Biskupinie.

Profesor Zbigniew Michalski, jego wieloletni współpracownik, doskonale pamięta moment, gdy ubiegał się o asystenturę.

„Panie kolego, Pan powinien jeszcze skończyć medycynę” – powiedział do niego profesor Zakrzewski. I rzeczywiście, Zbigniew Michalski, podobnie jak wcześniej profesor Zakrzewski, skończył, już po otrzymaniu dyplomu weterynarza, studia medyczne.



– Potem przekonywał mnie, że powinienem kontynuować praktykę lekarską – opowiada profesor Michalski. – Więc do południa pracowałem w Katedrze Anatomii Patologicznej, a po południu byłem lekarzem medycyny – specjalistą reumatologiem – wyjaśnia.

Dodaje, że od początku bardzo zżył się z profesorem. Obaj mogli pochwalić się dwoma ukończonymi fakultetami, a połączenie obu dziedzin doprowadziło do wielu badań naukowych.

– Zajmowaliśmy się przeszczepami u zwierząt, badania miały doprowadzić do przyjmowania się przeszczepów u ludzi – tłumaczy profesor Michalski. Obaj naukowcy współpracowali z Instytutem Immunologii i Terapii Doświadczalnej PAN – wspólnie szukali środków chemicznych, które mogłyby zablokować odrzucanie przeszczepów.

Aleksandra Zakrzewskiego Zbigniew Michalski poznał jeszcze jako student – profesor wykładał bowiem na Akademii Rolniczej anatomię patologiczną i weterynarię sądową.

– Trudne przedmioty i niezbyt fascynujące – tłumaczy Michalski. I natychmiast dodaje: - Ale profesor potrafił wyłożyć je tak, że jego wykładów słuchaliśmy z otwartymi ustami. Mówił tak interesująco, że zapominaliśmy o notowaniu, a wtedy nie było przecież żadnych podręczników – opowiada.

Profesor Zakrzewski, choć mówił cicho i spokojnie, potrafił pięknie układać zdania. Z notatek z jego wykładów można było od razu stworzyć gotowy podręcznik.

Profesor był raczej cichy i skromny, nigdy nie podnosił głosu. Budził zaufanie – do jego gabinetu można było wejść bez pukania.

– Był nie tylko naszym szefem, lecz także – przyjacielem. Zawsze mogliśmy liczyć na jego pomoc – opowiada profesor Michalski. I choć twierdzi, że nigdy nie czuł strachu przed profesorem

rem, przyznaje, że denerwował się, gdy profesor miał wizytować jego ćwiczenia.

– Bałem się, że popełnię jakiś błąd – wyjaśnia. – Na szczęście, profesor nie miał żadnych uwag.

W pamięć zapadł styl ubierania się profesora Zakrzewskiego. Do stroju nie przykładał zbyt wielkiej wagi – na uczelni pojawiał się w charakterystycznych białych „pupkach” – krótkich spodniach do kolan na gumce; nie zwracał uwagi na niewyprasowane koszule. Pierwsza żona profesora, lekarka, zmarła na raka wątroby. Dopiero po tym, jak ożenił się powtórnie, zaczął pojawiać się na uczelni w eleganckich garniturach i pod krawatem. Rzucił też palenie – wcześniej zdarzało mu się zapalić papierosa w swoim gabinecie. Z willi na Biskupinie przeprowadził się do mieszkania żony, przy ul. Kościuszki.

– Okazało się, że jesteśmy sąsiadami. Ja mieszkałem wtedy bowiem przy ul. Bałuckiego, więc dzieliło nas raptem kilkaset metrów – opowiada profesor Michalski. Wtedy zaczął częściej bywać u państwa Zakrzewskich.

– Pani profesorowa świetnie gotowała. Robiła przepyszne torty – uśmiecha się Michalski.

Profesor Zakrzewski był domatorem, lubił przyjmować gości, ale za wyjazdami nie przepadał. Od czasu do czasu wyjeżdżał do stolicy, był członkiem Państwowej Rady Weterynaryjnej.

– Nie przepadał za tymi podróżami – mówi profesor Michalski. Mawiał zazwyczaj: *Kolego, niechętnie jadę do tej Warszawy, ale pojawię się tam, żeby wiedzieli, że jeszcze żyję* – śmieje się Michalski.

Będąc na emeryturze, postanowił spisać swoje wspomnienia z młodości, co zaowocowało książką „Sanatorium Mariówka i medycyna”, w której lekko i z humorem opisał młodość spędzoną w sanatorium ojca i studia na Wydziale Lekarskim Uni-

wersytetu im. Cesarza Franciszka I we Lwowie. Anatomii uczył go profesor Adolf Beck, który wspólnie z Napoleonem Cybulskim po raz pierwszy uzyskał podstawowy hormon nadnerczy – adrenalinę, dermatologię wykładał zaś słynny profesor Włodzimierz Łukasiewicz. Wykłady tego ostatniego były zazwyczaj ilustrowane konkretnymi przypadkami – zarówno pacjentów, jak i żaków.

„Zauważyłem przy porannym goleniu jakieś dziwne plamy na twarzy, a ponieważ jako insbruczanie mogłem liczyć na pewne względy u profesora, odważyłem się wejść do jego kancelarii przed wykładem z prośbą o diagnozę. Ważna była przy tym okoliczność, że wydarzenie to miało miejsce w czasie szalejącego już u nas duru plamistego. Profesor uniósł się zza biurka, spojrzął na mnie sponad cwikiera i zawołał: – *Niech on tam stoi dalej!* – Potem zbliżył się do mnie ostrożnie, a wreszcie uśmiechnął się z ulgą i oświadczył: – *Kiedyś on przestanie być niemowlęciem? Przecież on ma Odrę!*” – wspomina profesor Zakrzewski w „Sanatorium Mariówka i medycyna”. Ciepło opowiada też o profesorze Emanuelu Macheku, okuliście z wadą wymowy, polegającą na niewymawianiu głoski „r”, i z ogromnym dystansem do samego siebie, kiedy na wykładach przestrzegał słuchaczy: *Proszę państwa, ja nie umiem mówić dobrze „ł”, to jak ja mówię, że oko krótkowidza jest głubsze niż normalnie, to nie znaczy, że ono jest głupie, tylko że ono jest głubsze*¹⁵.

Jako absolwent dwóch fakultetów – medycyny i weterynarii – profesor Aleksander Zakrzewski szukał punktów wspólnych

¹⁵ Cytaty pochodzą z książki profesora Aleksandra Zakrzewskiego *Sanatorium Mariówka i medycyna. Wspomnienia z pierwsze ćwierci wieku*, Ossolineum, Wrocław 1975

w tych dwóch dziedzinach. Szczególnie interesowały go zagadnienia roli zwierząt w powstawaniu nowotworów u ludzi. Zachęcał swoich młodszych kolegów do nauki i ciągłego rozwijania się, podsuwał literaturę, pomagał w pracy naukowej. Sam ją kochał – pracował do późnej starości, wykłady z weterynarii sądowej prowadził jeszcze w wieku 80 lat.

Spotkania o świcie

Spotkania o świcie – tak studenci nazywali profesora Bolesława Świętochowskiego. Był to bowiem gigant pracy, który zajęcia ze studentami zaczynał czasem bladym świtem wędrowką na Swojec, podobnie jak egzaminy podczas sesji. Był człowiekiem o szerokich horyzontach i wielu zainteresowaniach, wielbicielem pisarstwa Kamila Cypriana Norwida.

– Moja pierwsza rozmowa z Bolesławem Świętochowskim o podjęciu przeze mnie pracy w Katedrze Ogólnej Uprawy Roślin rozpoczęła się zaskakującym dla mnie pytaniem: *Czy Pani jeździ na nartach?* – wspomina profesor Maria Radomska. – Oczywiście, zaraz się wszystko wyjaśniło, otóż, u niego latem w sezonie wegetacyjnym nie ma urlopów, trzeba pracować, urlopy są tylko zimą. Wprawdzie niewiele jeździłam na nartach, ale powiedziałam, że jeżdżę. Takie były początki.

Maria Radomska dostała angaż u profesora Świętochowskiego 1 grudnia 1949 r. Była wówczas na trzecim roku studiów. Opowiada, że z rozpoczęciem pracy był pewien kłopot, ponieważ wcześniej, podobnie jak grupa studentów z roku – podpisała kontrakt ze spółdzielnią „Las” na sprzedaż choinek od 12 do 24 grudnia.

– Stawiam się więc tego pierwszego grudnia do pracy i mówię, przestraszona, że mam ten kontrakt na choinki. Dostałam



od profesora urlop bez słowa. Rozumiał, że zarówno studenci, jak i asystenci są w trudnej sytuacji materialnej i dzięki współpracy ze spółdzielnią mogą trochę dorobić.

W późniejszych latach asystent był zobowiązany wypełniać kartę pracy – tygodniowy formularz z godzinami, w którym musiał precyzyjnie wpisywać, co i w której godzinie robił. W 1949 r. jeszcze tego nie było.

Profesor Bolesław Świątochowski był niesamowicie wymagający. Katedra mieściła się w gmachu głównym przy ulicy Norwida na trzecim piętrze, wejście na korytarz Katedry było dokładnie naprzeciw gabinetu profesora, który drzwi zawsze miał otwarte i widział wchodzących. Spóźnienie było rzeczą karygodną.

Profesor znany był z tego, że o świcie jechał ze swego domu przy ulicy Rodakowskiego na Swojec rowerem. Jego trasa liczyła około 10 km. Robił obchód pól, zanim mieszkający tam kierownik inż. Wincenty Grzegorski zdążył odprawić pracowników. Gdy profesor spotykał się z pracownikami już wiedział, co na którym polu się dzieje. Na uczelni odwożono go jednokonną bryczką z siwą klaczą, półkrwi arabką, która była niesamowicie płochliwa i czasem wywracała bryczkę. Na szczęście, z profesorem nigdy to się nie zdarzyło. W jakimś momencie Świątochowski postanowił nauczyć się jazdy na motorze. Lekcji dawał mu jego ówczesny adiunkt, a późniejszy profesor i kierownik katedry Bronisław Jabłoński. Wiele z tej nauki nie wyszło, ale gdy Jabłoński przygotowywał swoją pracę doktorską, jego siostra graficzka przygotowała ilustracje do życiorysu doktoranta. Wśród nich znalazła się ilustracja, jak to prof. Świątochowski jedzie na motorze, a pod nim rozplaszczają się opony. Postury był bowiem słusznej.

Wielu tematów profesor nie przeprowadzał w salach wykładowych czy w laboratoriach, ale zapraszał studentów na wycieczki do Swojca. Niezależnie od pory roku i oczywiście piecze, ponieważ komunikacja tramwajowa docierała jedynie do pętli na Sępolnie, tak jak i dzisiaj, ale dalej nie było już czym się dostać. Po drodze profesor „egzaminował” z napotkanych chwastów.

W 1981 r. Maria Radomska tak scharakteryzowała wykłady prof. Świętochowskiego: „Profesor traktował wykłady bardzo poważnie. Do każdego miał corocznie aktualizowany konspekt, a bezpośrednio przed wykładem wymagał absolutnego spokoju dla pełnej koncentracji. Toteż najchętniej przyjmował pierwsze godziny wykładów niepoprzedzane załatwieniem jakichkolwiek spraw... Wykłady te nie należały do łatwych. Operował złożonymi okresami. Mówił nie zawsze wyraźnie i podawał treści nierzadko przekraczające możliwości percepcyjne słuchaczy. A jednak [...] uczęszczało się na nie z największym zainteresowaniem. Pociągały zaangażowaniem osobistym wykładającego i pasją badacza, który żarliwie przekazywał swoje zdobycze i przemyślenia, swą głęboką i wszechstronną wiedzę”¹⁶.

Wszechstronność profesora, zajmowanie się tematami odległymi czasem od siebie, była czymś charakterystycznym i pobudzającym do refleksji. Profesora Anna Jelinowska, asystentka profesora w IUNG zanotowała następującą obserwację: „Przed 25 laty, gdy my, liczna grupa młodych wówczas współpracowników Profesora, rozpoczynaliśmy pracę, działalność naukowa

¹⁶ Radomska M., 1981. *Profesor Bolesław Świętochowski jako dydaktyk, nauczyciel i popularyzator wiedzy rolniczej*. Zesz. Nauk. WSR we Wrocławiu nr 130, Rolnictwo XXXV, s. 35–39. Cyt. za: Radomska M., 2005. „Fragmenta Agronomica” nr 3 (87), r. XXII, Puławy, s. 35.

stała pod znakiem wąskiej specjalności, o pogłębionej specjalizacji. Wobec tej panującej powszechnie tendencji jakże innym był profesor Świętochowski, podejmujący równocześnie prace badawcze w tylu różnorodnych, na pozór wręcz rozbieżnych, dziedzinach. Teraz, po upływie lat, ogarniają nas wątpliwości, czy specjalizacja nie poszła za daleko, czy nie tracimy z oczu całości zagadnienia, sięgając głęboko w jego poszczególne wyćinki, czy nie przestajemy widzieć warsztatu rolnego jako całości, zgłębiając poszczególne dyscypliny nauk rolniczych. (...) Wszechstronność Profesora, która wydawała się nam wówczas być pozostałością z przemijającego rozwoju nauki, widzimy obecnie jako zapowiedź nowego, nadchodzącego etapu – syntezy wyników badań z wąskich dziedzin dla dokonania nowych, twórczych uogólnień. Szkoda, że w obliczu tych trudnych zadań zabrakło nam wielkiego, twórczego, syntetycznego umysłu Profesora Świętochowskiego”¹⁷.

Bolesław Świętochowski potrafił się też bawić. Razem z żoną Marią urządzali imieniny dla pracowników katedry i IUNG. Bolesława jest 19 sierpnia, ale świętowanie zostało przeniesione na czas karnawału – na 17 stycznia. Były to bale maskowe, odbywające się w ogromnej sali ćwiczeń. Pani Zofia Teliżanka, pracownik IUNG, była żoną primabaletmistrza opery wrocławskiej, który wypożyczał stroje na tę okoliczność. Profesor wystąpił raz jako Zeus Gromowładny a profesorowa jako dama *fin de siècle*. Katedra dysponowała magnetofonem Szmaragd i własnym winem.

¹⁷ Jelinowska A., 1981. *Profesor Świętochowski współorganizator Instytutu Upraw Nawożenia i Gleboznawstwa*. Zesz. Nauk. WSR we Wrocławiu, nr 130, Rolnictwo XXXV, s. 31–34. Cyt. za Radomska M., *ibidem*, s. 49.

– Na Swojcu obok hali wegetacyjnej rósł cały szpaler porzeczek – wspomina prof. Radomska. – Służbowo robiliśmy z nich wino, które później się przydawało. Pod kątem świętowania było bardzo rodzinnie, a pod kątem pracy bardzo wymagająco i surowo.

W cytowanym już, specjalnym zeszycie „Fragmenta Agronomica”, poświęconym osobie profesora Bolesława Świętochowskiego, Maria Radomska systematyzuje szczegóły z jego życia, które udało jej się ustalić na podstawie zachowanych źródeł. Tu wspomnimy tylko niektóre fakty.

Profesor urodził się w 1895 r. w rosyjskim zaborze, w Dąbrowie Górniczej. W 1904 r., w wieku dziewięciu lat, podjął naukę w Warszawie. Radomska wysunęła przypuszczenie, że tylko tam mógł mieć dostęp do prywatnych szkół, w których dopuszczano nauczanie w języku polskim. Na otwarcie polskich szkół prywatnych i naukę języka polskiego zaborca zgodził się dopiero w 1905 r., kiedy poniósł klęskę w wojnie z Japonią, a w Warszawie wybuchł strajk szkolny, polegający na bojkocie szkoły rosyjskiej w całym kraju. Świętochowski średnią szkołę ukończył na Morawach w Monarchii Austro-Węgierskiej, a na studia wrócił do Warszawy.

Pierwsza wojna światowa zakończyła się 11 listopada 1918 r., a jednym z jej politycznych skutków było uznanie suwerenności Polski i wyznaczenie jej granic, które wkrótce wymagały obrony przed Rosją Radziecką, przed hasłem Lenina i Trockiego: „Po trupie Polski do światowej rewolucji”. Sowieckie plany rozszerzenia rewolucji na kraje Europy Zachodniej zapowiadały nieuchronną wojnę, która wybuchła 14 lutego 1919 r. Świętochowski miał wówczas 24 lata – zgłosił się wtedy jako ochotnik do wojska polskiego w grudniu 1918 r. i służył w 3. Pułku Ułanów. Warto przytoczyć w tym miejscu znamieny komentarz prof. Radomskiej:



„Ta przeszłość wojskowa nie znajduje odbicia w Karcie Personalnej z 1946 r., ale figuruje już w dokumencie Życiorys z 1955 r. – jako służba w stopniu szeregowca w latach 1918–1920. Natomiast w Kwestionariuszu osobowym – pomimo braku jakiegokolwiek wzmianki o udziale w wojnie, pierwszym wśród wymienionych odznaczeń jest Krzyż Waleczny z 1920 r.!

Fakt pomijania służby żołnierskiej przeciw nawale bolszewickiej w dokumentach sporządzanych po II wojnie światowej był dla pokolenia żyjącego wówczas w PRL – w okresie stalinizmu i później – zupełnie oczywisty i uzasadniony. Bowiem jako szeregowiec Bolesław Świętochowski służył w 3. Pułku Ułanów uczestniczącym w obronie Lwowa oraz w wojnie polsko-bolszewickiej. Awansował do stopnia kaprała i to z pewnością dzielnego, skoro odznaczonego owym Krzyżem Walecznych.

Jeszcze bardziej jest oczywiste, iż nigdzie nie pozostawił profesor najmniejszej wzmianki o swojej roli w Armii Krajowej, działającej podczas okupacji wszak przeciw Niemcom. Zbyt wiele było prześladowań w PRL byłych AK-owców za ich służbę Ojczyźnie¹⁸.

Uzupełniając zacytowany komentarz, można jedynie dodać, że przez więzienia stalinowskie przeszło około 2 mln ludzi, zmarłych i zamordowanych w latach 1944–1956 było około 20,5 tys. osób, a inwigilowanych przez Służby Bezpieczeństwa i uznanych za „element przestępczy i podejrzany” było około 6 mln ludzi, czyli w tym czasie 1/3 dorosłych Polaków. Dziś trudno sobie wyobrazić, jak smakowała radość z przeżycia wojny pomieszana z uzasadnioną obawą o to życie w czasach stalinizmu.

W okresie międzywojennym Bolesław Świętochowski był starszym asystentem na Wydziale Rolniczo-Leśnym Uniwer-

¹⁸ *Ibidem*, s. 12–13.

sytetu Poznańskiego, następnie w Katedrze Uprawy Roślin w SGGW w Warszawie. W 1928 r. objął stanowisko kierownika Działu Doświadczalno-Naukowego Stacji Doświadczalnej Uprawy Tytoniu w Piadykach. Jak podaje Radomska, swych wrocławskich uczniów profesor pouczał, że: *zdrowiej raz w miesiącu wypić pół litra wódki, niż codziennie zatruwać organizm papierosami*. Sam nigdy nie palił (natomiast jego uczennica Radomska – jak smok). W 1930 r. objął stanowisko kierownika Działu Fizjologii i Doświadczalnictwa Polowego w Zakładzie Doświadczalnym Uprawy Torfowisk pod Sarnami na Wołyniu. Tam współpracował i zaprzyjaźnił się ze Stanisławem Bacem, wówczas docentem – obaj spotkali się ponownie we Wrocławiu w 1946 r.

W 1936 r., jako profesor nadzwyczajny, Świętochowski został powołany na stanowisko kierownika Katedry Ogólnej i Szczegółowej Uprawy Roślin na Wydziale Rolniczo-Lasowym Politechniki Lwowskiej w Dublanach. Trzy lata później – w 1939 r. – został wybrany dziekanem wydziału. Wtedy jednak zaczęła się druga wojna światowa, a Kresy Wschodnie – zgodnie z paktem Ribbentrop–Mołotow – znalazły się pod okupacją radziecką. Wydział został podzielony na dwa instytuty i Świętochowski został dziekanem Instytutu Rolniczego. Dzięki temu, że zachował pracę, był w stanie utrzymać liczną rodzinę. Radomska przytacza relację świadka Zofii Lengiewiczowej, według której w 1943 r. do profesorstwa przyjechały dwie siostry Marii Świętochowskiej z córkami, ponieważ ich mężowie i synowie zostali zamordowani, profesor przygarnął też dwóch małych chłopców, których rodziców również zamordowano¹⁹. 22 czerwca 1941 r. Niemcy zajęli Lwów, wypierając zaskoczoną

¹⁹ *Ibidem*, s. 28.

Armię Czerwoną. Pacyfikacja miasta polegała również na tym, że nocą z 3 na 4 lipca 1941 r. wymordowano masowo znaczną liczbę profesorów wyższych uczelni Lwowa, które też natychmiast zostały zamknięte. Kontrofensywa radziecka w 1944 r. przyniosła 17 tysiącom Polaków, w tym również wielu ocalałym z niemieckiego pogromu profesorom, wywózkę do łagrów sowieckich. Zgodnie z postanowieniami zwycięskich mocarstw w Jałcie granice Polski zostały przesunięte poza Kresy Wschodnie, a Polacy, którzy nie chcieli przyjąć obywatelstwa radzieckiego, musieli wyjechać na Zachód. W kolejowym transporcie do Polski znalazła się rodzina profesora Świętochowskiego. Wyszli w Poznaniu. Profesor znalazł zatrudnienie na Uniwersytecie Poznańskim, gdzie pozostał tylko przez pół roku. Ostatecznie, zdecydował się osiaść we Wrocławiu, obejmując w lutym 1946 r. stanowisko dziekana Wydziału Rolnego Uniwersytetu i Politechniki, a od 1951 do 1965 r. sprawował funkcję kierownika Katedry Ogólnej Uprawy Roli i Roślin.

W tym czasie profesor przeżył straszliwą osobistą tragedię. Córka zmarła na dyfteryt, chorobę nieuleczalną w tym czasie, natomiast syn w wieku 14 lat podczas kąpieli w łaźni zetrął się gazem z nieszczelnego junkersa. Ojciec znalazł go już nieżywego. Był potwornie załamany, zdecydował się zamieszkać na Swojcu przy rodzinie technika Mieczysława Oczeretki. Od 4 rano do późnego wieczora pisał podręcznik. Nie mógł z nikim rozmawiać, pracą usiłował zdusić cierpienie.

Profesor Bolesław Świętochowski przeszedł na emeryturę w 1965 r., mając 70 lat. Jak donosi prof. Maria Radomska, było to dla niego wielkim wstrząsem. Całe życie od świtu do nocy intensywnie i twórczo pracował, na brak tej pracy zareagował chorobą Ménière'a, przejawiającą się silnymi zawrotami głowy i postępującą utratą słuchu. Pozostawał w kontakcie z katedrą,

konsultował prace naukowe, powołał zespół do napisania podręcznika „Ogólna uprawa roli i roślin”, którego wydania już nie doczekał.

Nie trzymał się kurczowo funkcji, które jako pracownik sprawował i których może by mu nie odmówiono. Profesor Maria Radomska w wielokrotnie przytaczanych tu *Fragmenta Agronomica* cytuje część przemówienia, jakie profesor jako Przewodniczący Komitetu ds. Podniesienia Żyzności Gleb Lekkich V Wydziału PAN wygłosił podczas zorganizowanego w 1970 r. we Wrocławiu Międzynarodowego Sympozjum: „Moim Kolegom i Przyjaciołom, przedstawicielom państw i narodów, którzy byli obecni, chcę serdecznie podziękować za owocny trud uświetnienia swymi wypowiedziami Zjazdu. Chciałbym też ich pożegnać w moim imieniu, gdyż z dniem dzisiejszym postanowiłem zrezygnować ze stanowiska przewodniczącego. Wydaje mi się, że nie przystoi, by tak poważna organizacja miała przewodniczącego figuranta, zwłaszcza, że mój stan chroniczny zdrowia nie pozwala mi na dalsze wyjazdy zagraniczne, nie uważam za słuszne, by przewodniczący był mitem”²⁰. Profesor Bolesław Świętochowski, przemawiając, dziękował też swoim nauczycielom i uczniom za to, jak wiele się od nich nauczył, *co innego – mówił – czytać z różnych źródeł, a co innego czerpać ze źródła.*

²⁰ Radomska M., 1986. *Sylwetka Profesora dr. hab. w świetle archiwaliów*. „Fragmenta Agronomica” 3, s. 17–25. Cyt. za Radomska M., *ibidem*, s. 53.

Katedra Fizyki

„Laboratorium z fizyki, biofizyki i agrofizyki” ma co najmniej 40 lat, wielu profesorów, którzy dziś zaglądną do wydawnictwa uczelnianego, pokorniej na widok tego skryptu. Wszyscy oni jako studenci nie tylko musieli uczyć się fizyki, musieli ją zrozumieć, żeby po pierwsze zdać egzamin u profesora Stanisława Przystańskiego, a po drugie, żeby z powodzeniem prowadzić swoje badania, które – czy to się podoba, czy nie – są pełne problemów fizycznych.

Gdy w 1951 r. na wykluwającej się uczelni rolniczej powstawały katedry podstawowe, prof. Jan Niklibordz zaproponował organizację Katedry Fizyki magistrowi Stanisławowi Przystańskiemu, asystentowi profesora Jana Wesołowskiego, który zdecydował się opuścić Wrocław i podjąć pracę na uczelni opolskiej.

– Zgodziłem się na to – opowiada prof. Przystański – choć sądziłem, że będzie to tylko epizod, że zorganizuję i wrócę do macierzystej katedry na Uniwersytecie, ale ta tymczasowość trwa do dzisiaj, czyli od sześćdziesięciu lat.

Profesor Stanisław Przystański urodził się we Lwowie w 1927 r., gdzie walczył jako orleń lwowski (za co został odznaczony w 1995 r. na Zamku w Warszawie). W latach trzydziestych jego rodzina przeprowadziła się do Łodzi, gdzie ojciec profesora – specjalista od ubezpieczeń społecznych i radca



prawny – został powołany na stanowisko dyrektora łódzkiego oddziału ZUS. Tam też zastała ich wojna. Po wojnie zaproponowano mu pracę na Dolnym Śląsku. Miał w poniemieckim mieście organizować system ubezpieczeń. Tak Przestalscy znaleźli się we Wrocławiu. Zamieszkali na Zalesiu, gdzie było stosunkowo mało zniszczeń.

– Bandy, o których stale słyszeliśmy – wspomina profesor – grasowały w okolicach ulicy Grabiszyńskiej, gdzie stacjonowały wojska radzieckie. Natomiast na Zalesiu było spokojnie. Wracałem o różnych porach dnia i nocy, ale nigdy się nic nie zdarzyło.

Po mieście w tym czasie trzeba było chodzić środkiem jezdni, bo chodnikami było niebezpiecznie – spadały dachówki ze zbombardowanych nieodbudowanych jeszcze domów. Profesor Stanisław Przestalski miał wtedy 19 lat.

– Po wojnie starałem się nadrobić braki edukacyjne. W 1939 r. miałem za sobą pięć lat szkoły powszechnej, a od 1941 r. pracowałem fizycznie i nie mogłem się wiele uczyć, doskonaliłem się wieczorami. Po wojnie przez kilka miesięcy chodziłem do szkoły, gdzie uzyskałem tzw. małą maturę, a następnie zdecydowałem się sam kształcić. We wrześniu 1946 r. zdałem egzamin maturalny jako eksternista w Liceum nr 1 we Wrocławiu.

W 1946 r. przyszyły profesor zdał maturę i rozpoczął studia na Uniwersytecie i Politechnice. Braki kadrowe, jak wspomina, były olbrzymie, dlatego niektórzy jeszcze jako studenci zostawali asystentami czy raczej najpierw zastępcami asystentów. Stanisław Przestalski prowadził zajęcia, będąc studentem trzeciego roku. Po ukończeniu studiów został starszym asystentem w Katedrze Fizyki, która obsługiwała wszystkie wydziały Uniwersytetu i Politechniki we Wrocławiu.

– Zostałem w 1948 r. pierwszym asystentem prof. Jana Weśłowskiego, który przyjechał wraz z żoną z Krakowa. Posia-

dał wielki dar przyciągania ludzi i zainteresowania tematyką. Przed wojną był na stażu w Anglii i miał duże doświadczenie, poza tym zwyczajnie lubił to, co robił i był życzliwy. W tej katedrze pracowało nas z dziesięć osób, pracowaliśmy jak konie, fizycznie również. Badaliśmy wpływ promieniowania kosmicznego. Do dziś pamiętam, jak wnosiliśmy ciężkie ołowiane blachy i cegły na strych, promieniowanie kosmiczne zatrzymywało się w ołowiu i można je było mierzyć. Zapowiadało się świetnie, ale niespodziewane perturbacje spowodowały, że zespół się rozpadł.

Żona prof. Jana Wesołowskiego w wyniku pomówień została zwolniona z pracy, wobec czego profesor też złożył wypowiedzenie. Choć później wszystko wyjaśniono i przywrócono oboje do pracy, zdecydowali się wyjechać.

– Mój kontakt z profesorem Wesołowskim pozostawał bliski. Był on moim mistrzem i promotorem mojej pracy doktorskiej.

Pracę organizacyjną w Wyższej Szkole Rolniczej Przesalski rozpoczął dokładnie 1 sierpnia 1952 r. jako p.o. kierownika katedry. Kuratorem był wówczas prof. Mieczysław Cena – zootechnik, który w swych badaniach zajmował się między innymi warunkami w pomieszczeniach dla zwierząt gospodarskich – wilgotnością, przepływem powietrza itp. Była to biofizyka w skali makro. Prof. Mieczysław Cena rozumiał problemy katedry, którą się opiekował.

– Był świetny. Nie ma słów, żeby dostatecznie go przedstawić – wspomina profesor Przesalski i dodaje – Profesor Cena dawał wolną rękę i pomagał dyskretnie. Uważałem za swoje osiągnięcie wydanie Zeszytu Naukowego wypełnionego artykułami tylko naszej katedry, gdzie były przedstawione wyniki naszych badań izotopowych, glebowych i krwi. Nie mając doświadczenia, miałem możliwość korzystania z doświadczenia



prof. Ceny. Wszystko znalazło się w jednym zeszycie, a przy jego wydaniu pomógł właśnie prof. Mieczysław Cena. Był poza tym znakomitym gawędziarzem, dorzucającym zawsze do opowieści jakiś morał.

To od profesora Ceny Przestalski usłyszał myśl, że *ludzie z wiekiem albo gorzknieją, albo stają się coraz pogodniejsi i życzliwsi światu*. Jeżeli ktoś chciał coś zrobić i nie zrobił niczego sensownego, będzie z wiekiem gorzkniał, bo już nie ma czasu, żeby cokolwiek naprawić. Natomiast ten, kto zrobił coś w życiu i czuje satysfakcję, spędza starość pogodnie.

– Pamiętam takie rozmowy gdzieś na wczasach w Dąbkach – wspomina profesor.

W 1952 r. czteroosobowa grupa fizyków: Stanisław Przestalski, Janina Kuczera, Jerzy Bors i Waldemar Fritz dostała dwa puste pokoiki w gmachu głównym przy ul. Norwida.

– Trzeba było od czegoś zacząć. Potraktowałem to jako misję, żeby we Wrocławiu, jeszcze pełnym gruzów, coś dobrego i wartościowego stworzyć. Nie liczyło się czasu, godzin ani sił.

Zaczęli kupować różne przyrządy fizyczne z rozwalonych byłych niemieckich szkół. Poszukiwali ich wśród gruzów, gdyż były to rzeczy wyrzucane z rozbieranych budynków. Jednocześnie organizowali pracownię naukową. W bardzo skromnych warunkach rozpoczęły się tu badania.

– Z uwagi na moją pracę magisterską poświęconą radioaktywności, w pierwszym rzędzie zajęliśmy się problematyką dozymetrii promieniowania radioaktywnego, następnie bardzo się rozwinęły badania nad wykorzystaniem izotopów promieniotwórczych w naukach rolniczych, biologicznych, medycznych. Prowadziliśmy szkolenia dla całego środowiska naukowego. To było szalenie modne na całym świecie, np. wykorzystanie izotopów do badania fizjologicznego – przepływu krwi w organizmie,

badanie wpływu leków na kości. Niektóre eksperymenty były egzotyczne, np. gdy badaliśmy przenikanie izotopów promieniotwórczych do wnętrza komórek przez błony komórkowe, potrzebowaliśmy krwinek różnych rozmiarów, dzięki pomocy kolegów z weterynarii pobieraliśmy je od dzikich zwierząt w zoo.

Po kilku latach profesorowie Bolesław Świętochowski i Stanisław Bac zaproponowali zespołowi Stanisława Przestalskiego badanie gleby metodami fizycznymi. Na pierwszym spotkaniu, jak wspomina prof. Przestalski, Świętochowski wygłosił swoje znamienne zdanie: *Proszę Pana, my się na fizyce nie znamy, ale my się jej nie boimy*. Rozpoczęła się bardzo owocna praca naukowa, polegająca na badaniu zwłaszcza wilgotności gleby w warunkach polowych. Okazało się, że jest to kopalnia problemów fizycznych. Badania były prowadzone przez kilka lat, doprowadzając do doktoratu Przestalskiego, który został obroniony na Uniwersytecie Wrocławskim.

Profesor Przestalski wykłady przez wiele lat sam prowadził, choć nie tyle one zapadały zarówno prowadzącemu, jak i studentom w pamięć, co egzaminy. Trzeba było bowiem przepytac około 900 osób, czyli około 50 studentów dziennie.

– Pełne szaleństwo, ale uważałem, że ustne egzaminy są najbardziej miarodajne, po latach jednak zrezygnowałem z ustnych, bo studentów było coraz więcej.

W pierwszej turze przynajmniej połowa oblewała. Profesor wpisywał dwóje, ponieważ odsyłanie, jego zdaniem, okazywało się nieskuteczne. Raz się zdarzyła studentka, która nie zdawszy egzaminu wyraziła wdzięczność, bo nie znosiła studiów, które wybrali jej rodzice i bardzo się cieszy, że profesor jej nie przepuścił. Jednakże zawsze każdego roku była grupa bardzo dobrych studentów, co dawało ogromną satysfakcję.

Wykłady profesor ilustrował demonstracjami.

– Staralem się studentów czegoś nauczyć, ale sam też się uczyłem – wspomina. – Przyglądałem się od drugiej strony i kiedy widziałem, że z recepcją jest ciężko, szukałem innych metod. Powracałem do tematu, przedstawiałem go z innej strony. Czy to trafiało do przekonania, orientowałem się po oczach słuchaczy i ich frekwencji na wykładach. Wydaje mi się, że fizyka była ceniona.

Każdy student musiał przejść również ćwiczenia laboratoryjne, aby nauczyć się praktycznego podejścia do problemów, poza tym były zajęcia czysto obliczeniowe.

– Do liczenia wykorzystywaliśmy wszystko, co było dostępne, a co choć trochę przyspieszałoby rachunki, ale np. przy wykreślaniu krzywych były takie urządzenia mechaniczno-elektryczne, które wyznaczały te krzywe bardzo nieporadnie, z błędami, ale się pracowało.

Ćwiczenia prowadzili asystenci. Codziennie spotykali się o 11.00 w gabinecie szefa na herbatce, żeby porozmawiać o sprawach bieżących.

Profesor Stanisław Przystański wypromował 15 doktorów, co – jak sam twierdzi przekornie – nie jest tak oszałamiającą liczbą, gdyż wówczas żadnych studiów doktoranckich nie było. Asystenci łączyli badania naukowe z dydaktyką. Profesor uważa, że to bardzo dobre połączenie. Spod jego ręki wyszło około 15 profesorów.

– Ostatecznie, największą satysfakcją dla człowieka, który zajmuje się nauką, jest wypromowanie następców, sprawia to dużo radości.

Co tydzień pracownicy katedry spotykali się na dłuższych zebraniach, omawiając sprawy dydaktyczne i naukowe. Przed wszystkim jednak każdy musiał przedstawić 10–minutowy referat z literatury naukowej w języku angielskim. Wówczas nie istniały

postery czy plakaty, a na konferencjach przedstawiano tradycyjnie referaty. Te cotygodniowe spotkania pracowników katedry i rezim narzucony przez prof. Przestalskiego ćwiczyły tę umiejętność krótkiego, treściwego wypowiedzenia się w języku angielskim.

– Uczyliśmy się go nieustannie. Staralem się wymusić naukę angielskiego, choć część robiła to z wielką niechęcią, ale opłacało się.

W 1974 r. profesor zorganizował z całym zespołem pierwszą, powtarzaną później corocznie, wielką międzynarodową konferencję naukową na temat błon komórkowych *Biophysics of membrane Transport. School proceedings* – całkowicie po angielsku. Organizowana była w różnych miejscowościach, byle nie we Wrocławiu.

– Uważałem – opowiada prof. Przestalski – że jak organizatorzy są blisko domu, to nie mogą całej uwagi poświęcić swoim gościom, zaniedbują sprawy konferencji.

Przyjeżdżało około 200 osób, które kwaterowano na ogół w jakimś domu wczasowym, dysponującym odpowiednią liczbą miejsc oraz odpowiednio dużą salą. W czasach PRL zawsze były tzw. przejściowe kłopoty z mięsem, w związku z czym organizatorzy sympozjum wysyłali do komitetu wojewódzkiego partii podanie z prośbą o dodatkowy przydział na okoliczność międzynarodowej konferencji.

– Dzięki bezpośrednim kontaktom wiele osób wyjeżdżało później na staże zagraniczne. Poznanie się odgrywało tu ogromną rolę, a jeśli ktoś po referacie gościa z Zachodu jeszcze zabrał głos w dyskusji w języku angielskim, to robiło bardzo dobre wrażenie. Wówczas były to kontakty nie do przecenienia. Sympozja te organizowaliśmy do 1997 r.

Rzecz jasna, żelazna kurtyna istniała, kontakty były utrudnione. Profesor Przestalski wspomina, że jak tylko chcieli zdo-

być jakieś zachodnie naukowe czasopismo, trzeba było składać wnioski, a na odpowiedź czekało się miesiącami. Rozdźwięk między nauką na Zachodzie a tutaj stawał się coraz większy – zabijał nas brak przepływu informacji, kontaktu. – Ta przepaść oczywiście jest do zasypania, ale to teraz kwestia pieniędzy, których też nie ma. Jeśli chodzi o naukę eksperymentalną, trzeba przede wszystkim bardzo kosztownych urządzeń.

Czy były inwigilacje ze strony służb bezpieczeństwa podczas tych sympozjów?

– Dowiedziałem się kiedyś, że jacyś podejrzani osobnicy kręcą się wśród zagranicznych gości. Zaprosiłem esbeka odpowiedzialnego za kontakty z uczelniami do siebie, był to zresztą absolwent naszej weterynarii, i powiedziałem, że jak chce coś wiedzieć, to niech pyta wprost, a ja mu odpowiem. Chodziło mi o to, żeby goście z Zachodu, którzy tu przyjeżdżali, nie mieli jakiś kłopotów.

Zresztą, przedstawiciel urzędu bezpieczeństwa przychodził i w innych sprawach. Profesor Stanisław Przestalski był przez jakiś czas dyrektorem Instytutu Biologii i Biofizyki, po 1968 r. powstał taki instytut na fali właśnie łączenia katedr w instytut, najpierw jego dyrektorem był prof. Tołpa, a później Przestalski.

– Przychodził ten esbek co pół roku i pytał, czy chronię odpowiednio wynalazek Tołpy przed kradzieżą. Odpowiadałem, że jest tak chroniony, jak tylko to jest możliwe. To był okres, kiedy wyciąg torfowy robił wielką karierę. Pamiętam widok zastawionej ulicy namiotami, bo ludzie przyjeżdżali i błagali o preparat. Wiele czasu poświęciliśmy z prof. Tołpą na rozmowach o preparacie, pokazywał mi wyniki badań, robił szczegółowe notatki – komu, ile razy ten preparat pomógł. Później doszedł do wniosku, że jedynym pewnym wnioskiem jest to, że prepa-

rat w znacznym stopniu redukuje ból, a nowotwory to przede wszystkim choroba bólu.

Prof. Stanisław Przestalski zaczynał pracę codziennie około 8 godziny, a wychodził różnie – o 8–9 wieczorem. (Obecnie zaczyna później i kończy wcześniej, ale pracuje intensywnie nad realizacją kolejnego projektu MNiSW dzięki odpowiednim grantom).

– Nie wierzę w to, że można bez ciężkiej pracy coś osiągnąć. Są tacy, którzy uważają, że mają takie zdolności, że wszystkiego mogą się szybko nauczyć. Studentom zawsze powtarzam, żeby nie wierzyli w samorodnych geniuszy. Nie wierzę też w życie pozastołówkowe. Mnóstwo ich poznałem. Moja żona, pracownik Akademii Medycznej, miała swoją stołówkę a ja swoją, tylko w soboty i niedziele jedliśmy domowy obiad.

Profesor opowiada, że właściwie jedna rzecz mu się nie powiodła.

– Przez szereg lat próbowałem doprowadzić do tego, żebyśmy się spotkali z kolegami z innych katedr, żebyśmy zorganizowali dwu-, trzydniowe spotkanie przedstawicieli różnych kierunków, którzy korzystają z wiedzy z zakresu fizyki, żeby powiedzieli, czego potrzebują, a my, żebyśmy powiedzieli, co możemy dać. Byłoby to bardzo twórcze. Mam nadzieję, że idea ta zostanie zrealizowana przez obecne kierownictwo – uczelni, wydziału i katedry.

O tym, jak profesor Golonka uczył łagodności

Zima 1953 r. była długa i mroźna. I pewnie dlatego tak doskonale pamięta ją profesor Zygmunt Mikołajczak, emerytowany profesor Łąkarstwa.

– Jeszcze do 10 kwietnia leżał śnieg – opowiada, jakby to było wczoraj.

Trwające 3,5 r. studia inżynierskie kończył w Poznaniu. Ale tam nie było jeszcze Katedry Łąkarstwa.

– Zostaliśmy wytypowani we dwóch – ja i Zygmunt Kostuch – na studia magisterskie. Mogliśmy wybrać miasto. Padło na Wrocław – opowiada, ale nie ukrywa, że stolica Dolnego Śląska wśród poznaniaków nie cieszyła się dobrą sławą. Ludzie mówili: miasto kompletnie zniszczone i wszędzie kręcą się rabusie.

– Zygmunt miał trochę bardziej skomplikowaną sytuację, niż ja. Tytuł inżyniera nadano mu w Krakowie, ale dziekan nie pozwolił mu tam zostać – opowiada prof. Mikołajczak. – Wtedy trzeba było chodzić na rozmaite akademie, a on był taki śmieszek. Ktoś tam na takiej uroczystości opowiadał kawały, a on



głośno się roześmiał. Wyszła z tego niezła awantura, bo to przecież były czasy stalinizmu.

Tu, we Wrocławiu, Zygmunt Mikołajczak i Zygmunt Kostuch poznali swojego przyszłego promotora, szefa i mistrza, ich imiennika, prof. Zygmunta Golonkę. Urodzony w 1888 r. w zaborze austriackim, wykładowca, uczestnik I wojny światowej, poliglota, był jednym z pierwszych, którzy na Ziemiach Zachodnich organizowali późniejszy Uniwersytet Przyrodniczy.

– Już wtedy był naszym zdaniem leciwy. Bardzo cichutki, łysy, głowa goluteńka, skromniutki. Miał astmę, więc często dyszał, mówił ściszym głosem – opowiada prof. Mikołajczak.

Pierwszą siedzibą uczelni był ponemiecki gmach z wieżyczką przy ul. Prusa, gdzie obecnie mieści się Wydział Architektury Politechniki Wrocławskiej.

– Potem przerzucono nas do monumentalnego budynku, stojącego nad Odrą, przy ul. Cybulskiego – wspomina uczeń profesora Golonki.

Mistrz organizował wszystko od podstaw. Przywiózł ze sobą studenta, prawie magistra, Włodzimierza Lidtkego. To on właśnie dostał dyplom z numerem 1. Wspólnie szukali stołków, krzesel, biurek. Wydobywali z gruzów to, co zostało z niemieckiej uczelni. A zostało niewiele. Mikołajczakowi udało się uratować 15 opasłych tomów Hegiego, pięknie wydanych. Potem się z nich uczyliśmy.

Wśród absolwentów, którzy jako pierwsi skończyli uczelnię, znalazł się późniejszy przyjaciel prof. Mikołajczaka, Zygmunt Hryniewicz.

– Studia zaczął później, bo miał różne życiowe perypetie – m.in. studiował polonistykę – zdradza łąkarz. – Ale nie wyszło mu to na złe, bo potrafił pięknie mówić i pisać, nie stracił tego czasu. I to właśnie on był pierwszym asystentem prof. Golon-

ki. W 1953 r. wykładowca przyjął aż trzech z mojego rocznika, m.in. mnie i Zygmunta Kostucha – dodaje Mikołajczak.

Jaki był? Inny niż reszta profesorów.

– Nie należał do tych, którzy rzucają się w oczy. Jego poznało się dopiero w kuluarach, na rozmaitych przyjęciach i spotkaniach. Bardzo pilnował integracji studentów i asystentów – podkreśla Mikołajczak.

A ponieważ tak się złożyło, że w katedrze sporo było Zygmuntów, każde imieniny były obchodzone naprawdę hucznie!

– Profesor Golonka był Zygmunt, Hryncewicz był Zygmunt, ja i Kostuch. A profesor Golonka, chociaż taki cichutki, skromniutki, to za kołnierza nie wylewał – uśmiecha się Mikołajczak. I dodaje: – Ten człowiek miał w sobie wielką dobroć. On nie potrafił w to uwierzyć, że ktoś w jego gronie może być jakimś Judaszem.

W połowie lat 50. asystenci prof. Golonki mieli okazję, by się o tym przekonać. Nagle zorientowali się, że w uczelnianej kasie zostało bardzo mało pieniędzy na badania. Po prostu wyparowały.

– Coś nie grało. No i rozpoczęliśmy śledztwo na własną rękę, oczywiście nic nie mówiąc profesorowi – mówi Mikołajczak.

W kwesturze była taka urzędniczka, której wszyscy pracownicy bali się jak ognia. Młodzi asystenci oddelegowali do niej właśnie młodego Zygmunta Mikołajczaka.

– Mogłem wprost powiedzieć, ale tłumaczyłem, że to prof. Golonka chce zobaczyć rachunki. No i okazało się, że wszystkie te lewe kwity podpisywała nasza sekretarka. No i jak to wykryliśmy, to trzeba było pójść do profesora i mu o wszystkim powiedzieć. Jaki on był zmartwiony! On w zasadzie miał mniejszą pretensję do tej sekretarki niż do nas, że to odkryliśmy. To pokazuje, jaki to był człowiek. Każdemu wierzył – wdycha profesor.

Były też inne sytuacje, w których asystenci prof. Golonki mogli się przekonać o jego łagodności. Młody Zygmunt Mikołajczak raz zapomniał o zajęciach dla studentów zaocznych w sobotę.

– Ja też kiedyś byłem młody – śmieje się profesor.

Gdy w końcu przyszedł na uczelnię mocno spóźniony, prof. Golonka zamiast udzielić reprimendy, rzucił mu się na szyję. *Panie Zygmuncie, jak ja panu dziękuję, że pan przyszedł. Bo studenci czekali, a ja nie wiedziałem, co mam zrobić* – nie ukrywał radości szef katedry.

Mimo że czasy stalinizmu mocno dotknęły Wrocław, a miasto uchodziło za jeden z najbardziej czerwonych ośrodków akademickich w Polsce, profesor Zygmunt Golonka sprawił, że młodzi asystenci odnaleźli w Katedrze Łąkarstwa drugi dom. Choć mieli różne poglądy polityczne, pochodzili z różnych stron Polski i odebrali różne wychowanie, stanowili jednocześnie zgrany zespół.

– Zrobił z nas jedną owczarnię. Te przyjaźnie trwają do tej pory – nie ukrywa wzruszenia profesor Mikołajczak.

No, ale oczywiście pojawiały się problemy natury politycznej. Chociażby pochody pierwszomajowe.

– Co tu się działo na Curie-Skłodowskiej! Wszyscy zastraszeni. Jednemu wciskali Stalina, innemu Bieruta. Ja należałem do tych sprytnych, że tak umiejętnie zawsze się gdzieś ukryłem w tłumie. A Zygmuntovi Kostuchowi ktoś tam właśnie wcisnął podobiznę Lenina. Awantura była nie z tej ziemi – opowiada uczeń prof. Golonki.

Za to z uśmiechem na twarzy wspomina wspólne wyjazdy ze swoim mistrzem. Jako łąkarze często wyjeżdżali w plener. Jeździli w góry i na podmokłe tereny, czasem aż na Mazury. Pociąg z Wrocławia do Olsztyna włókł się niemiłosiernie, ale nie

było mowy o nudzie. Czas umilały anegdoty profesora Golonki, wielbiciela dowcipów i skarbnicy rozmaitych historii.

– Należał do tych ludzi, którzy mówiąc, nie zmieniają wyrazu twarzy, ale i tak wszyscy śmiali się do rozpuku – opowiada Mikołajczak.

W 1964 r. jego kolega, Czesław Opaliński, bronił doktorat. Potem wszyscy świętowali w hotelu Monopol. Profesor był wtedy trzy lata przed śmiercią, gasł. Na tej imprezie był także inny wykładowca, młodszy od niego jakieś 30 lat, też charyzmatyczny. Golonka mu nie ustępował na krok.

– On to umiał opowiadać i to nie były brutalne, chamskie dowcipy, tylko żarty, w świetnym, kulturalnym wydaniu – mówi Mikołajczak.

Ta słabość do kawałów była wizytówką profesora Golonki. Katedra Łąkarstwa mieściła się wtedy na drugim piętrze gmachu przy ul. Cybulskiego, więc profesor jak się na to drugie piętro wspiał, to nie mógł oddechu złapać.

– Pośrodku był sekretariat, po jednej i po drugiej stronie – gabinety. Witał się, ciężko dysząc, ale zawsze ze dwa kawały opowiedział – uśmiecha się do wspomnień Mikołajczak.

Ale ta łagodność bywała też wadą. Mikołajczak tłumaczy, że profesor chciał, żeby to od asystentów wychodziła inicjatywa, żeby do wszystkiego dochodzili sami.

– Na początku lat 50. w Warszawie chcieli mu nadać tytuł doktora *honoris causa*. Więc zaczęliśmy go namawiać, przekonywaliśmy, że to nie dla niego, że to katedra zyskuje, że to prestiż dla uczelni. No i byliśmy tacy zadowoleni. Po tygodniu profesor przyszedł do Zygmunta Hryniewiczza i mówi: *Ja nie potrzebuję, żeby jacyś warszawscy urzędnicy się nade mną wytrząsali*. To był właśnie cały Golonka – opowiada Mikołajczak.

Tam, gdzie chodziło o walkę o coś, przegrywał, bo nie potrafił rozpychać się łokciami. Nie dążył do sukcesu za wszelką cenę. Nie potrafił nikogo urazić.

Najlepszym przyjacielem prof. Golonki był prof. Wojtysiak z Katedry Szczegółowej Uprawy Roślin; jego stuprocentowe przeciwieństwo.

– Był dziekanem i w wyborach w 1956 r. startował jako poseł. Jak było napisane „dziekan”, to wszyscy myśleli, że to z Kościoła dziekan. I wygrał. Zawsze się wszystkiemu sprzeciwiał i po jednej kadencji go wyrzucili – śmieje się Mikołajczak.

Obaj profesorowie – Golonka i Wojtysiak – byli bardzo za przyjaźnieni, choć zupełnie do siebie nie pasowali. Ani fizycznie, ani intelektualnie. Wojtysiak był duży, Golonka szczupłutki, Wojtysiak – prosty, Golonka – odcytany, jeden złośliwy, drugi – łagodny.

– Wojtysiak na obronach doktoratów specjalnie zadawał takie pytania, na które trudno było odpowiedzieć. Ale jak ktoś był od Golonki, nie odzywał się zupełnie. Solidarność – wspomina Mikołajczak.

Prof. Zygmunt Golonka miał 12 doktorantów. Wszyscy zostali profesorami. Teraz rozjechali się po świecie – są w Krakowie, Olsztynie, część została we Wrocławiu.

– Był dla nas jak ojciec. Bawiliśmy się z jego wnukami, jeździliśmy na przyjęcia do jego domu na Oporowie. Ten najstarszy, ukochany, był świetny z matematyki. Ten najmłodszy – urwis, jakich mało. Teraz to dorośli mężczyźni – mówi Mikołajczak.

I podkreśla, że choć prof. Golonka odszedł ponad 40 lat temu, jego duch wciąż jest obecny w życiu asystentów.

– Spotykamy się, jeśli tylko jest okazja. Tylko jest nas coraz mniej – wzdycha profesor.

O tym się nigdy nie pisze, bo to właściwie życie codzienne

Profesor Stanisław Bac mieszkał przy ulicy Kochanowskiego 36, ta willa jeszcze stoi i zamieszkuje ją starszy syn profesora, też Stanisław. Profesor codziennie przychodził około 7.00 rano do pracy. Był bardziej rolnikiem niż technikiem, chociaż doktoryzował się na Politechnice Warszawskiej, a rolnicy, jak wiadomo, wczesnie kładą się spać i wczesnie wstają. Przychodząc do instytutu, asystenci widzieli profesora już pracującego przy biurku, a był to wielki, piękny mebel odziedziczony po niemieckich poprzednikach. Jak się okazało, należało ono do prof. Ferdinanda Zunkera, rozwijającego nauki wodno-melioracyjne w Niemczech jeszcze przed wojną. Prof. Zunker przyjechał do profesora Baca po wojnie i ogromnie się wzruszył, widząc, że ten siedzi przy jego biurku i używa jego lampy.

Drzwi do gabinetu profesora zawsze były otwarte. Kiedy asystenci przychodzili do pracy, najpierw grzecznie się z nim witali. On też codziennie zaglądał do nich i pytał o dom, żonę i dzieci, zawsze też zagadnął o postępy w badaniach i w pisaniu artykułu. Jak wspomina docent Donat Dejas:



– Czuliśmy się z jednej strony jak pod opieką ojca, a z drugiej czuliśmy respekt, ale był to respekt wywołany nie strachem, lecz uznaniem.

Jeśli ktoś w terminie nie oddał pracy, profesor zapraszał do siebie na rozmowę, przypominał o zobowiązaniu i wyznaczał ostateczny termin. Człowiek wychodził z gabinetu czerwony ze wstydu. Czy profesor Bac podnosił głos? Bardzo rzadko. Tę ojcowską opiekę dawało się odczuć również wtedy, gdy delikatnie potrafił upomnieć swojego ucznia, jeśli ten niewłaściwie się zachował lub coś niestosownego powiedział. Profesor mówił, że coś nie można albo nie wypada.

Artykuły swoich asystentów profesor czytał i opiniował, zanim zostały zaproponowane gdziekolwiek do druku, ale jeśli artykuł był dobry i nadawał się do publikacji, profesor Bac załączał do recenzenta swój list polecający. Była to wystarczająca rekomendacja. Profesor nie siedział długo na uczelni, około 14.00 wychodził z pracy i wracał do domu, zawsze piechotą.

Stanisław Bac potrafił się bawić i dbał o dobrą atmosferę zabawy. W karnawale organizował tradycyjnie duże bale. Było to w starym budynku przy ul. Norwida 25, gdzie teraz mieści się Dział Nauki, a wcześniej Katedra Geodezji. Kiedyś były tam ogromne sale, które dopiero później zostały podzielone na mniejsze pokoje. W czasie tych balów profesor prowadził poloneza. Zapraszał wszystkich pracowników z żonami. Natomiast 8 maja były imieniny profesora – hucznie obchodzone. Tego dnia w laboratorium na palnikach, gdzie na co dzień podgrzewano próbówki i kolby z różnymi substancjami chemicznymi, bulgotały bigosy i inne pyszne dania. Przychodzili wszyscy profesorowie z całej uczelni, a przyjęcie trwało do późnych godzin wieczornych.

Niewątpliwie miał poczucie humoru, które przejawiało się w reakcjach na nietypowe sytuacje. Donat Dejas, asystując profesorowi podczas egzaminów, zanotował pewnego razu takie zdarzenie: student nie umiał dobrze odpowiedzieć na żadne pytanie. W końcu zniecierpliwiony profesor stwierdził: *Nic Pan nie umie, o co tutaj chodzi?* Na co egzaminowany odpowiedział: *Panie Profesorze, chodzi o to, ...żebyśmy wszyscy zdrowi byli.* Ta prosta prawda była nie do podważenia. Profesor Stanisław Bac roześmiał się, docenił odwagę studenta i wstawił mu dostateczny, dodając jednocześnie: *Radzę Panu, żeby się Pan jednak nauczył tego, co Pan powinien umieć.* Bac był też autorem popularnego przed laty wśród meliorantów powiedzenia: *Jak meliorant wódki nie pije, to mu szuwar z gęby wyrasta.*

Docent Dejas wspomina, że jeździli z profesorem, a towarzyszyła im także profesorowa, do Kudowy, gdzie Dejas jako młody asystent przygotowywał swój doktorat i prowadził badania związane z budową ujęcia wody dla Kudowy.

– Tam pracował taki górnik, który miał wypadek na kopalni i był trochę upośledzony. Zwracał się on do profesora *per ty*, mówił: *jak tam, synek, jak ci na imię.* Profesor rozmawiał z nim wtedy, jakby się znali, jakby byli kolegami z kopalni. Była w tym – jak ocenia jego uczeń – ogromna wrażliwość i otwartość na drugiego człowieka.

– Byłem jednym z najbliższych współpracowników profesora Baca. Ostatnim wypromowanym przez niego doktorem – mówi Donat Dejas. – Zapraszał mnie z żoną na święta, zwłaszcza na Wielkanoc, do swojego domu. Przychodziliśmy zawsze przed świętami złożyć profesorstwu życzenia. Byłem wtedy asystentem. Spotykaliśmy się tam z profesorową, która świetnie gotowała, na święta przyrządzała zawsze udziec barani. Była elegancka, świetnie znała języki obce, francuski i niemiecki.

Pewnego dnia profesor wręczył mi list od swojej żony z prośbą, żebym zawiózł ją do dentysty. Mógł mi po prostu powiedzieć, ale nie, profesorowa **n a p i s a ła d o m n i e l i s t**, na dwie strony, w którym w pięknych słowach zwracała się do mnie z prośbą i usprawiedliwiała się, dlaczego się do mnie z taką prośbą zwraca. Ileż było w tym poszanowania cudzej godności! Mam ten list do dziś.

Oboje byli wysoko wykształceni humanistycznie. Podczas prywatnych spotkań rozmawialiśmy o sztuce, literaturze, malarstwie. Wiedza profesora na temat muzyki była imponująca, umiałem to ocenić. Przyjaźnił się z Antonim Słonimskim, który odwiedzał go we Wrocławiu.

Docent Dejas mówi o sobie, że był ministrem spraw zagranicznych profesora Baca, pisał mu bowiem listy, których profesor wymieniał bardzo dużo. Był też jedynym, którego poprosił o porządkowanie swojej prywatnej biblioteki i osobistych dokumentów, które z pewnych względów trzymał w pracy. Asystent porządkował je popołudniami, robiąc fiszki i spisy.

– Prośba profesora była niewątpliwie wyrazem ogromnego zaufania do młodego człowieka, którym wówczas byłem – wspomina Dejas.

Zresztą, profesor Bac po prostu lubił młodych, myślał o nich i dzielił się swoją wiedzą. Kiedy w 1959 r. nie mógł osobiście uczestniczyć w absolutorium Wydziału Melioracji Wodnych, przesłał list, w którym napisał: „Pamiętacie zapewne – jak na wstępie Waszych studiów mówiłem Wam i zalecałem, byście zachowali stare filareckie hasło: Ojczyzna – Nauka – Cnota. W czasie ciężkiej niewoli okupacyjnej mieliście możliwość poznać, co znaczy Wolność i jaką rzeką krwi, cierpienia i zniszczenia została odzyskana. Pamiętajcie o tym i myślcie, że naród gnuśny, tchórzliwy i sprzedajny – może stracić wolność.

Naukę staraliśmy się podać Wam w jak najlepszej formie – a teraz pragniemy, byście nadal uczyli – tak jak i my uczymy się, by Polska była krajem postępu i dobrobytu, byście z nami współdziałali i wcielając wskazania teorii do praktyki – a z nowej, przez Was przemyślanej i zorganizowanej praktyki, przenosili wiadomości do nauk teoretycznych. Zdaję sobie sprawę, jak przeciążeni jesteście bieżącą pracą – ale równocześnie wiem, że bez poświęcenia pewnej ilości czasu na studia literatury technicznej – staniecie się tylko robotami – a nie postępową siłą twórczą.

O cnocie mówi się dzisiaj najmniej. Ma o nią dbać prokurator i milicja? A ja bym tak pragnął, byście byli ludźmi o czystych rękach i nieskalanym postępowaniu, byście umieli oprzeć się łatwiznie w poprawie bytu przez nadużycia, byście mieli odwagę występować przeciwko temu, co jest sprzeczne z cnotą. Wiem, że jest to droga ciężka, wymagająca poświęceń i ofiar – jak walka frontowa – ale ona tylko wiedzie do spokoju sumienia i zyskuje przyjaźń wśród pracowników – a Ojczyźnie daje pożytek”²¹.

Zacytowany wyżej fragment, zwłaszcza ostatni akapit o czystych rękach i odwadze występowania przeciwko, odczytany absolwentom w 1959 r., świadczy o odwadze profesora, który w wyrażaniu swoich myśli i poglądów nie czuł się skrępowany okolicznościami politycznymi. Ciekawe, na ile absolwenci, którzy odbierając dyplomy i słuchając słów profesora Baca, łączyli ich znaczenie z otaczającą ich rzeczywistością polityczną? W każdym razie odwagę profesora Baca notuje jego asy-

²¹ Fragment listu został zacytowany za Stanisławem Kostrzewą, który opublikował go w czasopiśmie „Pro memoria”, AR we Wrocławiu, 2005, s. 12–13. Oryginał listu znajduje się w posiadaniu doc. Donata Dejasa.

stent Donat Dejas, wspominając, że zawsze w listopadzie – jako uczestnik walk w obronie Lwowa w 1918 r. w kompanii Orłąt Lwowskich – nosił on w klapie marynarki Krzyż Obrony Lwowa. Natomiast gdy Studium Wojskowe, na swoje potrzeby zabrało melioracji jedną z sal ćwiczeniowych, Bac grzmiał – *ex cathedra* – na wykładach: *Ja się chciałem zapytać, czy Studium Wojskowej jest przy Akademii, czy Akademia przy Studium Wojskowym?* To były lata pięćdziesiąte, jeszcze przed Gomułką. Na tę odwagę profesor Stanisław Bac mógł sobie pozwolić, jego pozycja naukowa i społeczna była tak wysoka, że bezpieka dała mu spokój. Profesorów było też w czasach bezpośrednio po wojnie mało, więc władza ich szanowała. Bac nigdy też się nie ubiegał o żaden wyjazd zagraniczny, dlatego też nie narażał się na kontakty z Urzędem Bezpieczeństwa. Z drugiej strony, wobec przekonań politycznych pojedynczych ludzi, zwłaszcza młodych, profesor wykazywał tolerancję, nie wdawał się w dyskusje o polityce.

Nie interesowały go też zawilości administracyjne. Gdy sprawował funkcję dziekana – jak wspomina jego asystent – nie poświęcał czasu przepisom czy regulaminom.

– Na ogół czytał szybko i pobieżnie jakieś pismo, które nadeszło z ministerstwa, po czym chował je do biurka ze słowami: *Jak ja nie lubię administracji* – opowiada Dejas. – Schowane w biurku pismo w magiczny sposób traciło swoją moc, ponieważ profesor we wszystkim kierował się własnym rozumem i sumieniem, również w kwestii przyznawania stypendiów.

Profesor Stanisław Bac miał dwóch synów, jeden z nich, jego imiennik, poszedł w ślady ojca i również został profesorem. Lecz największą radością Stanisława Baca była jego wnuczka – Joasia. – Szczęśliwszego człowieka nie widziałem – wspomina docent Donat Dejas.

Niepokorny

Profesor Zygmunt Ruszczyk, pierwszy kierownik Katedry Żywienia Zwierząt na Wydziale Zootechnicznym, wywodził się ze sławnej na Wileńszczyźnie rodziny. Jego stryj był malarzem, rektorem Akademii Sztuk Plastycznych w Krakowie. Ojciec natomiast pracował jako inżynier – budował linię kolejową do Finlandii. Zygmunt Ruszczyk w czasie wojny został wywieziony do Niemiec na roboty i pracował tam jako... elektryk. To doświadczenie przydawało się później, bo profesor wiele rzeczy sam umiał naprawić, był złotą rączką. Po wojnie pracował w Lublinie na Uniwersytecie Marii Skłodowskiej-Curie u profesora Romana Prawochęskiego, a później został dyrektorem Instytutu Zootechniki w Czechnicy. Tyle wiedzieli wszyscy w 1951 r., kiedy na uczelnię ściągnął go profesor Tadeusz Konopiński.

– O tym, że był w AK i jako porucznik brał udział w akcji wyzwolenia Wilna spod okupacji niemieckiej („Ostra Brama”) w 1944 r., wiedziałem wtedy tylko ja – opowiada profesor Jerzy Preś, asystent profesora Ruszczyka, a później jego następcą w Katedrze Żywienia Zwierząt. – Zawołał mnie kiedyś i opowiedział mi o tych wydarzeniach, o tym jak po wkroczeniu Armii Czerwonej płk Aleksander Krzyżanowski ps. „Wilk” został aresztowany, a jego żołnierze zesłani na Wschód. Ruszczycowi udało się wtedy zbiec z transportu, udał, że boli go brzuch i na jakiejś stacji



poszedł do takiej sławojki – wolno stojącej drewnianej toalety – odchylił deski z tylnej ściany i czmychnął do lasu.

W 1951 r. jego koledzy prawdopodobnie nadal siedzieli w sowieckich łagrach. Co Ruszczyc czuł? Czy czuł strach?

– Od spraw politycznych czy jakichkolwiek oficjalnych izolował się zupełnie. Był zasadniczy, niezależny, nie poddawał się żadnym wpływom. Na radach wydziału zawsze miał swoje zdanie i kontrował propozycje kolegów. Toczył boje o stosowanie nowoczesnej naukowej metodyki i podbudowy statystycznej w pracach naukowych, stojąc nierzadko w opozycji do profesora Tadeusza Konopińskiego, który był tradycjonalistą. Był punktualny, przychodził o 8.00 i wychodził o 14.15 – tak wspomina go profesor Jerzy Preś.

Profesor Zygmunt Ruszczyc prowadził dwa przedmioty: żywienie i doświadczalnictwo. Świetnie znał język angielski, a swoje pierwsze dwa podręczniki oparł na literaturze amerykańskiej. Pierwszy w kraju podręcznik na temat stosowania nowoczesnych wówczas metod statystycznych napisał podczas czteroletniego pobytu w Syrii, gdzie jako ekspert powołany przez FAO organizował Instytut Rolniczy.

– Profesor opowiadał – wspomina Preś – że miał w tej Syrii dużo czasu, bo oni tam z nowoczesnego rolnictwa nic nie rozumieli, więc dla zabicia tego czasu pisał podręczniki. Natomiast profesor Bolesław Nowicki wspomina, że Ruszczyc napisał do niego z Syrii list, w którym prosił go o wykaz literatury z genetyki populacji. Chciał zakupić te książki i pozostawić na uniwersytecie w Syrii.

Na wykładach był dokładny, metodyczny, ale raczej nudny, z pewnością brakowało mu ekspresji. Nie było mowy, żeby żartował. Wymagający na egzaminach, choć bez złośliwości. Mieli zbieżne poglądy z profesorem Tadeuszem Olbrychtem.

Mieszkał w Czernicy w dużym mieszkaniu z obejściem. Profesorowa hodowała kaczki i gęsi. Urodziło im się pięcioro dzieci. Kiedy w Olsztynie zmarł profesor Dobicki, znany żywieniowiec, zaproszono Ruszczyca, żeby objął po Dobickim katedrę i zaoferowano mu willę. Profesorowa ponoć bardzo chciała się przeprowadzić, ale wtedy koledzy zaczęli szukać szybko odpowiedniego mieszkania dla profesora we Wrocławiu, żeby nie wyjechał. Znalaziono pięciopokojowe mieszkanie przy ul. Kruczej, do którego przeprowadziła się siedmioosobowa rodzina Ruszczyków i mama profesorowej. Ruszczyk lubił się bawić i był towarzyski, do tego mieszkania nierzadko zapraszał kolegów i urządził tańce.

– Kiedy profesor przyjmował mnie do pracy – opowiada na koniec profesor Jerzy Preś – zawołał mnie do siebie i powiedział, że może mi zaoferować etat asystenta, ale *panie kolego, chcę panu powiedzieć, że pieniędzy nie będzie pan tutaj dużo miał. Jeżeli chce pan być dobrym naukowcem, to pan musi nie myśleć o pieniądzach tylko o badaniach naukowych i pracować nie do godziny 14.00, ale do 18.00, bo inaczej pan dobrym naukowcem nie zostanie, a jak pan już zostanie, to pieniądze się same znajdą.* Takie credo wygłosił wtedy i muszę powiedzieć, że się sprawdziło i jest aktualne do dzisiaj.

O postaci Zygmunta Ruszczyca w pamiątkowej broszurze wydanej w 1998 r. – w dwa lata po jego śmierci – profesor Dorota Jamroz napisała: „Tak trudno będzie nam zrozumieć, że Profesor już nie wejdzie szybkim krokiem i od drzwi nie powie ze śpiewnym wileńskim akcentem... *no, jak się powodzi?* Zawsze pogodny, czasami odrobinę sarkastyczny, tworzył wokół siebie atmosferę spokoju, bezpieczeństwa i harmonii. Chyba nikt z nas nie pamięta, aby kiedykolwiek podniósł głos, wpadł w stan dużego zdenerwowania. Kiedy zamykał się milczący i niezbyt radosny w swoim gabinecie, schodziliśmy Mu z drogi. Zawsze przeżywał wtedy jakieś rozterki, problemy, konflikty własnych poglądów w wal-

ce z niełatwą rzeczywistością. A był człowiekiem niepokornym, o bardzo skryzalizowanych poglądach, apolitycznym, ale mającym zdecydowane, własne sądy na temat wielu spraw. Potrafił sam przeciw wielu bronić swoich poglądów i przekonań. Może przez swoją stanowczość nie zawsze wszystkim się podobał, ale Profesor umiał być sam. Chyba nikt z nas też nie pamięta Jego pochwał. Dawał nam pełną swobodę działania i samodzielność – ale w zamian nie tylko oczekiwał, ale spokojnie i stanowczo żądał wywiązywania się ze zobowiązań. Nawet jeżeli komuś z nas zaaplikował dość twardą reprimendę, poza Katedrą bronił każdego, nie pozwolił, aby stała nam się jakakolwiek krzywda.

Jeżeli powiedział *było dobrze*, rozsadzała nas radość, bo u profesora Ruszczyca oznaczało to już wiele. Profesor nas nie rozpieszczał, ale dzięki temu bardzo szybko stawaliśmy się samodzielnymi. Dzisiaj, mądrzejsi o wiele lat życia, za tę twardą szkołę jesteśmy Mu wdzięczni.

Nie znosił skarg. Ucinał spory krótką ripostą: *Zróbcie z tym porządek sami*. Czasem było to przykre dla stron konfliktu, ale nie trwał on długo, bo... kończył się szybko.

Profesor Ruszczyca potrafił stworzyć prawdziwy ciepły klimat. *O, Wrocław znowu chodzi stadem....* Bo byliśmy zawsze razem – podczas sympozjów, zjazdów, spotkań. Były też wypadki na narty, włóczęgi przez pola i łąki, gdzie zbieraliśmy ciekawe rośliny pastewne do zajęć. [On] zapalony turysta spędzał urlopy z rodziną nad jeziorami, grywał w siatkówkę, świetnie tańczył, grywał często i dobrze na fortepianie. Profesor był ogromnie energiczny, ruchliwy, pełen życia... i takie bogate było Jego życie...²².

²² Dorota Jamroz, Wacław Łuczak, Janusz Kubizna, Rafał Bodarski, Tomasz Wiertelecki, 1998. *Prof. dr, dr h.c. Zygmunt Ruszczyca*. Katedra Żywienia Zwierząt i Gospodarki Paszowej, Akademia Rolnicza 1998, s. 1–2.

Specjalista od rachunkowości i miłośnik literatury

Profesor Bohdan Kopeć objął Katedrę Ekonomiki Rolnictwa po profesorze Władysławie Tilgnerze, który poważnie zachorował i musiał zrezygnować z pracy. Docent Kopeć został więc zastępcą profesora – takie stanowisko już dziś nie istnieje, ale do połowy XX w. niełatwo było zostać profesorem.

Katedra Ekonomiki Rolnictwa była ustawiona politycznie, uczono w niej zarządzania nielicznymi wówczas spółdzielniami i wielkimi państwowymi gospodarstwami rolnymi (PGR), na których miała się opierać po wsze czasy gospodarka państwowa i które w rzeczywistości nigdy nie były rentowne. Ekonomiści to wiedzieli, bo liczby są cudownie obiektywne, a rachunkowość nie kłamie, ale spełnianie lub niespełnianie żądania, by przekazywali wiedzę zgodną z duchem marksistowskim i szukali rozwiązań w obrębie przyjętej w państwach komunistycznych ideologii, oznaczało dla ich rodzin i dla nich osobiście być albo nie być.

Profesor Jan Ludwiczak – wówczas student drugiego rocznika, jaki rozpoczął studia w 1946 r. na Uniwersytecie i Po-

litechnice we Wrocławiu, asystent profesora Bohdana Kopcia, tak wspomina te czasy:

– Ekonomia była taką, że nie wiadomo było, jak ma być prowadzona. Zdawałem jeszcze u profesora Wincentego Stysia ekonomię polityczną, a później zamknięto ten przedmiot i zwolniono Stysia, który był niewygodny, bo studia ukończył w Anglii i głosił nieprawomyślny stosunek do rzeczywistości, zwłaszcza krytykował kolektywizację wsi. Krążyła taka anegdota, że po zwolnieniu z Uniwersytetu ubiegał się o pracę księgowego w PGR i napisał w CV, że kończył studia ekonomiczne w Anglii i jest profesorem (więc chyba sobie poradzi na odpowiedzialnym stanowisku księgowego). Zrobił się szum. Stysia uratował rektor wyodrębniającej się wówczas Akademii Ekonomicznej, wymyślił niekontrowersyjny przedmiot jak historia ekonomii i zatrudnił Stysia do prowadzenia. To wydarzyło się około 1948 r.

Mieczysław Kopeć, syn profesora Bohdana Kopcia i absolwent wrocławskiej weterynarii opowiada, że w latach pięćdziesiątych przeprowadzano tzw. reedukację, polegającą na tym, że wszystkich pracowników naukowych wysyłano na szkolenia ideologiczne. Ojciec Mieczysława też musiał wyjechać do Karpacza albo Szklarskiej Poręby, gdzie naukowcy ze Związku Radzieckiego przeprowadzali indoktrynację marksistowską. Rzecz była obowiązkowa zarówno dla asystentów, doktorów, jak i profesorów, i kończyła się egzaminami.

Podobną historię – jako student – przeżył profesor Ludwiczak, kiedy zlikwidowano przedmiot:

– Nie było więc ekonomii politycznej, nasz rocznik – 1946–1950 – został wysłany na kurs ekonomii politycznej do Warszawy, gdzie przez jakieś dwa tygodnie uczyli nas wykładowcy radzieccy. Oczywiście w języku rosyjskim i bez tłumacza. Nie wszyscy rozumieli. Cały rok pojechał – około 50 osób –

i cały rok był kwaterowany w Warszawie na czas trwania kursu. Zaliczaliśmy przedmiot u radzieckich naukowców. To mógł być 1949 r. Czysty absurd, przykład problemów z ekonomią w tamtych czasach.

Zresztą studenci późniejszych roczników, jak wspomina Mieczysław Kopeć, też byli przepytывani ze swojego światopoglądu na egzaminach z filozofii marksistowskiej albo ekonomii politycznej:

– Wykładowca zadawał pytanie, student odpowiadał, po czym wykładowca pytał: *A co Pan o tym myśli osobiście?* Odklepywało się formułkę z podręcznika, na co egzaminator przyjaźnie mówił: *Dobrze, dobrze, ja wiem, ale co Pan myśli osobiście?*, znowu się odklepywało i wtedy dawał spokój. To było ciągnięcie za język i badanie, czy student osiągnął oczekiwany stopień zindoktrynowania. Nie dałem się podpuścić.

Profesor Bohdan Kopeć musiał być ostrożny. Nie dość, że kierował katedrą, która zawsze była na cenzurowanym, to jeszcze w jego żyłach płynęła błękitna krew. Swoje negatywne nastawienie do minionego systemu wyrażał w prywatnych pismach, wspomnieniach, refleksjach, żywo komentował wydarzenia polityczne w kraju, ale wszystko do szuflady wielkiego ponemieckiego biurka. Syn wspomina, że słuchali stacji radiowych zagranicznych, zwłaszcza Wolnej Europy, ale też audycji z Francji i Hiszpanii. Natomiast w pracy...

– Kiedy już musiał mówić rzeczy narzucone, to zawsze podkreślał, że to nie jest jego zdanie, a jedynie treści obowiązującego podręcznika. Starał się być uczciwy w przekazywaniu wiedzy – wspomina Mieczysław Kopeć. – Był też osobą głęboko wierzącą. Kiedy przyszła propozycja nadania ojcu profesora zwyczajnego, wezwał go do siebie sekretarz partii na uczelni i zapytał, czy przypadkiem ojciec nie jest członkiem Klubu

Inteligencji Katolickiej (KIK)²³, ojciec odpowiedział, że nie i usłyszał: *A to dobrze, bo byśmy protestowali*. Kiedy ja wstępowałem do KIK, ojciec nie powstrzymywał, ale mówił: *Uważaj, bo mogą być z tego konsekwencje*.

Profesor Jan Ludwiczak opowiada, że Kopeć niewątpliwie wziął na siebie ciężar. Nie miało znaczenia, czy był, czy nie był przekonany – ktoś musiał prowadzić te przedmioty i przerabiać kolejne rozdziały z radzieckiego podręcznika. Profesor wytrzymał do emerytury, choć zawsze był pod ostrzałem partii, do której zresztą nie należał. Musiał dostosować się do warunków politycznych, bardziej niż było to konieczne w innych katedrach. Sprawa ekonomii jest zawsze sprawą polityczną.

– Świadczyły o tym nawet częste zmiany nazwy katedry: w 1946 r. utworzono Katedrę Ekonomiki i Polityki Agrarnej, w 1950 r. przemianowano ją na Katedrę Socjalistycznych Przedsiębiorstw Rolnych, siedem lat później zmieniono na Katedrę Ekonomiki i Organizacji Rolnictwa, a w 1970 r. Katedra stała się Instytutem.

Profesor Bohdan Kopeć wstawał codziennie rano około 7.00 i gimnastykował się przy radiu. Szedł do pracy, a wracał około 15.00 i... pracował nadal:

– Właściwie ojca pamiętam zawsze siedzącego przy biurku, dużym, ciężkim, poniemieckim. Zawsze coś pisał i czytał. Nawet na urlop zabierał walizkę książek. Mama nie była z tego zadowolona.

Profesor podobno był wymagający, ale ostatecznie miał miękkie serce. Syn wspomina opowieść ojca o egzaminowanym Wietnamczyku, który nie dość, że nic nie umiał, to jeszcze nie potrafił się wysłowić: *Wstawiłem mu tróję, bo mi go żal było*.

²³ Pierwsze Kluby Inteligencji Katolickiej powstały w 1957 r.

Profesor oceniał, że studenci nie mają podstawowych wiadomości, nic nie wiedzą, wszystko trzeba zaczynać od „abecadła”.

– Był dobry dla ludzi, nikomu nie zaszkodził – opowiada prof. Ludwiczak. – Stawiał studentom wysokie wymagania, ale możliwe do spełnienia. Nie krzywdził pracowników, znał ich żony i dzieci, niczego nie wymuszał i był świetnym naukowcem. Dociekliwy i pracowity; był wielkim zwolennikiem rachunkowości.

Inny uczeń profesora, profesor Teodor Nietupski, tak o nim napisał: „Profesor szczególną wagę przywiązywał do poprawności badań naukowych. Zarówno w pracach własnych, jak i w opracowaniach swoich uczniów bezwzględnie przestrzegał zasad poprawności metodycznej i rzetelności naukowej. Wysokie wymagania nie zniechęcały młodych ludzi do współpracy z profesorem, stanowiły natomiast gwarancję, że zaakceptowana przezeń praca jest wartościowa (...). Profesor Kopeć wiele czasu poświęcił nauczaniu innych. Zawsze starannie przygotowany, cierpliwie tłumaczył studentom trudne zagadnienia praktyczne i teoretyczne gospodarki rolnej, posługując się stale wynikami badań i konkretnymi przykładami z praktyki. Był wymagającym egzaminatorem. Nie znosił wiedzy pozornej, pamięciowej, bez umiejętności łączenia faktów i ich oceny. Egzaminy u profesora nie należały do łatwych. Zawsze stanowiły przeżycie i na długo pozostawały w pamięci (...). Profesor Kopeć był uczonym, który całe życie podporządkował pracy twórczej. Do ostatnich chwil prowadził badania, publikował wyniki swoich prac, prowadził wykłady i seminaria, nigdy nie pozwalając się wyręczyć”²⁴.

²⁴ Nietupski T., 2009. *Profesor dr hab. Bohdan Kopeć (1910–1987) – uczony i nauczyciel*, [w:] „Journal of Agribusiness and Rural Development” 2(12)2009, s. 324.

Kiedy Kopciowie zamieszkali przy ulicy Wieczorka (obecnie kard. Stefana Wyszyńskiego), profesor do pracy szedł pieszo, natomiast pierwsze ich mieszkanie znajdowało się aż na Oporowie. Dzisiaj to dobrze skomunikowana, elegancka część miasta, ale w pierwszych latach powojennych były to odległe, niebezpieczne peryferie, z których ciężko było się wydostać i na nie powrócić. Ale od początku...

– O tym, że opuszczamy Wilno – opowiada Mieczysław Kopeć – zdecydowała wiadomość od dozorczy kamienicy, który powiedział nam, że NKWD tu się kręci i pyta o naszą rodzinę. Spakowaliśmy się natychmiast i wyjechaliśmy ostatnim transportem do Polski. Pamiętam te bydlęce wagony.

Wysiedli na dworcu w Toruniu. Matka z pięcioletnim Mieczysławem i babcia zostały przy gratach, a ojciec poszedł na miasto szukać mieszkania. Po kilku godzinach przyjechał dorozką i zabrał rodzinę do domu, trochę na obrzeżach Torunia, w którym podczas wojny był szpital polowy. Znajdowała się tam jeszcze cała masa bandaży, opatrunków, które nowi mieszkańcy musieli usunąć. Na Uniwersytecie im. Mikołaja Kopernika rolnictwa nie było, a przecież Kopeć był doktorem nauk rolniczych. Tymczasowo objął pracę w Izbie Rolnej jako inspektor, a jego żona krótko pracowała w jakimś urzędzie. Krótko, bo syn źle znosił przedszkole, więc ostatecznie musiała zrezygnować z pracy. Dla profesora Kopcia, który doktoryzował się w Wilnie na Uniwersytecie Stefana Batorego i zamierzał kontynuować pracę naukową, zatrudnienie w Izbie Rolnej nie było satysfakcjonujące. Kiedy dowiedział się, że we Wrocławiu otwierają uczelnię, przyjechał i od rektora Stanisława Kulczyńskiego otrzymał propozycję pracy.

– Moja mama nie chciała wyjeżdżać z Torunia do Wrocławia. Bała się. Mówiła, że z Wilna uciekali z tobołkami przed Ro-

sjanami, a z Wrocławia też będą uciekać, bo Niemcy na pewno wrócą. Przez rok ojciec mieszkał we Wrocławiu sam, a my z mamą i z babcią w Toruniu. Ojciec tylko do nas dojeżdżał. Mama zdecydowała się na przeprowadzkę po roku. Zamieszkaliśmy razem, wszyscy oprócz babci, która jeszcze przez kilka lat mieszkała w Toruniu, tak na wypadek, gdybyśmy musieli wracać.

Znajomy profesora Kopcia z uczelni – profesor Włodzimierz Lidtko – dostał willę niemiecką na Oporowie, przy al. Piastów z kompletnym wyposażeniem – z garnkami, pościelą, meblami i regałami, na których stały poukładane niemieckie książki. Wcześniej dom należał do jakiegoś esesmana. Lidtko wynajął rodzinie Kopciów piętro.

W 1947 r. Kopciowie wysiedli na Dworcu Głównym wieczorem, ale nie mogli jechać na Oporów, bo o tej porze było tam szczególnie niebezpiecznie. Nocowali na uczelni. Mieczysław Kopec pamięta, że otworzył jakąś wielką szafę stojącą na korytarzu, w której leżało wiele niemieckich gazet i opasek ze swastyką. Dopiero następnego dnia rano udali się na plac PKWN (obecnie Legionów), ponieważ stamtąd był organizowany transport ciężarówkami na dalsze osiedla. Toboły pojechały, a ludzie musieli kawałek przejść pieszo. Nikt jednak sam nie szedł, dopiero jak zebrała się większa grupa, ludzie odważyli się przemieścić. Nawet w biały dzień było bardzo niebezpiecznie, zwłaszcza przy cmentarzu Grabiszyńskim.

W domu na Oporowie nie mieszkali długo, gdyż pojawił się brat profesora Lidtko z założoną właśnie rodziną i Kopciowie musieli się wyprowadzić.

– Proponowano nam willę na Biskupinie, ale była strasznie rozszabrowana – bez okien, drzwi i podłóg – wspomina syn profesora – Ostatecznie, ojciec kupił mieszkanie kwaterunkowe

w kamienicy, choć nie obyło się bez przygód. Sprzedawała je jakaś pani razem z meblami, po czym po dwóch miesiącach przyjechała ciężarówka po meble. Okazało się, że poprzednia lokatorka ich nie wykupiła, bowiem w tamtych czasach dostawało się mieszkanie z meblami, ale trzeba było za nie do jakiegoś urzędu zapłacić i ta pani tego nie zrobiła. Dlatego przyjechali je zabrać jako dobro państwowe. Ojciec z wielkim trudem wszystkie długi uregulował, bo zostalibyśmy w gołych ścianach.

Profesor Bohdan Kopeć oprócz zawodowych spraw, interesował się literaturą piękną, nie tylko dużo czytał, ale także tworzył – powieści, sztuki teatralne. Usiłował kilkakrotnie przesłać je komuś do oceny, odpisywano mu, że owszem, rzecz wartościowa, ale nie do wydania. Profesor wreszcie się zniechęcił i pisał już tylko do szuflady.

– Mam wszystkie jego rękopisy, wśród nich piękny wiersz poświęcony mi. Byłem jego jedynym dzieckiem. Ojca kolegą szkolnym z Wilna był Ryszard Kopalko, reżyser radiowych słuchowisk pracujący w Polskim Radiu. Ojciec wysłał do niego jedną ze swoich powieści, ten pochwalił, ale odpisał, że nie może się tym zająć.

Profesor Kopeć urodził się w 1910 r. w Wilnie. Prowadził pamiętniki szkolne, od kiedy był w gimnazjum, dzień po dniu opisywał różne wydarzenia. Syn zachował wszystkie rękopisy ojca. Pamiętniki profesora kończą się w roku wybuchu II wojny światowej, później nie kontynuował ich, choć robił notatki z lektur i zapisywał skrupulatnie wydarzenia polityczne, a także własne refleksje natury filozoficznej i eschatologicznej. Niewątpliwie miał zacięcie kronikarskie, ale to jest taka tradycja rodzinna od pradziadka – Józefa Kopcia.

Józef Kopeć był generałem kościuszkowskim, który został wzięty do niewoli pod Maciejowicami w 1794 r. wraz z Ta-

deuszem Kościuszką i zesłany na Kamczatkę, gdzie przebywał przez dwa i pół roku. Po śmierci carycy Katarzyny II jej syn i następca, Paweł, zwalniał zesłańców. Józef Kopec powrócił wówczas do Polski i znalazł się na dworze księżnej Izabelli Czartoryskiej w Puławach, która go namówiła do spisania wspomnień. Spełnił jej prośbę i napisał: „Dziennik podróży Józefa Kopcia”. Po raz pierwszy wspomnienia były wydane we Wrocławiu w 1837 r., a trzecie wydanie miało miejsce w Paryżu i było opatrzone przedmową Adama Mickiewicza, a później były wznawiane jeszcze kilkanaście razy. Ostatnio w 1995 r. nakładem Ossolineum. To była pierwsza pamiętnikarska rzecz w rodzinie Kopciów.

Pamiętniki pisał również ojciec profesora – Stefan Kopec. Opisywał na przykład rok 1900 i wejście świata w wiek XX: *Nowe stulecie zaczęło się wojną burską. Czy będzie najjaśniejsza Rzeczypospolita istniała?* Stefan przed I wojną światową był aktywnym działaczem Polskiej Partii Socjalistycznej (PPS), ukończył szkołę kadetów i był chorążym rezerwy, w pierwszym stopniu oficerskim w wojsku carskim. Mieczysław Kopec opowiada, że w Wilnie jego dziadek szedł kiedyś ulicą w mundurze i zobaczył z jednej strony pochód robotników a drugiej strony oddział wojska. Podoficer tego oddziału podał komendę, aby żołnierze ustawili się do strzelania, a ponieważ ojciec był starszy stopniem, przejął dowództwo, zarządził na ramię broń i odmaszerowanie do koszar²⁵. Nie uszło mu to na sucho, stanął przed sądem, dopatrzono się jego powiązań z PPS i otrzymał wyrok – zesłanie na Syberię. Na tę Syberię zesłańcy udawali się etapem, czyli na piechotę, większość z nich nie docierała do celu, umierając z wycieńczenia po drodze. To samo grozi-

²⁵ To wydarzyło się prawdopodobnie w 1905 r.

ło Stefanowi Kopciowi, bo raczej był wątłego zdrowia. Okazało się, że rodzina ma znajomych w Petersburgu, którzy znają osobistą przyjaciółkę carowej hrabinę Woroncową. To dzięki jej prośbom zamieniono wyrok z zesłania na wydalenie z granic Imperium Rosyjskiego na dwa lata. Ojciec profesora Kopcia wyjechał do Ameryki, tam poznał swoją żonę, która też była działaczką PPS i musiała uciekać. Po dwóch latach wrócili. Stefan Kopeć brał udział w walkach podczas I wojny światowej, był dowódcą pociągu pancernego, a po wojnie był nadleśniczym w województwie grodzieńskim.

– Mam w swoich archiwaliach list – opowiada Mieczysław Kopeć – w którym dziadek otrzymuje wiadomość, że marszałek Rydz-Śmigły przyjeżdża na polowanie i trzeba to polowanie zorganizować. Albo list do matki brata dziadka, Feliksa Kopcia, który był wojskowym zawodowym i brał udział w wyprawie na Kijów w 1920 r. Donosi w tym liście o wizycie naczelnika państwa Józefa Piłsudskiego w Białymstoku, a ponieważ wuj był ułanem krechowieckim, eskortował powóz naczelnika. Opisuje też w tym liście, że bardzo ich tam fetowano, a księżna Radziwiłłowa wydała kolację, na której podano na deser truskawki – w doniczkach, bo było to zimą.

Podczas II wojny światowej wuj profesora, ów Feliks Kopeć, był inspektorem korpusu pogranicza. Musiał opuścić ułanów krechowieckich, ponieważ ożenił się z dziewczyną – śliczną, ale bez matury. Była z zawodu modystką, sprzedawała kapelusze. Oficer nie miał prawa do podobnego mezaliansu, wuj nie uzyskał zgody dowódcy na ślub. Przed wybuchem II wojny światowej utworzono pułk kawalerii Korpusu Ochrony Pogranicza, który został przetransportowany do Bolesławca w województwie łódzkim koło Wielunia, pierwszego zbombardowanego miasta w Polsce. Bronił Bolesławca, później się wycofał i poddał

wojskom sowieckim. Trafił do obozu w Starobielsku. Był w stopniu podpułkownika, co oznaczało, że jako oficer wysokiej rangi mógł mieć coś wspólnego z kontrwywiadem, toteż nie wiadomo, czy zamordowano go w Charkowie, czy w Moskwie na Łubiance.

Syn profesora Bohdana Kopcia – Mieczysław przechowuje wszystkie pamiątki, zapiski i listy, jakie tylko udało mu się zgromadzić. A ponieważ tradycja jest rzeczą cenną, którą trzeba ochraniać i podsycać – sam pisze i... jego młodszy syn Paweł także²⁶.

Z prywatnych zapisków profesora Bohdana Kopcia

Nareszcie dotarła do mnie prawda, że zło w wielkiej jego postaci tak naprawdę może istnieć tylko „chwilowo”, w zamkniętym okresie jako coś nietrwałego i skazanego na zniknięcie oraz upadek i że w ostatecznych rachunku zwycięży i ostanie się tylko dobro, które jest nieśmiertelne. To pozwala patrzeć na zło jako coś przemijającego i mieć ufność w jaśniejszą przyszłość, która prędzej czy później musi nadejść (M.u. 15 IV 1983 r.). Uwaga po przeczytaniu zdania Papieża Jana Pawła II wypowiedzianego w Dzień Wielkiej Nocy na Palcu Świętego Piotra w Rzymie: „Bóg zwycięża grzech, zło, śmierć i nienawiść, staje po stronie człowieka, z miłości ofiarowuje mu życie, przywraca wolność i godność. Otrzyjcie łzy płaczący!”

²⁶ O dokonaniach naukowych prof. Bohdana Kopcia można przeczytać w artykule prof. Jana Ludwiczaka. Jan Ludwiczak 1991. *Profesor dr Bohdan Kopeć (1910–1987)*, [w:] „Roczniki Nauk Rolniczych”, seria G – Ekonomia Rolnictwa, t. 85, z. 3, PWN, Warszawa 1991, s. 7–12.

Życie snem

Każdy sen jest czymś niezwykłym, odbiegającym znacznie od rzeczywistości, często niezrozumiałym i niepasującym do niej, choć z drugiej strony zawierającym w sobie różne elementy tej rzeczywistości, tylko że rozproszone... i połączone ze sobą w dowolny sposób. Sen nie jest jakby karykaturą rzeczywistości.

Sny są różne pod względem nastroju a sny koszmarne są najgorsze, człowieka dręczy zmora, osacza go ze wszystkich stron groza i smutek. Czuje się jakby zagubiony, bez nadziei na ratunek.

Niekiedy w życiu ludzkim staje się tak, że ginie granica między snem a rzeczywistością – człowiek zasypia, potem budzi się, lecz w takiej sytuacji, że wciąż mu się wydaje, że śpi dalej. W takiej właśnie sytuacji znaleźliśmy się wszyscy w dniu 1 września 1939 r. Od tej daty zaczął się też dla nas koszmarny sen, który – można powiedzieć – trwa z różnym nasileniem do dziś.

To, co najbardziej upodabnia nasze życie do snu, jest nieautentyczność i niezgodność rzeczywistości otaczającej nas z tym, cośmy przeżywali dotychczas i co powinniśmy przeżywać w dalszym ciągu.

Doktor zwany profesorem

Franciszek Wandokanty miał stopień naukowy doktora i zajmował stanowisko zastępcy profesora. Do Wrocławia przyjechał ze Lwowa w 1945 r. transportem kolejowym wraz z innymi uczonymi i kolegami, Adamem Skurskim i Fredkiem Senze, późniejszym rektorem. Kiedy utworzono w 1948 r. na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu i Politechniki Katedrę Chemii Fizjologicznej, czyli późniejszej Biochemii, został jej szefem.

Jaki był? Fantastyczny. O chemii fizjologicznej opowiadał pięknie. Pamiętał, że słuchają go studenci drugiego roku weterynarii, którzy będą w przyszłości pracować ze zwierzętami, dlatego różne zagadnienia biochemiczne popierał praktycznymi spostrzeżeniami, w sposób żartobliwy, który przemawiał do wyobraźni. Na przykład o chloroformie. Kiedy już powiedział, z jakich składników jest zbudowany i jakie ma działanie, wtrącał praktyczną poradę, jak skutecznie ukraść świnie, bo świnie podnoszą *larum*, jak je tylko ktoś dotyka, ale lubią też wachać chloroform. Gdy podsunie się świni chloroform, ona zasypia jak dziecko i można zwierzę zabierać. Kiedy natomiast opowiadał o rozpadzie jakiegoś związku chemicznego, nie omieszkał wykonać sugestywnego wymachu nogą. Stu-



denci to uwielbiali, bo dzięki wykładowcy biochemia przestała być straszna.

Wykłady prowadził zawsze charakterystycznie ubrany, w czarnym płaszczu z za długimi rękawami. Twarz też miał niebanalną. Duże zakola, włosów niewiele. Robił sobie przedziałek aż do czubka głowy i włosy zaczesywał na boki, a okulary wisały mu na czubku nosa. Był rozpoznawalny.

Wandokanty miał jednak swoją ciemną stronę, o której wiedzieli wszyscy. Pił.

Kiedy wykład był zaplanowany na godzinę 8.15, to on zaczynał go o 7.15. Studenci przychodzili w komplecie. Pierwsza godzina była ciężka do przeżycia, ponieważ Wandokanty czuł się fatalnie, był na kacu i ciężka atmosfera udzielała się całej sali. Miał ulubionych studentów i wchodząc, pytał zawsze, czy są obecni. Po pierwszej godzinie robił krótką przerwę, wołał wtedy dwóch zaprzyjaźnionych na górę do gabinetu i wyciągał Unterwasser (tak nazywał wódkę) i Verflasche (tak nazywał popitkę). Oczywiście, studentom niczego nie nalewał, a sam z niesmakiem wypijał jednego. Wtedy schodził na drugą część wykładu. Ta druga część, to była już poezja – Wandokanty był wyluzowany, pełen pomysłów, naprawdę charyzmatyczny. Studenci nazywali go profesorem, choć nim nie był. Cieszył się ich wielkim szacunkiem.

Robił wyciągi z huby brzozej i łusek owsa. Profesor Jerzy Monkiewicz określa go jako prekursora leczenia nowotworów.

– Kiedyś mój kolega, późniejszy rektor AWF, Marek Zatoń przyszedł i powiedział mi, że jego ojciec ma zdiagnozowany nowotwór płuc. Poprosiłem profesora Wandokantego o pomoc, a ten kazał nam przynieść 10 kg owsa. Porobił wywary i ojciec kolegi żył później jeszcze długo. Natomiast po kilkunastu latach od tego zdarzenia wyczytałem, że japońscy

uczni wyabstrahowali z ziaren owsa jakiś środek leczniczy na raka płuc.

Franciszek Wandokanty wiedział to wiele lat wcześniej. Skąd? Jak? Czy to była intuicja? Czy coś kiedyś przeczytał na ten temat i eksperymentował? Nie wiadomo. Wiadomo natomiast, że leczył ludzi. Gabinet w katedrze miał w budynku weterynarii na trzecim piętrze, czasem pacjenci siedzieli na schodach od samej góry po parter. Wandokanty miał nawet prawo leczenia sióstr zakonnych. Wszystkie diagnozy robił z moczu, który każdy musiał przynieść w słoiku. Przelewał ten mocz do próbówek, badał i stwierdzał choroby, po czym mieszał jakieś specyfiki i polecał do picia, płukania, nacierania... Do wszystkich schorzeń gardła podawał ciemnofioletowy płyn do płukania, miał on działanie silnie obkurczające, a angina mijała po paru płukankach. Za swoje porady i lekarstwa nie brał pieniędzy, ale lubił kwiaty, zwłaszcza róże. Jeśli ktoś mu przyniósł bukiet takich wysokich róż, był wtedy szczęśliwy.

– Leczył też hubą z brzoź. Kiedyś uczestniczyliśmy w wyprawie do lasu po te huby – wspomina profesor Jerzy Monkiewicz, który właśnie był jednym z ulubionych studentów profesora Wandokantego. – Wyprawa skończyła się później walką Indian przeprowadzoną na korytarzach katedry, którą profesor zorganizował.

Franciszek Wandokanty miał wtedy około 50 lat, niesłabnące poczucie humoru i fantazję.

Profesor Jerzy Monkiewicz zapamiętał dobrze letni, naukowo-sportowy obóz na Mazurach, pod namiotami. Kierownikiem obozu był dr Baczewski, a Wandokanty – uczestnikiem. Paradował cały czas w przydługich, oczywiście zupełnie niemodnych, a w dodatku zawiązywanych sznurkiem szortach i na boso. Już na początku profesor zarządził, że skoro obóz ma być



sportowy, trzeba zrobić boisko do gry w siatkówkę, ale nie było słupków. Kazał iść do lasu i wyciąć dwa młode drzewka, ociosać i rozpiąć pomiędzy nimi siatkę. Następnego dnia zjawił się w obozie leśniczy i zapytał, kto pozwolił na wycinkę w lesie. A Wandokanty na to:

– *Ja.*

– *To Pan zapłaci karę.*

– *Oczywiście.*

Zapłacił. Ale kiedy wyjeżdżali, przypomniał sobie o tym, kazał wyciągnąć słupki i spalić.

Pewnego dnia wymyślił konkurs na najlepszego rybaka Warmii i Mazur, którym naturalnie został, posługując się drobnym fortelem. Dzień wcześniej kazał Monkiewiczowi kupić największego szczupaka od rybaków, świeżego z głową i oczami, a raniutko włożył go do kajaka.

– *Będziesz moim wiosłarzem* – powiedział. – Kiedy wypłynęliśmy kazał stanąć tak, żeby z obozu wszyscy nas widzieli, następnie zaczepił szczupaka i spuścił dyskretnie do wody. Po kilku chwilach profesor woła: – *Bierze, bierze! To jakaś duża ryba!* – i zaczyna szarpać się z wędką. – *Wziął!* – krzyczy i wyciąga tego szczupaka, wygina się z nim w łódce, walczy, wreszcie tłucze go czymś po głowie, żeby niby zabić. Szarpie nim, pokazuje wszystkim – *Do brzegu!* – woła.

No i kto został najlepszym rybakiem Warmii i Mazur? Pan Profesor Franciszek Wandokanty. Złapał szczupaka.

– Naturalnie też łowił ryby. Nie umiał pływać, dlatego siedziałem zawsze z przodu i wiosłowałem, a profesor z tyłu. Niezmiennie powtarzała się ta sama śpiewka. Profesor zarzuca wędkę, łapie okonia i mówi: – *O, nieduży.* Na co ja odpowiadałem: – *Rzeczywiście nieduży.* – *To co my z nim zrobimy?* – Na co ja musiałem odpowiedzieć: – *Chyba go wyrzucimy.* – *Albo*

nie – mówił profesor, no to pytałem: – To co z nim zrobimy? – *Do mamrunia go! Do mamrunia!* – wołał i wrzucał pod pokład kajaka. I tak w nieskończoność.

Jednego dnia ktoś znalazł hełm niemiecki. Profesor natychmiast się zapalił, poinformował wszystkich, że kolekcjonuje nakrycia głowy, a zwłaszcza takie praktyczne.

– *A co Pan Profesor będzie robił z tym hełmem* – zapytał ktoś nieśmiało?

– *Będę się w nim golił.*

I tak rzeczywiście było.

Profesor Monkiewicz wspomina, że spóźnili się z kolegą na ten obóz, ponieważ jechali z Wrocławia autostopem, a to jednak kawał drogi. Monkiewicz miał dwa kapelusze, jeden filcowy w stylu kowbojskim z naszytymi herbami miast, jak na autostopowicza przystało, i drugi – rybacki, który dostał od rybaka kiedyś gdzieś na Pomorzu. Kapelusz ten miał duże rondo, a z tyłu specjalny okap chroniący kark przed słońcem i wodą.

– Jak profesor Wandokanty zobaczył te kapelusze, to od razu musiałem je mu oddać, do jego kolekcji. Już po powrocie z obozu, jak odwiedzałem go w katedrze, to wyciągał zawsze z szuflady ten kapelusz rybacki, wkładał na głowę, oczywiście odwrotnie, okapem do przodu, i mówił, że to jego ulubiony.

Na obozie codziennie były ogniska. Pewnego razu, już późnym wieczorem, towarzystwo usłyszało płacz dziecka. Okazało się, że trafił do nich mały harcerzyk z jakiegoś innego obozu, który po prostu się zgubił. Profesor oczywiście zaopiekował się nim i zarządził kilkusobową wyprawę, żeby chłopca odprowadzić. Było już bardzo ciemno, a profesor dysponował latarką, której jednak nie zdecydował się zapalić. Baterie się wyczerpują i szkoda ich. W pewnej chwili ktoś się przewrócił i zgubił scyzoryk:

- *Może by Pan Profesor włączył latarkę, to poszukamy?*
– *Uwaga! Zapalam na trzy sekundy. Raz, dwa, trzy.* – Coś błysnęło i zaległa ciemność – *Znaleźliście?*
– *Nie!*
– *Oznaczyć miejsce i wrócimy jutro za dnia, a teraz odprowadzamy harcerza.*

Rad nierad towarzystwo poszło po ciemku.

Innym razem profesor Wandokanty wraz z grupą studentów udali się na zakupy do Mikołajek. Zabrakło Unterwasser i Verflasche. Profesor zarządził, że kto chce uczestniczyć w wyprawie na zakupy, musi iść na boso. W pobliżu dworca kolejowego usiedli i odpoczywali, a właśnie nadjechał pociąg i wysiadła z niego bardzo ładna dziewczyna. Wandokanty się wyprostował i zapytał:

– *Umiecie kobietę zagaić. Nie? To ja wam pokażę.*

Podszedł do niej, w tych przydługich i zawiązanych sznurkiem szortach, na boso i mówi:

– *Przepraszam Panią, chciałem Panią zapoznać.*

A ona odpowiada:

– *Nie zawieram znajomości na ulicy.*

I poszła. Profesor wrócił z miną nietęgą, studenci udawali, że rozmowy nie słyszeli. Pech chciał, że po paru dniach pływali Wandokanty z Monkiewiczem kajakiem, a tu podpływa w drugim kajaku ta dziewczyna. Okazało się, że to nowa studentka weterynarii i jakoś dowiedziała się, że odcięła się profesorowi. Teraz podpłynęła i mówi:

– *Przepraszam, Panie Profesorze...*

A Wandokanty na to:

– *Nie zawieram znajomości na jeziorze!*

Taki potrafił być obraźliwy. Kiedyś rano, gdy jeszcze wszyscy spali, a obóz pogrążony był w ciszy, wyszła opiekunka obozu

dziewczą i na cały głos, chcąc towarzystwo obudzić, zaśpiewała piosenkę: *Boli mnie noga w biodrze, nie mogę chodzić dobrze!* Wszyscy się poderwali w tych namiotach, a z namiotu profesora rozległ się krzyk:

– *Kto się tak do cholery drze!*

Pani się obraziła na pana profesora, a pan profesor obraził się na panią i postanowił się wyprowadzić z obozu. Polegało to na tym, że kazał swój namiot, który zresztą i tak był rozbity jako ostatni na granicy obozu, przenieść ze wszystkimi rzeczami za linę, którą obóz był otoczony.

– *Ja się wystraszył, ja śpim – mówi – a tu jak się ktoś nie rozedrze! Aż się wzburzyłem! Ja się obrażam i się wynoszę z tego obozu. Przenoszę się za linę, nie chcę do tego obozu należeć!*

Oczywiście, przy każdej okazji powtarzał swoim studentom, że obóz obozem, ale na egzaminie z biochemii będzie bezlitosny, a wspólny pobyt na wakacjach niczego im tu nie załatwia. Egzaminy były u niego błyskawiczne, albo piątka, względnie czwórka, albo dwójka. Dawał jakiś wzór strukturalny do napisania, jakieś pytanie się losowało i albo człowiek umiał, albo nie. Wandokanty nie był złośliwy czy okrutny, wymagał wiedzy, którą przekazywał na wykładach, ale egzamin z biochemii nie był czymś nie do przejścia.

Profesor Franciszek Wandokanty, który nie był profesorem, mieszkał przy ul. Grunwaldzkiej, w pobliżu akademików Politechniki. Katedrą Biochemii kierował do 1967 r., kiedy to przestał pracować w Wyższej Szkole Rolniczej, a przeniósł się na AWF.



O profesorze Tychowskim, który uratował generała Sosnkowskiego

Profesor Aleksander Tychowski, który w czasie wojny był orłędziem lwowskim, we Wrocławiu stworzył Katedrę Technologii Rolnej.

– Jednostka jest obecnie jedynym spadkobiercą spuścizny po bliźniaczej katedrze lwowskiej. Ukraińcy jej nie odtworzyli – podkreśla uczeń profesora Tychowskiego, profesor Waław Leszczyński. – Tychowski nie chciał wyjeżdżać ze Lwowa. Nie mógł uwierzyć, że polskie miasto dostało się w obce ręce. Myślał, że to tymczasowe rozwiązanie wielkich mocarstw.

Profesor Leszczyński wspomina, że kiedyś czytał książkę poświęconą generałowi Sosnkowskiemu – najlepszemu przyjacielowi Piłsudskiego, który wraz z nim był więziony w Magdeburgu. Pokazał książkę profesorowi Tychowskiemu. Wykładowca popatrzył na zdjęcie i krzyknął: *O Boże, przecież on jest w moich spodniach, w moim płaszczu, tylko Wila buty ma na sobie!*

Okazało się, że w czasie wojny Tychowski dotarł wraz z 5. Dywizją do Dublan i tam został kierownikiem Katedry Technologii Rolnej. Przypadkiem znalazł się tam też Sosnkow-



ski, w zniszczonym ubraniu. Profesor go przebrał, a że oboje byli bardzo wysocy, ubrania pasowały idealnie. Tylko rozmiar butów mieli inny, więc obuwia użyzył przyjaciel profesora, Wilu, właściciel wyjątkowo dużych stóp. W swoich wspomnieniach Sosnowski pisał potem nawet o profesorze Aleksandrze Tychowskim. Nazywał go „Panem T.”.

Jaki był ów „Pan T.”?

– Każdemu chciał nieba przychylić – wspomina prof. Wacław Leszczyński. – Odszedł po trzecim zawale.

Tychowski wraz z kolegami z katedry, przed samą wojną, kupił 5 kg cukru „na czarną godzinę”. *Ale zawsze nam się wydawało, że ten najgorszy czas jeszcze nie nadszedł* – opowiadał później profesor. Cukier przywiózł do Wrocławia i trzymał u siebie w domu. *Ale ja go tutaj nie otworzę, ja go otworzę dopiero, jak wrócę do Lwowa* – podkreślał.

– No, i nigdy go nie otworzył. Ale ja go rozumiem, bo moi teściowie siedzieli na walizkach do 1961 r., a rozpakowali się dopiero wtedy, gdy ich jedyna córka wyszła za mąż – mówi profesor Leszczyński.

Uśmiech dobry na wszystko

Profesor Grzegorz Załucki był najstarszym z czworga rodzeństwa i z Kutuzowa koło Żytomierza do szkoły we Lwowie wyjechał najwcześniej. Na jego kształcenie łożył dziadek – wójt gminy Sokal, leżącej około 80 km od stolicy województwa. Grześ był prymusem w szkole, na zachowanych wśród rodzinnych pamiątek świadectwach ma same oceny celujące. Na rok przed wybuchem wojny został pomocnikiem, a następnie asystentem profesora Andrzeja Klisieckiego, ówczesnego kierownika Katedry Fizjologii Akademii Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie. Kontakt ten stał się później przyczyną przyjazdu Grzegorza Załuckiego do Wrocławia.

– Po prostu tato zjechał za swoim profesorem, z którym bardzo długo współpracował i po którym przejął prowadzenie Katedry Fizjologii na wrocławskiej weterynarii. Na cześć profesora Andrzeja Klisieckiego dostałem imię – wspomina syn Grzegorza Andrzej Załucki.

Podobnie jak dla milionów Polaków również dla profesora Załuckiego i jego rodziny czasy wojny i okupacji były okresem trudnym. Rodzina utraciła cały dobytek i bezpowrotnie uległa rozbiciu. Młodszy brat zginął w partyzantce AK pod Lwowem –

został rozerwany granatem wrzuconym do ziemianki. Grzegorz Załucki nie brał udziału w ruchu oporu. Jego matka z młodszą – 14 letnią siostrą Grzegorza – Anną zostały wywiezione do Krasnojarskiego Kraju, aż pod chińską granicę. Natomiast ojciec z 19-letnią córką Olgą znalazł się w Kazachstanie. Nikomu z rodziny nie udało się już powrócić do Polski.

– Tato uniknął wywózki – jak wspomina syn – dzięki swojej żonie, którą poznał podczas studiów w 1941 r., gdyż wynajmował pokój w domu jej rodziców. Za jej namową nie wrócił z Sokala do Lwowa, gdzie właśnie rozpoczęły się wywózki. Przyjechał dopiero nad ranem, gdyż musiał stawić się w Katedrze Fizjologii, gdzie mimo trwającej okupacji pracował jako młody asystent.

Po wojnie, mimo usilnych poszukiwań przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż, nie udało mu się odszukać rodziny. Stało się to dopiero pod koniec lat pięćdziesiątych i to w przypadkowy sposób:

– Ojciec wybrał się do Związku Radzieckiego w celach badawczych, na półroczny staż – wspomina Andrzej Załucki. – Zanim jednak dotarł do Leningradu, który był celem jego podróży, radzieckie gazety zamieściły wzmiankę o wizycie polskich uczonych, wymieniając ich z imienia i nazwiska. W przeddzień przyjazdu taty do Związku Radzieckiego jego młodsza siostra – ta z Krasnojarskiego Kraju – zrobiła zakupy, a kawałek mięsa zawinięty został przez sprzedawczynię właśnie w stronę gazety z tą informacją. Anna przeczytała ową notatkę przypadkiem przy odpakowywaniu mięsa.

W ten sposób rodzeństwo odnalazło się po latach, a profesor dowiedział się o swoim ojcu i siostrze, mieszkających w Kazachstanie. Jeszcze w 1978 r. miał okazję spotkać się z matką i młodszą siostrą. Było to dla niego ogromne przeżycie, o którym często wspominał.

– Myślę, że już wtedy przeczuwał, że jest to jego ostatnie spotkanie z nimi – opowiada dr. Andrzej Załucki. – Do Wrocławia rodzice przybyli w 1946 r. Ojciec wspominał, że kiedy wysiedli na wrocławskim Dworcu Głównym, mama całą drogę szła i płakała. Widok miasta był wstrząsający...

Pierwsze lokum rodzina dostała przy ul. Marii Skłodowskiej-Curie. W międzyczasie profesor spotkał kolegę, członka AK, którego we Lwowie ukrywał w piwnicy swojego domu, po tym jak tamten wykonał wyrok na konfidentce. Od niego dowiedział się, że na Oporowie stoją wolne domy. Z placu Grunwaldzkiego rodzina przedostała się pieszo przez zwaliny ruin na południe miasta. Mieli kilka innych adresów, ale z obawy przed szabrownikami i żołnierzami radzieckimi wybrali dom przy głównej ulicy – alei Piastów. Wkrótce okazało się, że wybór nie był zbyt trafny: w pobliskim parku i na cmentarzu grasowali bandyci i napadali na nowych osiedleńców. Dlatego w nocy rodzina zastawiała drzwi szafą i stołem. Dom był praktycznie ogołocony z mebli, zostały tylko ciężkie żeliwne wanny.

Profesor poznał wkrótce pierwszego właściciela domu, Niemca. Był on kolejarzem; jego żona zginęła rozerwana granatem na trawniku przed domem, podczas walk o miasto. Kilkakrotnie gościł u rodziny Załuckich na obiadach, a wyjechał do Niemiec dopiero ostatnim transportem.

– Kilkanaście lat temu mieliśmy miłą, niespodziewaną wizytę zza Odry – opowiada Andrzej Załucki. – Odwiedził nas wnuk tego kolejarza, którego ojciec w 1946 r. miał zaledwie cztery lata. Przyjechał z żoną i dziećmi. Chciał zobaczyć rodzinny dom i ludzi, którzy go zajęli, a o których życzliwie wyrażał się jego dziadek. Przy odjeździe otrzymali koszyk gruszek z drzewa zasadzonego przez kolejarza. Była to bardzo wzruszająca chwi-



la... Grusza owocuje do dzisiaj. Nie mamy serca jej ściąć, mimo że mocno podeschła.

Profesor brał udział przy odbudowie miasta. Budował m.in. linię tramwajową łączącą Grabiszynkę z Oporowem. Mama natomiast zajmowała się segregowaniem i rozdawaniem żywności oraz niesieniem pomocy dla nowo przybyłych osiedleńców.

Praktycznie profesor Grzegorz Załucki całe życie był sam. Owdowiał bowiem, gdy miał 38 lat. Żona, Anna Karolina z domu Łesiuk zmarła na tętniaka mózgu. Wówczas ta choroba nie była wykrywalna.

– Mama była piękną kobietą – wspomina Andrzej Załucki. – Często grywała na pianinie, które tato kupił jej tuż po wojnie na pchlim targu przy placu Grunwaldzkim. Stoi do dziś w salonie jako pamiątka, nad nim na ścianie wisi portret mamy.

Zaraz po śmierci żony profesor wyjechał na półroczne stypendium zagraniczne. Ucieczka w naukę bardzo mu pomogła. Kiedyś powiedział – jak wspomina syn – że nie przeżyje straty żony. To była wielka miłość... Jeszcze przez krótki czas żyła teściowa, a potem został mu tylko jedyny syn Andrzej.

– Rodzina mamy osiedliła się w Złotorzy – opowiada Andrzej Załucki. – Często ich odwiedzałem i spędzałem u nich każde wakacje. Moim wychowaniem zajmowała się ciocia mamy, która jako osoba samotna opiekowała się także domem.

Profesor był bardzo towarzyski. Prowadził otwarty dom, przez który zawsze przewijało się wiele osób. Przychodzili nie tylko zaznajomieni profesorowie, ale też bliżsi i dalsi sąsiedzi z parafii. Wykładowca cenił sobie gościnę i kontakt z ludźmi. Była to zresztą doskonała okazja do dyskusji i wspomnień. Profesor był świetnym gawędziarzem, ale nie lubił przemawiać *ex cathedra*. Miał talent do opowiadania i to w sposób ciekawy, i humorystyczny, najczęściej o narodowościowym tyglu na kresach,

barwnie opisywał różnorodność obyczajów i tradycji. Czynił to w sposób spontaniczny i naturalny. Dużo mówił o domu rodzinnym, nigdy za to o utraconym majątku i ziemiach odebranych Polsce. Zdawał się godzić z sytuacją polityczną i oceniał jako nieodwracalną.

Jego wrocławski dom był wesoły, choć dawało się odczuć atmosferę naukową – wszędzie leżały sterty papierów i dokumentów, a w przebogatej biblioteczkę zebrane były tomy z różnych dziedzin nauk ścisłych i humanistyki. Profesor kochał książki, które opatrywał na marginesach i wszystkich wakatach uwagami i notatkami, i nigdy nie żałował na nie pieniędzy. Do końca swoich dni kazał sobie zwozić publikacje z zagranicy, by śledzić postęp badań w dziedzinie, którą się interesował. Jego marzeniem, a wręcz ambicją było napisanie nowego podręcznika o fizjologii zwierząt. Niestety, nie zdążył, choć do końca wierzył, że mu się to uda.

Grzegorz Załucki nigdy nie zaniedbywał rodziny. Dużo czasu i uwagi poświęcał wnukom, którym pomagał w nauce – szczególnie w biologii i językach obcych. W tej roli czuł się doskonale. Uważał, że zaszczenia im ciekawość świata.

– Gdy dawał prezenty lub nagrody na przykład za wyniki w nauce – wspomina Andrzej Załucki – prawie zawsze były to książki opatrzone dedykacjami. Dziś z sentymentem czyta się te dedykacje... Muszę jednak przyznać, że gonił do nauki. Pod tym względem był nieustępliwy. Chyba to jemu zawdzięczać można, że kontynuuję tradycję rodzinną. Obecnie czynią to też moi dwaj synowie, choć już zupełnie w innych dziedzinach (prawo i anglistyka).

Profesor Grzegorz Załucki był świetnym naukowcem. Do zajęć przygotowywał się zawsze starannie i długo. Doktor Andrzej Załucki, jako syn i student, miał możliwość wielokrotnego słu-

chania jego wykładów. Dziś wspomina, że ojciec był uwielbiany przez studentów. Posiadał tę „iskrę Bożą”, której wielu akademików nie ma. Na jego wykładach frekwencja była tak wysoka, że studenci zajmowali też parapety i schody. Wielu przychodziło z innych wydziałów, żeby sobie posłuchać. Inteligentny dowcip, element zaskoczenia były jego domeną. Jeden z ostatnich wykładów profesora Grzegorza Załuckiego, wygłoszony w Auli Leopoldina na Uniwersytecie Wrocławskim, nosił tytuł „Seks w powietrzu” i dotyczył feromonów. Prelekcja wywołała duże poruszenie wśród słuchaczy. To było – jak wspomina jego syn – coś niesamowitego. Profesor Załucki opracował nawet slajdy, a sam tekst został później opublikowany.

Nauka stanowiła pasję i miłość profesora. Lubiał mawiać, że życie bez nauki jest śmiercią. To była jego dewiza życiowa. Żywo interesował się życiem i problemami swoich pracowników. Starał się im pomagać i utrzymywać z nimi dobry kontakt. Przez 40 lat wyprawiał w instytucie imieniny – wypadały 12 marca, w dzień św. Grzegorza. Do końca prowadził ze stałymi współpracownikami stałą korespondencję, skrzętnie gromadził wszystkie kartki i listy od nich.

– Ojciec, nawet gdy już był na emeryturze – wspomina dr Andrzej Załucki – przychodził na wydział, gdzie jeszcze długo miał swój gabinet. Dopiero na rok przed śmiercią, gdy już wyraźnie podupadł na zdrowiu, przestał przychodzić na uczelnię.

Profesora Grzegorza Załuckiego cechowała głęboka wiara. Mawiał, że religijność wyniósł z domu rodzinnego. W każdą niedzielę o stałej porze – 7.30 rano – uczestniczył we Mszy św. Nie zdarzyło się, aby nie poszedł do kościoła; miał w nim zresztą swoje stałe miejsce. Nigdy nie siedział, zawsze stał – po lewej stronie od wejścia, za ostatnim rzędem ławek. Był to bez wąt-

pienia przejaw pokory. Uważnie słuchał kazań, często później mówił o nich w domu, a nawet cytował fragmenty. W swojej bibliotece miał wiele książek o tematyce religijnej i wszystkie nowe wydania Biblii. Leżały zawsze pod ręką. Wśród niewielu pamiątek, jakie przywiózł ze Lwowa, była Biblia oraz figura Matki Boskiej Fatimskiej. Są to nieliczne pamiątki rodzinne uratowane ze Wschodu.

Profesor prowadził spartański tryb życia. Przez ponad 40 lat rokrocznie ze swoimi serdecznymi przyjaciółmi, małżeństwem Kamilą i Bolesławem Bułami (profesor Buła był wykładowcą na AWF we Wrocławiu, a także rektorem tej uczelni) jeździł w góry lub nad jeziora mazurskie. Sypiał tam pod namiotem i hartował organizm, myjąc się w zimnej wodzie. Miał dobrą kondycję. Pływał regularnie nawet w sędziwym wieku. I nigdy nie narzekał.

– Mimo długiego, bo 38-letniego wspólnego zamieszkiwania – wspomina żona dr. Andrzeja Załuckiego – nie usłyszałam żadnej skargi. Po latach dowiedziałam się, że niektórych potraw nie lubił, np. zupy pomidorowej, którą z mężem uwielbialiśmy. Kiedyś przypadkiem to delikatnie oznajmił. Było to bardzo ujmujące.

Choć cała kariera naukowa profesora i większa część jego życia przypadła na czasy PRL-u, był niezależny i nie poddawał się naciskom.

– Tato często wspominał, że namawiano go, żeby wstąpił do partii – opowiada syn. – Nigdy tego nie zrobił. Stronił od komunistów. Nigdy też nie zabiegał o tytuły i stanowiska.

(tekst Andrzej Załucki, syn)

Egzamin z zaćmienia słońca

Zaćmienie słońca, obserwowane przez przydymienie szkiełko w czasie egzaminu u profesora Mariana Kocóra, 42 godziny zajęć tygodniowo i trudny egzamin wstępny z pytaniami o akowską działalność ojca. Pierwsze lata na Uniwersytecie Przyrodniczym nie były proste, ale prof. Wacław Leszczyński wspomina je z uśmiechem.

Jego dzieciństwo nadawałoby się na scenariusz hollywoodzkiego filmu. Mieszkał w Warszawie. Gdy miał trzy lata, jego ojciec został wcielony do wojska, a matkę, która była kurierką AK, Niemcy zabrali do Oświęcimia.

– Pod dyktando babci pisałem list do Generalnego Gubernatora Hansa Franka, z prośbą o wypuszczenie mamy – wspomina dziś profesor. Doskonale pamięta, jak naziści bestwili się nad małym żydowskim chłopcem w jego wieku. Albo gdy w czasie łapanki oficer niemiecki przystawiał jego babci pistolet do głowy. Albo jak w Warszawie na ogłoszeniu przyklejonym do betonowego słupa zobaczył nazwisko swojego 19-letniego wujka, który był zakładnikiem nazistów i w przypadku zamachów na urzędników niemieckich miał zostać stracony.



Wraz z babcią i bratem uciekł z Warszawy tuż przed powstaniem warszawskim. Przypadkiem, a w zasadzie – cudem.

W czerwcu 1944 r. ukończył tajny komplet II klasy szkoły powszechnej im. Mikołaja Reja i wraz z bratem oraz dziadkami wyjechał do Milanówka na lato. Wiadomo było, że zbliżają się Rosjanie; mówiło się, że idą na Warszawę.

– Babcia bardzo się bała, twierdziła, że na wsi nic nam się nie stanie – mówi profesor. – Natomiast dziadek twierdził, że najbezpieczniej jest w Warszawie, bo przecież nawet jak w dom rąbnie bomba, to przecież są mocne piwnice – wyjaśnia Leszczyński.

Babcia małego profesora modliła się więc o jakiś znak. 31 lipca nad Milanówkiem zobaczyła samolot, który zostawił na niebie jasną smugę. Wsiadła do kolejki elektrycznej, pojechała do Warszawy i pokłóciła się z mężem, który zdecydował, że zostaje w stolicy. Tknęło ją dziwne przeczucie i choć był 31 lipca, wzięła z warszawskiego mieszkania płaszcze zimowe i wróciła do Milanówka. Następnego dnia wybuchło powstanie.

– Niemcy wygonili dziadka i innych mieszkańców z kamienicy. Mężczyznom kazali iść na lewo, kobietom – na prawo. I wszystkich mężczyzn – niezależnie – osesek czy starzec, a mój dziadek miał już wtedy 72 lata i siwą brodę – rozstrzelali. Także, gdyby babcia nie posłuchała znaku, mnie by tutaj nie było – mówi Leszczyński.

Ciotkę profesora też wygonili z kamienicy. Ustawili wraz z sąsiadami pod ścianą i strzelali z karabinów maszynowych. Ale ona upadła, zanim padł strzał. Przywaliły ją trupy. Tylko dzięki temu przeżyła.

Leszczyński dokładnie pamięta chwilę, gdy po latach zobaczył powracającą z Oświęcimia matkę.

– Gdy zabrali ją Niemcy, miała kasztanowe włosy, była w brązowym kostiumie. A do drzwi zapukała siwiuteńka staruszka – mówi. – Była pierwszą oświęcimianką, która dotarła do Krakowa.

Okazało się, że Niemcy karnie wywieźli ją z Oświęcimia za obrazę narodu niemieckiego. Najpierw do Ravensbrück, a potem do Sachsenhausen. Pracowała w fabryce na terenie Berlina. Podczas bombardowania, jak Niemcy wypędzali wszystkich więźniów z płonącego bloku, kobieta wraz z kilkoma koleżankami uciekła. Trafiła na ogródki działkowe, tam się przebrała.

– Tam znalazła wszystko, co potrzebne, by przeżyć – ubrania, talerze, garnki, kuchenka. Bandażem owinęła sobie rękę, bo miała tam wytatuowany numer 21170. Był luty, zimno. Rosjanie byli nad Odrą, do Berlina mieli kawał drogi. Więc matka zgłosiła się do Arbeitsamtu, niemieckiego urzędu pracy, tłumacząc, że zgubiła się podczas bombardowania. – opowiada profesor Leszczyński. – Powiedziała, że jest Polką wywiezioną na roboty, że pracowała jako służąca u jednych państwa, we Frankfurcie nad Odrą, oni uciekali z miasta, przyjechali do Berlina i tu ich zgubiła. Natychmiast przyjechało gestapo.

Oficer, który przesłuchiwał kobietę, mówił świetnie po polsku.

– *A jak się państwo nazywali?* – pyta. Matka profesora Leszczyńskiego na to:

– *No, pan nazywał się Hans, a pani Erna.* – Udawała taką niepiśmienną, wiejską kobietę – podkreśla Leszczyński.

– *A na jakiej ulicy mieszkaliście we Frankfurcie?* – pyta gestapowiec.

– *A, panocku..., zaraz..., o, o... Strasse.*

A Strasse to po niemiecku ulica. I dali mamę do Arbeitslager, czyli obozu pracy. Ale w stosunku do Oświęcimia to był prawdziwy raj, jak opowiada Leszczyński.

– Potem jeszcze raz spotkała tego gestapowca, w latach 50., we Wrocławiu, przed budynkiem Wojewódzkiego Komitetu Partii. Tym razem był ubekiem.

Wyjechali już wszyscy razem – prof. Leszczyński, jego brat i rodzice, do miejscowości Pokój na Opolszczyźnie, gdzie pani Leszczyńska szukała pracy jako nauczycielka.

– Matka miała na głowie całą szkołę: 153 dzieci, z tego 10, mogę z nazwiska powiedzieć, które umiały mówić po polsku – opowiada Leszczyński.

Do szkoły nie musiał chodzić, bo dzieci z Opolszczyzny piisały wtedy w zeszytach: „Das ist lampa”, „Das ist stół”. Poszedł dopiero do VI klasy, gdy przyjechali repatrianci ze Wschodu.

Do Wrocławia przyjechał z rodzicami dopiero w 1950 r. Mieli szczęście, bo gdy stolica Dolnego Śląska tonęła w gruzach, oni znaleźli mieszkanie na niezniszczonym w czasie wojny Sępolnie. Młody profesor trafił do szkoły przy ul. Parkowej. Poranne wyjścia z domu pamięta doskonale, bo był to szczególny rytuał.

– Śniadania pierwszego raczej się nie jadło. Przygotowywało się za to drugie śniadanie – dwie skibki chleba, posmarowane albo masłem, albo sztucznym miodem. Jakoś nikomu do głowy nie przyszło, że można posmarować i tym, i tym – wspomina Leszczyński. – Kanapkę wkładało się do papierowej torebki. Jeśli była po cukrze, to jadło się przyjemnie. Gorzej, gdy to była torebka po mące – śmieje się.

Kilkunastoletni Leszczyński stał każdego poranka z teczką w rękę i pił czarną kawę zbożową. A gdy widział przez okno, że jedzie tramwaj, szybko dolewał do kubka wody z kranu, żeby napój się ochłodził. Chodził do tzw. szkoły świeckiej, gdzie panowały surowe zasady. Młodzież nie mogła uczestniczyć w zabawach publicznych, a za każde, najmniejsze nawet przewinie-

nie, groziła kara. Codziennie, punktualnie o 7.50 rozpoczynał się apel.

– Pan dyrektor wchodził na „ambonę” i czytał „ogłoszenia parafialne”. Pamiętam jedno takie: „W dniu wczorajszym został ze szkoły relegowany Pikusiński Andrzej, uczeń klasy V, za jawne sprzyjanie angloamerykańskim imperialistom i rewizjonistom niemieckim, czemu dał dowód, rysując na tablicy w czasie przerwy znak dolara i swastyki” – opowiada Leszczyński.

Zresztą, jemu samemu też niewiele brakowało do relegowania ze szkoły. W X klasie wraz z przyjaciółmi postanowili bowiem... zorganizować andrzejki.

– Któraś z koleżanek zaproponowała, że można urządzić imprezę u Jadzi. Rodzice pozwolili, zrobiliśmy zrzutkę na słodkie, dziewczyny upiekły ciastka – wspomina profesor. I podkreśla: – My nie chcieliśmy żadnych wróżb, mieliśmy po 16 lat i marzyliśmy, by po prostu potańczyć. U Jadzi pojawił się adapter i płyty. I wszyscy tańczyli. Ale to była inna muzyka, inny taniec. Teraz ani się tańczyć nie da, ani porozmawiać. Tylko się podskakuje i rękami macha.

Z adaptera płynęły dźwięki walców, fokstrotów, samby, rumbi, a nawet boogie-woogie. Zabrzmiały „Chryzantemy złociste” i „Przynoszę Tobie bukiet czerwonych róż”. Młodzi bawili się do północy, a potem wszyscy wrócili do domów.

Następnego dnia w szkole – wielka awantura. Rodzice wszystkich, którzy uczestniczyli w imprezie, zostali w trybie natychmiastowym wezwani do szkoły. Ci, którzy pojawili się u Jadzi, mieli obniżoną ocenę z zachowania o jeden stopień. A główne organizatorki – o dwa, do dostatecznego. Za co?

– Za to, że uczestniczyliśmy w „religianckich obrządkach”. A mi się zawsze wydawało, że andrzejki to pogańskie święto – mówi z ironią profesor Leszczyński. I podkreśla. – W tamtym

czasie za przyznanie się do katolicyzmu groziły poważne konsekwencje. – Jednej z uczennic nauczyciel powiedział nawet: *Niech no ja cię tylko zobaczę w Kościele...* – mówi profesor.

Nie obyło się też bez problemów na egzaminie wstępnym na uczelnię. Profesor zastanawiał się jakiś czas nad wyborem studiów.

– Byłem niezły z biologii i chemii, więc na początku myślałem o medycynie. Ale doszedłem do wniosku, że jestem za słaby na te studia, że na pewno się nie dostanę. A na rolnictwo nie było wielu kandydatów – wyjaśnia.

Przy jego egzaminie na studia obecny był nie tylko dziekan i egzaminatorzy z chemii oraz nauki o konstrukcji. Obok, przy katedrze, zasłonięta stosem teczek, siedziała sekretarz techniczny z ramienia partii. Wcześniej, przy składaniu dokumentów na uczelnię, trzeba było wypełnić specjalną ankietę, wpisać, co rodzice i brat robili przed wojną i w jej czasie.

– W pewnym momencie sekretarz przerwała egzaminatorowi i zwróciła się do mnie: *Ja do Kolegi mam pytanie... A co Pański ojciec robił w czasie wojny? Zbladłem. W ankiecie wpisałem, że ojciec był w wojsku polskim poza granicami kraju. Powtórzyłem więc to samo. A na to pani sekretarz: Ale gdzie dokładnie? No bo przecież nie mógł być u Berlinga. Więc się zdenerwowałem i odpowiadam: U Andersa. Wszyscy trzej egzaminatorzy aż podskoczyli. Ale w końcu zostałem przyjęty – mówi Leszczyński.*

Przez pierwsze dwa lata w indeksie profesora Leszczyńskiego pojawiały się same piątki. A czasu na naukę było niewiele, gdyż w tym czasie studenci pierwszych lat mieli... 42 godziny zajęć tygodniowo. Wszystkie obowiązkowe.

– Każdą grupę reprezentował starosta, zetempowiec. Miał specjalny kajet, w którym codziennie, na każdym wykładzie

odnotowywał, kto jest, a kogo nie ma. Jeśli nieobecność była nieusprawiedliwiona, można było wylecieć ze studiów – opowiada Leszczyński.

Jednym z jego ulubionych wykładowców był profesor Kocór, który uczył chemii.

– Zdawałem u niego egzamin, gdy on w pewnym momencie mówi: *A teraz przerwiemy, bo właśnie zaczyna się całkowite zaćmienie słońca*. To było w 1954 r. Dał mi okopcone nad palnikiem szkiełko, obejrzelśmy zaćmienie, a potem wróciliśmy do egzaminu – wspomina Leszczyński.

Nie dbajcie o rzeczy wielkie

Mój tato, Czesław Wajdzik, urodził się w Suchej Beskidzkiej. Niewiele mówił o swoim dzieciństwie, toteż nie wiem, dlaczego i kiedy jego rodzice opuścili Suchą i przenieśli się gdzie indziej. Jednak tę rodzinną miejscowość darzył bardzo ciepłym wspomnieniem, bo ilekroć przejeżdżaliśmy tamtędy, zatrzymywał się w ciekawszych miejscach i opowiadał o miejscowych zwyczajach, przywołując dawne legendy. Pokazywał m.in. rynek w Suchej (kiedyś tutaj odbywały się wielkie końskie targi) i renesansowy zamek z prześlicznym arkadowym dziedzińcem; prowadził do słynnej drewnianej karczmy „Rzym”, w której diabeł upomniął się o duszę Pana Twardowskiego, a w okolicy zwracał uwagę na pobliską wioskę Mucharz nad rzeką Skawą, gdzie podobno z wieży położonego na górze kościoła Pan Twardowski na kogucie uciekł przed diabłem na księżyc.

Dzieciństwo i wczesną młodość spędził w różnych miejscowościach południowej Małopolski. Wymienię je w przypadkowej kolejności, bowiem nie wiem dokładnie, kiedy gdzie przebywał i jakie okoliczności sprawiały, że z tym właśnie miejscem był związany. Najczęściej wspominał: Rabkę (tam jest grób jego matki Franciszki z domu Rączka), Gorlice (tam z kolei jest grób



ojca Jana Wajdzika), Żywiec, Nowy Sącz, Krynicy Zdrój, no i oczywiście Kraków.

Architekturę studiował we Lwowie, geometrii wykresłnej uczył go sam profesor Kazimierz Bartel. Jednak dyplom ukończenia studiów otrzymał w Krakowie.

Wojnę wspominał niechętnie. Wiem tylko, że bardzo pomagał ludziom. Pokazywał mi kiedyś rzekę Rabę w okolicach Rabki, mówiąc, że tędy właśnie w bezksiężycowe noce nosił na plecach w workach „pomoc” dla okolicznych ludzi: drewno, węgiel, żywność, czasem lekarstwa i że było to bardzo niebezpieczne. Rzeczywiście, gdy tato umarł, otrzymałam kartkę pocztową od jednej pani z tamtych stron, która dowiedziawszy się o jego śmierci odszukała rodzinę i przysłała nam kondolencje, pisząc, że tato był wspaniałym człowiekiem i że jej najbliżsi jemu właśnie zawdzięczają uratowanie życia i przetrwanie najcięższych lat wojennych.

Nie wiem, czy tato brał bezpośredni udział w działaniach wojennych. Nie chciał o tym mówić. Może były to wspomnienia zbyt bolesne. Dodatkowo, właśnie podczas wojny umarli jego rodzice, najpierw ojciec – w czerwcu 1943 r., potem matka – w grudniu tego samego roku.

Lata wojny przyniosły mu jednak także piękniejsze chwile. To wtedy w Krynicy poznał moją mamę, Elżbietę z domu Kamyk, z którą ożenił się w 1943 r. Tutaj też urodziliśmy się my, jego dzieci – mój brat Jan oraz ja. Rodzina mamy miała tam własny dom, duży i stylowy pensjonat „Szczerbiec”. Wprawdzie po wojnie przeprowadziliśmy się na stałe do Wrocławia, odwiedzaliśmy jednak Krynicy i pozostała w niej część rodziny kilka razy w roku, szczególnie latem podczas wakacji.

Do Wrocławia przeprowadziliśmy się pod koniec 1945 r. Tato przyjechał tu najpierw sam, by wyszukać jakiś odpowied-

ni dom lub mieszkanie do zasiedlenia. Znał Wrocław jeszcze sprzed wojny, zawsze bardzo mu się podobał. Często wspominał to miasto, mówiąc, że było bardzo piękne, pełne zieleni i wody (choć mocno zabudowane) i miało swój osobliwy urok. Szczególne wrażenie robiły na nim monumentalne kościoły, te na Ostrowie Tumskim oraz kościół dominikański pod wezwaniem św. Wojciecha, z dwoma dzwonami i z nienaruszoną potem przez wojnę kaplicą błogosławionego Czesława. Zachwycał się także systemem przeciwpowodziowym, z którego sływał Wrocław, przemysłną płataniną kanałów, jazów i śluz. Wielkość miasta i jego splendor robiły wrażenie.

Przyjechał do Wrocławia ponownie już po wojnie, w 1945 r., by zamieszkać tu na stałe. Jeszcze trwały ostatnie działania wojenne, było niespokojnie i niebezpiecznie. Najpierw wyszukał dla nas jedną z opuszczonych willi na Biskupinie. Wybrał tę dzielnicę, bo była piękna, a ponadto uruchomiono tam już pierwszą linię tramwajową (dzisiejsza linia nr 1), łączącą Biskupin z centrum miasta, łatwo więc byłoby dojeżdżać na Politechnikę, gdzie podjął pracę oraz na zakupy. Zaopatrywano się wówczas głównie na tzw. *szaberplacach*, z których jeden funkcjonował na obecnym pl. Grunwaldzkim u zbiegu z ulicą Curie-Skłodowskiej. Uchodzący Niemcy sprzedawali tam niedrogo resztki swojego dobytku. Napływająca ludność polska miała okazję bez większego wysiłku i bez pieniędzy zdobyć po Niemcach coś atrakcyjnego, a nawet cennego. Ruch w handlu był zatem duży. Mój tato jednak nie był zbyt obrotowy w tych sprawach. Mama natomiast chętnie kupowała różne drobiazgi od Niemców, ale zawsze było jej ich żal, więc wdawała się z nimi w rozmowę i brała coś raczej z litości niż z potrzeby. *Każdego człowieka trzeba szanować* – mówiła – *ci zwykli ludzie, to wprawdzie Niemcy, ale tacy jak my, oni wojny nie chcieli, trzeba*

współczuć z nimi i w żadnym wypadku nie wolno ich wykorzystywać.

Wybrana willa położona była niedaleko wałów nadodrzańskich, była piętrowa i miała wokół piękny ogród z dwoma wysokimi i dość rozłożystymi drzewami iglastymi. Niestety, Biskupin był wówczas bardzo niebezpieczny, zewsząd słychać było odgłosy ustępujących działań wojennych, strzały, krzyki itp. Tato bał się sprowadzić tam rodzinę z małym dzieckiem (ja urodziłam się nieco później). W końcu znalazł odpowiednie poniemieckie mieszkanie bliżej centrum, na ulicy Smoluchowskiego, w bezpośrednim sąsiedztwie zarówno Politechniki, jak i wspomnianego już *szaberplacu*. Był to rejon uczelniany, zamieszkiwany przed wojną głównie przez profesorów i pracowników Politechniki, położony między słynnym wiszącym Mostem Grunwaldzkim a Mostem Zwierzynieckim, blisko reprezentacyjnej ongiś ulicy Mickiewicza.

Nasze przyszłe mieszkanie znajdowało się na trzecim piętrze. Nad nami był już tylko strych. Było ogromne, dobrze je pamiętam. Dzisiaj wszystkie mieszkania w tym budynku zostały podzielone na dwa i stanowią dwa odrębne i tak metrażowo duże mieszkania. Wówczas składało się ono z pięciu naprawdę sporych pokoi, dużej jasnej kuchni z dwoma spiżarenkami na końcu, łazienki, ogromnego hallu i korytarza, łączącego ten hall z drzwiami wejściowymi. Drzwi wejściowe były solidne, żelazne, wzmocnione ponadto jakimiś okuciami, zamykane na kilka zamków, zasuwę i łańcuch, i jeszcze dodatkowo unieruchamiane na noc masywną żelazną sztabą, którą tato zapierał o ścianę. Wszystkie te zabezpieczenia dzisiaj wydają się mocno przesadzone, wówczas jednak były konieczne, by można było w miarę spokojnie przespać noc. Choć urodziłam się dwa lata po wojnie, to jednak nawet ja pamiętam z dzieciństwa róż-

ne nieprzyjemne incydenty na klatce schodowej, ze strzałami w środku nocy włącznie. W okolicy pełno było zbombardowanych domów. Plac Grunwaldzki, zamieniony podczas oblężenia Festung Breslau na lotnisko, zionął pustką w środku i gruzami na obrzeżach. W tych gruzach znajdowali schronienie różni podejrzani osobnicy szukający łatwego łupu, rzezimieszki, pijacy i zwyrodnialcy, jakich na wojnach nie brakuje. Strach było nawet w dzień oddalać się zbytnio od domu, a wieczorem to już w ogóle nie było mowy o wyjściu na zewnątrz bez ryzyka. Groza tych miejsc rzucała się w oczy i budziła postrach. Rodzice przestrzegali nas przed niebezpieczeństwem kręcenia się w ich pobliżu, toteż unikaliśmy ich skwapliwie.

Nasze mieszkanie było zimne i nieprzytulne. Jako dzieci nieraz baliśmy się. Rodzice starali się być jak najwięcej z nami, jednak nie zawsze się to udawało. Czasy były trudne, tato dużo pracował, by nas utrzymać, a mama musiała przecież wychodzić na zakupy, które nieraz przeciągały się do późnych godzin popołudniowych. Za kawałkiem mięsa trzeba było odstać kilka godzin. Obowiązywała sprzedaż wiązana, jeśli mięso, to i np. nafta. Dziś młodemu pokoleniu trudno zrozumieć, a nawet wyobrazić sobie takie życie.

Było nam ciężko. Nie wiem, ile tato zarabiał i czy było to dużo, czy mało na ówczesne czasy. Wiem jednak, że było ciężko, bo oprócz utrzymania własnej rodziny pomagał jeszcze swojemu młodszemu rodzeństwu (miał dwóch braci, którzy w tym czasie dopiero studiowali) oraz starszej cioci, byłej więźniarce obozu w Gross-Rosen, wdowie po mężu, którego Niemcy powiesili na latarni przed oknami jej mieszkania. Straszna tragedia.

W mieszkaniu przy ul. Smoluchowskiego w zimie paliło się w piecach węglem przynoszonym na trzecie piętro z piwnicy. Ogrzewane były tylko trzy pokoje: ten, gdzie się siedziało za

dnia, ten, gdzie się spało i tzw. gabinet taty. Pozostałe w zimie były nieużywane. Przydziały węgla były limitowane. Potem jednak, kiedy wprowadzono ograniczenie metrażu, zmuszeni byliśmy wynajmować i ogrzewać również dwa pozostałe pokoje. Zajmowali je studenci. Miło ich wspominam. Byli bardzo grzeczni, dzielili z nami kuchnię i łazienkę. W wielu drobnych sprawach pomagali. Żyliśmy z nimi jak w rodzinie. Rodzice umieli łągodzić dystans, czego dowodem był utrzymywany długo serdeczny kontakt. W 1961 r. przeprowadziliśmy się do nowo wybudowanego budynku przy pl. Grunwaldzkim, jednak kontakt z dawnymi sublokatorami trwał jeszcze przez wiele lat.

W starym mieszkaniu tato miał swój gabinet. Był to pokój, w którym zamykał się, gdy pracował, a my nie przeszkadzaliśmy mu. Był to równocześnie nasz najbardziej reprezentacyjny pokój w mieszkaniu. Wszelcy goście, którzy przychodził, tam właśnie byli podejmowani. Oprócz oryginalnego zielonego pieca kaflowego, w narożniku, znajdowało się w nim solidne biurko taty, oszklona niewielka biblioteczka, fortepian, okrągły stół, trzy fotele i tapczan.

Rodzice byli dobrym małżeństwem. Żyli zgodnie, uczciwie i spokojnie. Od najmłodszych lat wpajali nam podstawowe zasady życiowe: patriotyzm, religijność, miłość rodzinną oraz życzliwość wobec ludzi. Tato, chociaż w zasadzie był realistą i miał ściśle matematyczny umysł, jednak w gruncie rzeczy – choć tego starał się nie okazywać – był romantykiem. Bardzo cenił nauki humanistyczne i był wrażliwy na piękno natury. Posiadał duszę artysty. Pasjonowała go zwłaszcza historia, historia sztuki i architektury – co było związane z jego zawodem – ale również literatura, starożytność i łacina, którą znał doskonale, a także muzyka. Miał świetny słuch, często śpiewał, a nade wszystko lubił słuchać, zwłaszcza klasyki fortepianowej. Dużo

czytał. Ponieważ nie mógł poświęcać zbyt wiele czasu na lekturę, książki dobierał starannie. Nie czytał byle czego, koncentrował się na uznanej klasyce. Lubił Chestertona, Bernarda Shawa, cenił piękny język, grę słów, nie stronił także od trudniejszej i bardziej wyrafinowanej literatury współczesnej, chętnie sięgał po Saint Exupery'ego, a nawet po Becketta, czy Dürrenmatta.

Dobrze znał język niemiecki. Próbował nawet uczyć nas trochę tego języka, ale pomimo wysiłków nie zdołał wzbudzić w nas większego nim zainteresowania. Jednak podstawy niemieckiego, z jakich do dzisiaj korzystam, wyniosłam właśnie z tych domowych nauk mojego taty. Rodzice zadbali również o nasze wychowanie muzyczne, powierzając nas w tym względzie zaprzyjaźnionemu nauczycielowi muzyki. W czasach naszego dzieciństwa nie było takich możliwości edukacyjno-sportowo-rozrywkowych dla dzieci jak teraz. To, co zrobili dla nas rodzice, wiązało się z wyrzeczeniami z ich strony, a docenia się dopiero z perspektywy czasu.

Tato pracował początkowo na ówczesnym Uniwersytecie i Politechnice. Tu wykorzystywał swoją wiedzę zdobytą na studiach. Kierował odbudową zniszczonego kompleksu gmachu głównego Politechniki, był też projektantem jednego z budynków instytutowych. Nadzorował również odbudowę niektórych gmachów publicznych w mieście, m.in. ukochanego kościoła św. Wojciecha na placu Dominikańskim. Mówił, że kościół ten był bardzo zniszczony, nie było w ogóle dachu, pierwsze msze odprawiano pod gołym niebem, a na skrzyżowaniu transeptu z nawą główną rosło drzewko, które bynajmniej nie przeszkadzało wiernym w uczestniczeniu w nabożeństwie. Nienaruszona była tylko kaplica błogosławionego Czesława. Tę kaplicę tato szczególnie wspominał. Mówił, że kiedy pierwszy raz, jeszcze przed wojną, przyjechał do Wro-



clawia i kiedy wyszedł przed dworzec kolejowy, skierował się w pierwszą ulicę, jaka wydała mu się najciekawsza. Była to obecna ulica Kołłątaja i jej przedłużenie – Piotra Skargi. Szedł i rozglądając się wokół, zachwycał się pięknem tego miasta. Z daleka widział na końcu ulicy sylwetkę gotyckiego kościoła. Zawsze interesowała go historia architektury, nie mogło więc być, by nie wszedł do tego kościoła. Zaraz po wejściu skierował się w stronę ołtarza i natychmiast zwrócił uwagę na przepiękną, barokową kaplicę po prawej stronie. Jak przeczytał, była to kaplica błogosławionego Czesława. Zrobiło mu się przyjemnie, że w tym obcym mieście pierwszy przywitał go właśnie jego patron. Tę chwilę wspominał bardzo często, widać utkwiała mu mocno w sercu.

Po kilku latach pracy na Politechnice, w 1951 r., tato przeniósł się na Wyższą Szkołę Rolniczą, którą właśnie w tym roku utworzono. Tutaj pracował nieprzerwanie aż do śmierci. Był pracownikiem szanowanym zarówno przez kadrę naukową, jak i przez studentów. Podobno w oczach tych drugich był wymagającym nauczycielem akademickim, ale zostawiał dużą swobodę i na egzaminach traktował podopiecznych łagodnie i z wyrozumiałością. Cenił umiejętność logicznego myślenia i samodzielność w zdobywaniu wiedzy, zwracał też uwagę na ogólną inteligencję studenta oraz przynajmniej pobieżne rozeznanie w kulturze, historii i sztuce.

Tato był obowiązkowy i wiele godzin spędzał na uczelni. Do domu także przynosił pracę, jakieś książki, papiery, notatki... Siadał przy maszynie do pisania (o komputerach wtedy nie było jeszcze mowy), pisał i kreślił rysunki. Przygotowywał się do wykładów, egzaminów, spotkań, opracowywał publikacje, recenzje. Łączył pracę naukową z pracą dydaktyczną. Potrafił przy tym nie zaniedbywać rodziny, co było naprawdę cenne, a dzisiaj

niestety, jakże rzadko spotykane. Pamiętam, jak w dzieciństwie zabierał nas na wycieczki za miasto, do lasu, na pola, do innych miejscowości. Dużo opowiadał, pokazywał zabytki, tłumaczył. Fotografował. Sam wywoływał potem zdjęcia, w czym z wielkim zapałem towarzyszyliśmy mu od dzieciństwa. To zainteresowanie sztuką, architekturą, zabytkami i fotografią potrafił przekazać swoim dzieciom w stu procentach!

Na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, nie pamiętam dokładnie kiedy, tato kupił motocykl. Samochodów prywatnych wtedy jeszcze było naprawdę niewiele. Motocykl był używany, na nowy nie było nas stać. Jednak dzięki temu motocyklowi poznałam dokładnie całą południową Polskę od Bogatyni aż po Bieszczady. Jeździliśmy wyłącznie turystycznie. Mam wiele wspomnień z tego okresu. Tato kupował rozmaite przewodniki i bedekery, wybierał trasę, planował postoje i najciekawsze miejsca do zwiedzania. Potem jechaliśmy. Była to wielka przygoda. Wyjazd na kilka dni, pełna improwizacja, noclegi najczęściej w prywatnych kwaterach i cały czas zwiedzanie! Wtedy rozbudziła się we mnie pasja poznawania świata. Do dzisiaj turystyka, w jej najczystszej formie, jest moim wielkim hobby, które staram się realizować w miarę możliwości. W 1965 r. tato kupił samochód – Zastawę 750. Nie był to szczyt marzeń, ale my bardzo się nią cieszyliśmy. Służyła nam wiele lat. Sytuacja się polepszyła. Przede wszystkim teraz można było wyjeżdżać całą rodziną (motocykl to możliwość tylko dla dwojga). Zwiedziliśmy całą Polskę, a nawet trochę Europy.

Rodzice dbali, byśmy w trudnych czasach powojennych mieli normalne dzieciństwo, w miarę beztroskie, pełne ciepła i domowej, rodzinnej atmosfery. W domu dużo rozmawialiśmy. Poruszane były wszystkie tematy. To przygotowywało nas do

życia, kształtowało zapatrywania i właściwie hierarchizowało wartości. Kiedy podrośliśmy, wszystkie sprawy domowe były wspólnie omawiane. Nie było tajemnic. Pieniądze były przechowywane w miejscu dostępnym, rodzice mieli do nas zaufanie. Starali się, byśmy zdobyli wykształcenie, ale nie naciskali ani na wybór określonego kierunku studiów, ani na doskonałość wyników. Ograniczali się jedynie do doradztwa i zachęty. Pełna swoboda wymuszała na nas samodzielność w podejmowaniu decyzji oraz odpowiedzialność za ich realizację. Rodzice czuwali w ukryciu, byśmy się w życiu nie pogubili, wspierali nas własnym przykładem i umacniali w przekonaniu, że zawsze są w pobliżu i możemy na nich liczyć. Był to jeden ze sposobów wychowawczych, za który dzisiaj serdecznie dziękuję.

Tato nie oszczędzał się, pracował ciężko, wielu przyjemności sobie odmawiał i z wielu pragnień rezygnował. Dokonał jednak takiego wyboru z własnej woli, a ta z kolei była determinowana przez miłość do rodziny, do żony i do dzieci. Zapewnił nam utrzymanie i jak najlepszy byt w trudnych latach powojennych, ale także – a może nawet przede wszystkim – zadbał, by należycie ukształtować charaktery swoich dzieci. Bardzo starał się wpoić nam poczucie własnej godności, odpowiedzialność za słowo i postępowanie, punktualność i traktowanie wszystkich spraw pogodnie, lecz na serio. *Nie dbajcie o rzeczy wielkie – mawiał – ani o to, co przerasta wasze siły, lecz starajcie się żyć zgodnie z sumieniem i nie pozwólcie, by ktokolwiek wam je zagłuszył lub wypaczył.*

W mojej pamięci Tato pozostanie uosobieniem szlachetności i człowieczeństwa. Może wydawać by się mogło, że niewiele w życiu osiągnął; nie został sławny, nie był bogaty, nie wybudował, ani nawet nie kupił domu, nie jeździł wspaniałymi samochodami, nie miał stylowych mebli ani żadnych innych

luksusów. Obronił jednak to, co w życiu najcenniejsze: własną godność. Nigdy nie uległ naciskom politycznym, modzie, wygórowanym ambicjom – do końca pozostał skromnym i uczciwym mężem i ojcem – takiego go pamiętam, Kocham i zachowuję w sercu.

(tekst Jolanta Wajdzik, córka)

Od sześciu gabinetów do wielkiego laboratorium

Twórcy Katedry Gleboznawstwa – profesorowie Jan Tomaszewski i Stanisław Kowaliński byli jak ogień i woda. Pierwszy ufał swojemu doświadczeniu, drugi dużo bardziej cenił analityczne metody. Wspólnymi siłami stworzyli jedną z najbardziej prestiżowych jednostek naukowych w Polsce.

– Nigdy nie miałem zajęć z profesorem Janem Tomaszewskim. Tak się złożyło, że kiedy ja otrzymałem propozycję asystentury na uczelni, on właśnie odchodził na emeryturę – mówi prof. Jerzy Drozd. – Ale legenda profesora Tomaszewskiego była na uczelni tak wielka, że trudno było przejść wobec tej postaci obojętnie. Zresztą profesor zachował pokój na terenie katedry i bywał na uczelni prawie codziennie.

– Mawiał, że gleba jest jak matka – wspomina profesor Jerzy Drozd. – Nie wyobrażał sobie życia bez pracy.

Jeszcze zanim prof. Tomaszewski dotarł do Wrocławia, szefował Katedrze Gleboznawstwa na Wydziale Rolnym Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej. „W momencie powstania Katedry mogłem zatrudnić jednego adiunkta – łąkarza, dr. E. Paciorkowskiego i jednego asystenta, mgr. J. Rokickiego – antropogeografa, których należało przeszkolić w kierun-



ku nauki gleboznawstwa” – pisze profesor w swoich wspomnieniach.

Do stolicy Dolnego Śląska Tomaszewski przyjeżdża w 1946 r. i przez 14 lat piastuje funkcję kierownika Katedry Nauk o Glebie i Ochrony Środowiska. Tu początki też nie są proste.

– Dostaje do dyspozycji sześć pomieszczeń. Z nich tworzy katedrę – wyjaśnia profesor Jerzy Drozd. – To właśnie ona stanie się znaną w Europie, prestiżową jednostką naukową.

Jan Tomaszewski nie przywiązuje wielkiej wagi do analiz i badań, ufa swojemu doświadczeniu. A tego może pozazdrościć mu niejeden naukowiec. Za czasów carskiej Rosji brał udział w ekspedycjach na tereny Azji. Ma analityczny umysł, dziesiątki lat naukowego doświadczenia i setki pomysłów w głowie. Poza tym lubi młodzież. I lubi pisać.

– Spod jego pióra wychodzi kilka podręczników. Do teraz uczą się z nich studenci – podkreśla Drozd.

Jednym z największych osiągnięć profesora Tomaszewskiego jest stworzenie mapy gleb Polski w skali 1:1 000 000. W latach 1949–1950 na zlecenie ówczesnego ministra rolnictwa pracowali nad nią gleboznawcy z całej Polski. Nad całością projektu czuwał wrocławski naukowiec.

W 1960 r. kierownictwo w katedrze obejmuje profesor Stanisław Kowaliński, z diametralnie innym podejściem naukowym. Sporo podróżuje. Odwiedza Chiny, Szwajcarię, Holandię, USA i Niemcy.

– W Hannoverze styka się z mikromorfologią, działem nauki w Polsce jeszcze zupełnie nieznanym. Mikromorfologia wymaga rozbudowy laboratoriów i inwestycji w specjalistyczny sprzęt – mikroskopy optyczne, fluorescencyjne, transmisyjne i rentgenowskie. W ten sposób w kilka lat powstaje najnowocześniejsza w Polsce pracownia mikromorfologii gleb – opowiada prof. Jerzy Drozd.

To daje wrocławskiej Katedrze Gleboznawstwa uprzywilejowaną pozycję. Jednostka jest na tyle prestiżowa, że prof. Kowaliński otrzymuje od rektora zgodę na organizację międzynarodowej konferencji poświęconej mikromorfologii. Na wykłady i prezentację badań zjeżdżają się naukowcy z całego świata, także zza oceanu. Jest koniec lat 60. minionego wieku. Zagranicznych gości witają nie tylko władze uczelni, lecz także przedstawiciele partii. Na konferencji nie brakuje też agentów służb specjalnych.

Sam organizator konferencji nie ma z partią najlepszych układów. Władze uczelni idą mu wprawdzie na rękę, ale każdy jego krok jest kontrolowany. Nadchodzi rok 1968 – zaczynają się studenckie strajki. Stanisław Kowaliński nie próbuje ukrywać swojej sympatii dla protestujących żaków.

– Cieszy się u nich wielkim autorytetem – mówi Drozd. – Na jego wykładach brakuje wolnych miejsc, mawia się, że „ma klientelę wśród słuchaczy”. Wykłada swobodnie, bez notatek. Studenci kochają go za erudycję, cierpliwość i poczucie humoru.

Za sympatyzowanie z wywrotowcami prof. Kowaliński zostaje odsunięty od władzy – piastował w tym czasie funkcję prorektora. Konsekwencje ponosi także jego ukochana katedra – by ograniczyć władzę kierowników jednostek, władze łączą je w wielkie instytuty. Katedra Gleboznawstwa stała się częścią Instytutu Chemii Rolniczej, Gleboznawstwa i Mikrobiologii, który został ulokowany w nowym gmachu przy ulicy Grunwaldzkiej 53, a jej dyrektorem został prof. Kazimierz Boratyński.



Lekarz weterynarii- -botanik

Kiedy 13 listopada 1972 r. profesor Władysław Nadwyczawski zmarł, w wieku 58 lat, jego wieloletni przyjaciel i współpracownik mgr Edward Andraszak napisał o nim wspomnienie, w którym tak scharakteryzował kierownika byłej Katedry Paszoznawstwa: „Odszedł człowiek rozumny, szlachetny i dzielny, a przy tym skromny, pełen poświęcenia dla spraw nauki i wychowania młodzieży akademickiej. Szczególną cechą jego charakteru była niespotykana wprost uczynność dla wszystkich, a zwłaszcza dla młodzieży, którą kochał, dla której poświęcał wiele czasu – wychowywał ją, uczył i wskazywał na wzniosłe cele, którym będzie służyć. Cechował Go umysł wszechstronnie uzdolniony o rozległych zainteresowaniach i niezwykła pracowitość. Problemy naukowe, które były przedmiotem jego badań rozwiązywał z zapałem, ogromną wprost pasją i konsekwencją. Nie obawiał się podejmować rozwiązania ważnych a szczególnie trudnych problemów dla Kraju”²⁷.

Władysław Nadwyczawski studiował na Akademii Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie, uzyskując absolutorium w 1939 r.,

²⁷ Zacytowany fragment pochodzi z maszynopisu, w postaci luźnych kartek, pozostającego w dyspozycji prof. Stanisława Krzywieckiego.



jednocześnie jak sam w napisanym przez siebie i zachowanym życiorysie stwierdził: „Idąc za swymi zainteresowaniami i zamiłowaniem do rolnictwa, zapisałem się i zostałem przyjęty na drugi rok studiów Wydziału Rolnego Politechniki Lwowskiej, których jednak z powodu wybuchu wojny nie rozpocząłem. Dyplom lekarza wet. otrzymałem w 1949 r. na Wydziale Medycyny Weterynaryjnej Uniwersytetu i Politechniki we Wrocławiu. W tymże roku zapisałem się powtórnie na studia rolnicze w Uniwersytecie Wrocławskim”²⁸.

– Nadwyczawski rzeczywiście był pasjonatem, który nie chciał być dyletantem. Jeśli coś go interesowało, a interesowało go wiele, zgłębiał problem od podstaw, nieustannie studiował – wspomina prof. Stanisław Krzywiecki, dodając – Nie znałem go długo, pracowałem z nim zaledwie około dwóch lat, ale mogłem przyglądać się z bliska tej wybitnej osobowości.

Władysław Nadwyczawski był bardzo konsekwentny, kiedy już sobie skonfigurował różne fakty, parł do celu cierpliwie i skutecznie. Krzywiecki opowiada, jak został przez niego zwerbowany do pracy w katedrze:

– Kończyłem Wydział Rolniczy, pasjonowałem się genetyką hodowli roślin, w czasach studenckich należałem do koła naukowego pod kierunkiem prof. Breja, a później Biskupskiego. Angażowałem się w projekty studenckie, jeździłem na konferencje, zaproponowano mi nawet pracę w stacji hodowli roślin – pszenic, pszenżyta. Pojechałem więc do Warszawy i dostałem pod skrzydła prof. Tadeusza Wolskiego, wówczas jeszcze doktora, głównego hodowcy poznańskiego zjednoczenia ho-

²⁸ Pięciostronicowy maszynopis życiorysu Władysława Nadwyczawskiego, wówczas doktora, opatrzony datą 1964 r., znajduje się w posiadaniu prof. Stanisława Krzywieckiego.

dowli roślin i nasiennictwa, ożenionego z arystokratką Anną Branicką.

Żona prof. Krzywieckiego, matematyk-statystyk, też otrzymała angaż i oboje rozpoczęli staż w stacji Janaszów koło Grójca, a w tworzonej centralnej stacji hodowli zbóż w Laskach – drugi staż. Krzywiecki zaangażował się w budowę laboratorium i organizowanie koła naukowego dla młodzieży grójeckiej, gdy pewnego razu otrzymał list od docenta Biskupskiego, który napisał, że ma tu takiego zaprzyjaźnionego uczonego, który potrzebuje pracownika i chciałby się spotkać. Był nim właśnie Władysław Nadwyczawski.

– Zupełnie mnie nie znał, a nalegał. Przyjąłem to jako sygnał.

Później pojawiły się telefony od docenta Nadwyczawskiego, który stwierdził, że skoro młody Krzywiecki znał się na hodowli, pisał pracę z przemiałowej jakości ziarna, a żywienie wchodzi w obręb jakości, to on takiego właśnie potrzebuje.

– Namówił mnie, był sugestywny i pragmatyczny. Mówiłem mu, że rozpocząłem pracę, że Wolski mi zaufał, że nie mogę tak po prostu odejść. On natomiast uważał, że wszystko da się załatwić. Wiedział, że całą rodzinę mam we Wrocławiu. Widział miejsce także dla mojej żony, stwierdzając, że „potrzebujemy statystyka”.

Żona prof. Krzywieckiego źle czuła się pod Warszawą. Było coś w mikroklimacie niesprzyjającego, co wywoływało u niej częste migreny. Tak czy inaczej, wiele przemawiało za tym, żeby wrócić do Wrocławia.

– Nadwyczawski przyciągał ludzi, z wielu rzeczy musiałem zrezygnować, ale nie żałuję – mówi dziś prof. Stanisław Krzywiecki.

Inną jego cechą była umiejętność organizowania interdyscyplinarnego zespołu do rozwiązania konkretnego pro-



blemu. Zresztą, jego myślenie zawsze było interdyscyplinarne – ukończył przecież dwa różne wydziały, był lekarzem weterynarii i botanikiem jednocześnie. Razem z profesorem Tadeuszem Olbrychtem pracowali nad przystosowaniem do polskich warunków Końskiego Zęba – odmiany kukurydzy. Jego współpracownicy żartowali sobie, że jest specjalistą od końskich zębów i jako lekarz weterynarii ma prawo tym Końskim Zębem się zajmować.

Pewnego razu Nadwyczawski stwierdził, że trzeba ulepszyć śrutę rzepakową. Ten odpad przerobu rzepaku jest jednym z lepszych komponentów mieszanek przemysłowych dla monogastrycznych zwierząt, zawiera cenne zwłaszcza dla młodych zwierząt białko. Problem był jednak taki, że śruta zawierała niebezpieczne związki toksyczne ITC i WTO, które unieczynniały enzymy i powodowały degeneracyjne zmiany w narządach. Zwierzęta karmione śrutą chorowały. Nadwyczawski zastanawiał się, co zrobić, żeby zmniejszyć występowanie tych związków. Była taka metoda termiczna, która pozwalała toksyny redukować, ale jednocześnie powodowała, że białko było gorzej przyswajalne – coś za coś. Nadwyczawski zainteresował problemem kolegów chemików z Politechniki – prof. Mastalerza i prof. Szewczuka, którzy opracowali metodę hydrolizy kwasnej, likwidującej WTO, a jednocześnie nienaruszającej białka. Uzyskali na to patent. Nadwyczawski lubił wchodzić w problem, który wydawał się nierozwiązywalny, a jednocześnie był w tym bardzo skromny, niczego nie robił ku własnej chwale, nikogo nie umniejszał i nie odbierał mu jego zasług, do niczyjego sukcesu też się nie dopisywał.

Lubił pracę zespołową i – jak wspomina prof. Krzywiecki – choć dla asystentów był partnerski i nie podkreślał, że tu rządzi, oczekiwał współpracy i dzielenia się swoimi pomysłami

i efektami badań, chciał mieć zgrany, spójny zespół. Owszem, w swoich wizjach kierunków badawczych bywał czasem nieprzejednany

– Zdarzyło się – opowiada Krzywiecki – że miałem inną koncepcję. Uważałem na podstawie literatury, że można łatwo przewidzieć wyniki doświadczenia, które profesor chce przeprowadzić i zdecydowałem się na robienie dwóch doświadczeń jednocześnie – jednego według własnego pomysłu a drugiego według wskazań profesora, o czym go zresztą zawiadomiłem. Nie miał nic przeciwko, powiedział tylko „zobaczymy”. Potwierdziły się moje prognozy, a nie jego, ale on był zadowolony. Nie zaciętrzewiał się. Wiedział, że nikt nie ma monopolu na mądrość.

Niewątpliwie był rzetelny i nie obawiał się przedstawiać swojego stanowiska, nawet jeśli nie było to na rękę komunistycznym władzom. Świadczy o tym informacja, którą zawarł w swoim życiorysie z 1964 r.: „W l[atach] 1953–1956 na polecenie Urzędu Rady Ministrów [byłem] trzykrotnie powoływany do opracowywania uchwał rządu w sprawie perspektywicznego planu rozwoju uprawy kukurydzy (...), byłem głównym zwolennikiem powolnego zwiększania uprawy tej rośliny do 100 tys. ha w roku 1960. W 1956 r. wobec nakazu gwałtownego zwiększenia powierzchni uprawy kukurydzy mimo braku odpowiedniej ilości nasion, suszarni i silosów, maszyn i nawozów, środków chemicznych i rąk do pracy wypowiedziałem się zdecydowanie (z prof. Olbrychtem nawet na piśmie) przeciwko 1 mln ha tego okopowego zboża już w pl[anie] 5-letnim w Polsce. Zatwierdzony plan nie został wykonany. Wobec odgórnego planowania, powierzchnia uprawy za wielka jak na możliwości wykonania, zamiast wzrastać, spadła (...)”.

Jego pragmatyzm przejawiał się również w dydaktyce. Prowadził zajęcia z paszoznawstwa. Uważał zawsze, że zamknięcie



się w laboratorium lub na sali ćwiczeń to za mało. Wprowadził do dydaktyki zajęcia terenowe, w których pokazywał np. możliwości wykorzystania pozostałości odpadowych. Woził studentów w ramach zajęć po zakładach tłuszczowych, utylizacyjnych i browarach. Sprawiało to dużo trudności logistycznych, gdyż trzeba było układać zajęcia w bloki, ale profesor Nadwyczawski widział sens takiego nauczania.

Zresztą zawsze młodzież brał w opiekę, zwłaszcza kiedy widział, że ktoś był biedny albo się pogubił, czy był skrzywdzony. Nikogo nie skreślał. Na uczelni pełnił funkcję kuratora młodzieży wiejskiej. Uważał, że polską wieś trzeba wyciągać z biedy, uczyć ją nowoczesności, ale podkreślał też wagę wartości chrześcijańskich.

Władysław Nadwyczawski mieszkał w dużej willi przy ul. Rappackiego na Krzykach, tej samej, w której podpisano akt kapitulacji Festung Breslau. Mógł tam pracować, ale wolał siedzieć na Biskupinie, gdyż tu miał bibliotekę. Niewątpliwie był przywiązany do swojego miejsca pracy. Przyjeżdżał około 9.00 rano i siedział do późnych godzin wieczornych.

– Kiedy wychodziłem o 15.00 do domu – opowiada profesor Stanisław Krzywiecki – zawsze mnie pytał, czy jeszcze wrócę? Chciał, żebym wracał, ale ja odbierałem dzieci z przedszkola i byłem potrzebny w domu.

Profesor jadł w między czasie obiad w barze studenckim, ale ogólnie źle się odżywiał.

– Czasem zabierałem dodatkową kanapkę i namawiałem go, żeby zjadł ze mną śniadanie. Nie myślał o jedzeniu, wypijał hektolitry herbaty i bez przerwy palił fajkę.

Swoimi problemami osobistymi nigdy się nie dzielił, chociaż wszyscy widzieli, że coś go trapi. Na tematy niezwiązane z pracą rozmawiał na dużym poziomie ogólności. Jak długo było moż-

na, ukrywał przed współpracownikami początki choroby nowotworowej tarczycy.

Czy był samotny? Żona profesor mieszkała w Jarosławiu wraz z dziećmi, kiedy te były jeszcze małe. Profesor miał dwóch synów i dwie córki. Kiedy dorosły, przyjechały na studia do Wrocławia i zamieszkały z ojcem. Profesor przyjechał do Wrocławia po wojnie, prawdopodobnie spodziewał się, że jak tylko tu osiadzie i jakoś zorganizuje życie, to sprowadzi rodzinę, do której zresztą często przez całą Polskę jeździł. Tymczasem w Jarosławiu rodziły się kolejne dzieci i żona zdecydowała, że woli tam zostać. Profesor jeździł do rodziny, żona przyjeżdżała tu, ale nie zamieszkali razem. Kiedy umierał, była przy nim i opiekowała się w ostatnich dniach życia. Wtedy też urodził mu się pierwszy wnuk, którego zdążył jeszcze przytulić.

– Zawsze lubił moją żonę – wspomina profesor Krzywiecki. – Mawiał, że ubolewa, iż przyrodnicy myślą wolniej niż matematycy. Zawsze miał w głowie wiele planów i pomysłów, mawiał też, że gdyby był młodszy, to na różne rzeczy by się jeszcze porwał. Nadwyczawski nauczył mnie twórczego patrzenia w przyszłość. Kiedy już człowiek zabiera się za robotę, to niech to robi porządnie, nie trzeba myśleć o tym, co powiedzą inni i jak długo to trwa. W przestrzeni ludzkiej trzeba się prezentować czytelnie. Utożsamiałem go ze swoim ojcem.



Jak profesor Schmuck polubił Rosjan

Gdy profesor Adam Schmuck organizował Katedrę Hydrometeorologii na nowo powstałym Wydziale Melioracji Wodnych i poszukiwał asystentów, młody Stanisław Bac, który właśnie czmychnął ze Stadgardu Szczecińskiego, zgłosił się do niego. Nie myślał jeszcze wtedy, że zostanie tu na stałe.

Schmuck nie miał łatwego życia. Urodził się we Lwowie, tam ukończył studia i się doktoryzował, ale bezskutecznie starał się o asystenturę na Uniwersytecie im. Jana Kazimierza i przez dziesięć lat pracował jako nauczyciel w szkole średniej. Nie ograniczał kontaktu z uczelnią, pracował naukowo i publikował. Do Wrocławia przyjechał w 1946 r., a gdy pojawiła się możliwość tworzenia od podstaw Katedry Hydrometeorologii, zajął się tym, a Bac Junior został jego asystentem w 1952 r.

Jak przysłało na wychowanka austriackiej szkoły, prof. Adam Schmuck był formalistą, charakteryzował się zamiłowaniem do porządku, choć nie bez pewnego luzu, i poczucia sprawiedliwości. Student musiał u niego zaliczyć wszystko w terminie, a jeśli nie zaliczył – musiał zdawać egzamin komisyjny. Pytania profesor miał zawsze przygotowane na paskach papieru – po cztery, które studenci mogli losować. Profesor Schmuck zawsze uwa-



żał, żeby nikt nie czuł się albo wyróżniony, albo niesprawiedliwie potraktowany.

– Był trochę sztywny – wspomina profesor Stanisław Bac. – Nie przypominam sobie, żeby wybrał się na jakiś rajd studencki.

Wiele wymagał od swoich asystentów, nie popuścił absolutnie, stał nad głową i pilnował, żeby pracowali. Chciał wychować następców.

– To dzięki niemu po pięciu latach się doktoryzowałem.

Profesor Adam Schmuck świetnie znał język niemiecki, ale rosyjskiego nie znosił. Zresztą, nie znosił niczego, co było rosyjskie.

Tymczasem jego adiunkt Stanisław Bac (junior) postanowił wyjechać na półroczny staż naukowy do Rosji. Język rosyjski znał dobrze. Życie osobiste w tym czasie, jak wspominał, dość mu się pogmatwało i dobrze było popatrzeć na nie z oddalenia. Wyjazd na staż w innym kierunku niż wschodni był praktycznie niemożliwy, więc ostatecznie została Rosja. Pojechał i część stażu odbył w Moskwie, a część w Leningradzie. Podobało mu się. Poznał ludzi, obejrzał laboratoria i poligony doświadczalne, wyszlifował język, nawiązał literatury. Kiedy wrócił do Polski, zdał profesorowi Schmuckowi szczegółową relację i zachęcał go do podobnego wyjazdu.

Profesor Schmuck miał umysł otwarty i ciekawość świata. Zgodził się na zorganizowanie wspólnej wyprawy do Rosji. Adiunkt Bac, skoro tak zachęcał, musiał wszystko załatwić i przygotować.

– No to zająłem się załatwianiem: wysłałem kilka listów, dostałem odpowiedzi i zaproszenia – opowiada prof. Stanisław Bac. – Pojechało nas pięć osób, obok profesora Schmucka i mnie Adam Szpindor, dr Niwiński i jeszcze jeden kolega. Nie chciałem, żebyśmy utknęli w Moskwie i Leningradzie, chcia-

łem odwiedzić różne ośrodki naukowe. Kiedy już znaleźliśmy się w Moskwie, zostawiłem kolegów w Instytucie Meteorologicznym i poszedłem do Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego, żeby nas zarejestrować i coś utargować. A była tam pewna ładna Natasza, którą poznałem już poprzednim razem. Proszę ją, że chcielibyśmy zamiast do Leningradu pojechać do Kijowa. Nie zgodziła się. Wtedy zwróciłem się w imieniu dyrektora Moskiewskiego Instytutu Meteorologii z prośbą, żeby polska ekipa naukowa mogła zwiedzić inne ośrodki tego Instytutu. Natasza uznała, że to się da zrobić przy odrobinie wysiłku biurokratycznego.

Najpierw pojechali z Moskwy do Odessy, następnie z Odessy do Kijowa, po czym na Łotwę, a dopiero stamtąd do Leningradu. Wszędzie byli przyjmowani z sympatią, jak partnerzy naukowi.

– Jeśli miałbym gdzieś mieszkać za granicą, to tylko w Budapeszcie albo w Kijowie – wspomina profesor Bac wizytę w stolicy Ukrainy. – Trafiliśmy tam na miasto utopione w kwitnących bzach i kasztanach. Tak je zapamiętałem. Było niezwykle pięknie.

Na Łotwie byli pierwszą zagraniczną ekipą naukową, która przyjechała do ich Akademii w Jałgawie, oczywiście bardzo dobrze ich przyjęto. W Rydze mieszkało wielu Polaków. Pewnego razu spotkali starszą panią, Polkę, która pracowała przy obsłudze windy. Poprosiła ich o polski pieniążek, mówiąc, że jak sobie popatrzy na orzełka, to od razu cieplej jej się robi na sercu. Namawiała, żeby koniecznie zobaczyli Pomnik Zwycięstwa.

– To był dosyć wysoki obelisk, na pierwszy rzut oka nic nadzwyczajnego. Starsza pani poleciła nam jednak przyjrzeć się płaskorzeźbom na tym monumencie. Okazało się, że pomnik był przedwojenny, a płaskorzeźby przedstawiały zwycięstwo nad



bolszewikami. Na jednej z nich żołnierz łotewski prowadził na łańcuchu kudłatego niedźwiedzia. Symbol był zupełnie czytelny.

Z Łotwy polecili do Leningradu. Tam asystent Stanisław Bac już wszystkich znał. Pozwolono polskiej grupie pojechać do Wałdaja, gdzie Instytut Meteorologiczny miał ogromny poligon doświadczalny. Rosjanie dysponowali prymitywną aparaturą, ale mieli tanią siłę roboczą, która nieustannie na dużym i zróżnicowanym obszarze robiła pomiary takimi samymi przyrządami w długim okresie. To pozwalało zebrać wielką bazę danych, porównywać wyniki i wyciągać wnioski. Wałdaj profesorowi Adamowi Schmuckowi zaimponował, choć było to małe miasteczko, leżące w połowie drogi między Moskwą a Leningradem, w którym ludzie żyli zwłaszcza z produkcji konserw żurawinowych.

– Kiedy byłem w tych stronach za trzecim razem, na przełomie września i października – opowiada profesor Bac – byłem zdumiony, że tak dużo dzieci się kręci po ulicach, zamiast być w szkole. Okazało się, że w tym czasie zaczęły zamarać bagna, a żeby mieć surowiec na cały rok, kto żyw biegł na bagna zbierać żurawinę.

Po tej podróży na Wschód profesor Schmuck diametralnie zmienił zdanie na temat Rosjan. Polubił ich, zwłaszcza kolegów po fachu, i nie identyfikował z państwem. Zaczął korzystać z literatury rosyjskiej, a doktorantom polecał staże w Rosji. Natomiast kiedy poznał panujące tam warunki pracy, przede wszystkim – jak twierdzi Bac – docenił Polskę Ludową.

– Mieliśmy lepszą aparaturę i o wiele więcej luzu. O ile pamiętam, z uczelni tylko kilka osób aresztowano podczas przewrotów politycznych, na przykład takiego Kazia Koprowskiego, ale też ludzie u nas byli bardzo ostrożni. Przeżyli wojnę i chcieli dalej żyć.

Podróż bez powrotów

– Brześć nad Bugiem to jest krótki odcinek mojego dzieciństwa – do trzeciego oddziału szkoły powszechnej, czyli do 1935 r. Wówczas mój ojciec awansował na dyrektora gimnazjum w Ostrołęce i tam się przeprowadziliśmy – wspomina profesor Maria Radomska.

Gdy w 1939 r. zdała egzamin do gimnazjum, wyjechały ze starszą siostrą na wakacje do najurokliwszego miejsca na Ziemi – do majątku Czembrowina na wsi. Były to wakacje, jak ocenia profesor Radomska, jedyne w swym pięknie i beztrójce, więcej już się takie nie zdarzyły. Tuż przed końcem sierpnia obie panny przyjechały samodzielnie do Warszawy.

– Tam przebywała mama z naszą 1,5-letnią siostrą, tam również mieszkała część naszej rodziny.

Wybuch wojny zastał Marię Radomską w Warszawie. Do Ostrołęki nie było po co wracać, miasto zostało zajęte przez Niemców już 5 września i wcielone do Generalnej Guberni. Sześciopokojowe mieszkanie Radomskich nadało się na lazaret wojskowy i lokum dla lekarza, który zresztą przejął nie tylko wszystkie sprzęty dotychczasowych domowników, ale nawet garderobę pana Radomskiego. *Ten garnitur może pan zabrać, ale pozostałe proszę zostawić, przydadzą mi się* – mówił niemiecki lekarz do ojca Marii, który chciał cokolwiek spakować. Meble



z charakterystycznego dla tego regionu czarnego dębu zostały wywiezione do Niemiec.

– Gdy ojciec zaczął myśleć, jak by tu nas zabrać z Warszawy, został aresztowany. Zostałam więc w stolicy. Należałam do Szarych Szeregów, a do Armii Krajowej zostałam zaprzysiężona w lipcu 1944 r. Dwa tygodnie spędziłam na konspiracyjnym obozie harcerskim – kursie dla drużynowych. Gdy wybuchło powstanie warszawskie, walczyłam na Żoliborzu jako sanitariuszka, a bardziej noszowa. Patrol składał się bowiem z wysoko wykwalifikowanej drużyny, która przed wojną ukończyła pierwszy rok studiów medycznych, a w czasie okupacji była w szkole pielęgniarstwie. Ja w czasie powstania nie opatrzyłam ani jednej rany, ale byłam mocna i dźwigałam rannych.

Powstanie warszawskie wybuchło 1 sierpnia 1944 r. Maria Radomska miała wówczas 17 lat. Dziś uważa, pewnie nie raz już pytana o sens powstania, że nie było innego wyjścia, 27 lipca gubernator Warszawy wydał odezwę do mieszkańców, w której żądał stawienia się stu tysięcy osób do budowy fortyfikacji przeciwko szturmowi Armii Czerwonej – nikt nie przyszedł, represje były nieuniknione. Walki na Żoliborzu, najbardziej na północ wysuniętej i oderwanej od Starego Miasta dzielnicy, trwały do 30 września, czyli wraz z częścią Śródmieścia najdłużej.

– Rozkaz o kapitulacji dotarł w taki sposób, że w dniu dużego ostrzału, kiedy cofaliśmy się z nadzieją na przedarcie na drugi brzeg Wisły, nagle ogień ze strony nieprzyjaciela ustał i po dwóch godzinach od strony Starego Miasta, czyli od strony niemieckiej, polscy oficerowie szli do nas z białą flagą od gen. Antoniego Chruściela ps. „Monter”, przywódcy powstania. Musieli poczekać, zanim ktoś z powstańców Żoliborza osobiście ich zidentyfikował.

– Wstyd się przyznać – opowiada profesor Radomska. – Pierwszym wrażeniem była ulga. Wreszcie cicho, nic się nie pali, nie wali. Żyjemy.

W powstaniu warszawskim zginęło od 120 do 200 tys. ofiar spośród ludności cywilnej i od 10 do 15 tys. żołnierzy, do niewoli wzięto około 17,5 tys. osób.

Następnego dnia – 1 października – zawarto tymczasowy rozjem, podczas którego ewakuowano ludność cywilną. Kolejnej nocy – z 2 na 3 października – podpisano honorowy akt kapitulacji. Żołnierzy AK uznano za jeńców wojennych i przyznano im prawa kombatanckie. Wszyscy mieszkańcy musieli opuścić stolicę.

– Zgromadzono nas w okolicy Kościoła Św. Stanisława Kostki, tam złożyliśmy broń na dawnym placu Thomasa Woodrowa Wilsona, później nocowaliśmy w barakach fabrycznych i zostaliśmy przewiezieni do obozu przejściowego do Pruszkowa. A po paru dniach do obozu jenieckiego w okolicach Magdeburga. Znaleźliśmy się w Stalagu – obozie dla podoficerów i szeregowych, w którym już w 1939 r. przebywali polscy żołnierze, ale byliśmy gromadą żeńską. Wzbudziło to sensację, bo z każdej strony za drutami byli jeńcy – żołnierze holenderscy, jugosłowiańscy, angielscy... Miałam ze sobą, jak większość dziewcząt, jedynie apteczkę na ramieniu, nic więcej. Jeńcy zza drutów przrzucali nam różne rzeczy, zwłaszcza garderobę, dostałyśmy na przykład w dużym nakładzie kalessony z australijskiej wełny. Gdzieś ze składu zostały wykradzione koce i z nich uszyte dla nas bufiaste spodnie. Bufiaste po to, żeby można było ukryć coś w nogawkach.

Jeńcy wojenni poniżej stopnia oficera (czyli około 300 tys. Polaków) byli zmuszani do pracy w obozach pracy przymusowej, najczęściej w przemyśle zbrojeniowym, kamieniołomach i kopalniach.



– Wysłano nas, czyli około 60 kobiet w wieku od 16 do 60 r. życia, do fabryki, gdzie pracowałam jako wykwalifikowany szlifieryz i spawacz acetylenowy. Jedna z dziewcząt skaleczyła się, pojechała do lekarza, który zrobił opatrunek i wypisał kartkę „niezdolna do pracy, zwolnić do obozu macierzystego”. Wszystkie natychmiast zaczęłyśmy chorować, a ów lekarz wszystkim dawał zwolnienie z pracy. Przyjechał po nas konwój i parę dni później cały nas obóz został przeniesiony do jenieckiego karnego obozu kobiet-żołnierzy Armii Krajowej w Oberlangen. Obóz liczył 1769 kobiet plus 6 niemowląt urodzonych w obozie, które też dostawały numer jeniecki na płóciennym zawiązanym na rączce. Praca nasza polegała na obsłudze obozu, który mieścił się na terenie bagienno-torfowym.

Obóz został wyzwolony przez patrol 1. Dywizji Pancерnej generała Stanisława Maczka, która to dywizja stacjonowała w Holandii i do nich dotarła wiadomość pocztą pantoflową od chłopów, że tu jest jakiś obóz z Polkami. Obóz bowiem nie figurował z rejestrze niemieckich obozów wojennych, z tego też powodu nie docierały tu paczki z Czerwonego Krzyża.

– Wyzwalał nas patrol liczący szesnastu, może dwudziestu żołnierzy. Było to 12 kwietnia 1945 r. Czołg wywrócił bramę i druty, po czym triumfalnie wjechał na teren obozu, w którym byli już tylko jeńcy. Wieczorem trzeba było wszystkie te druty z powrotem postawić dla naszego bezpieczeństwa. Miałam wtedy treningi ze strzelania.

Po tym wyzwoleniu kobiety zostały przewiezione do większego obozu i rozjechały się po świecie. Część z nich, również Maria Radomska, wstąpiła do 2. Korpusu Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie.

– 12 maja przyjechał generał Władysław Anders awionetką i powiedział, że chociaż wojna się skończyła, wciela wszystkie

do 2. Korpusu i zamierza zorganizować gimnazjum i liceum dla dziewcząt. Powieziono nas przez całe północne Niemcy autostradą. Pamiętam, że po obu jej stronach stał sznur zbombardowanych samolotów wojskowych, które nigdy nie zdążyły się poderwać.

Maria Radomska znalazła się w Porto San Giorgio, włoskiej miejscowości położonej nad Adriatykiem, około 30 km od Loreto. Tu kontynuowała zaczęta w Warszawie naukę w Gimnazjum i Liceum dla Ochotniczek Pomocniczej Służby Kobiet wraz z około trzystoma innymi uczennicami. San Giorgio nie było jedynym miejscem, gdzie żołnierze 2. Korpusu mogli uzupełniać wykształcenie. Szkolnictwo przy armii, z uwagi na niedostatek kadry oficerskiej, było rozwijane już od 1941 r., kiedy Armia Polska powstawała na mocy układu Sikorski-Majski w ZSRR. Organizatorem szkół był ppłk. Jerzy Alexandrowicz – były rektor Akademii Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie. Po zakończeniu działań wojennych na froncie włoskim na przełomie 1944/1945 r., gen. Anders zdecydował się rozszerzyć prace szkół na różnych poziomach nauczania w kilku miasteczkach włoskich. Jednym z absolwentów takiego kursu maturalnego był Ryszard Kaczorowski, ostatni prezydent RP na wychodźstwie.

W 1946 r. żołnierze 2. Korpusu Polskich Sił Zbrojnych zostali przetransportowani do Anglii, a w 1947 r. armia została rozwiązana. Wielu z żołnierzy – około 130 tys. – pozostało na emigracji, większość – ok. 120 tys. – wstąpiła do Polskiego Korpusu Przynsposobienia i Rozmieszczenia utworzonego przy Armii Brytyjskiej i przygotowującego zdemobilizowanych żołnierzy polskich do cywilnego życia w Wielkiej Brytanii. Do Polski zdecydowało się wrócić około 105 tys. osób, wśród nich Maria Radomska, która w Anglii do momentu rozwiązania armii zdo-

łała ukończyć liceum i zdać maturę. Miała wtedy 20 lat. Jej klasa maturalna liczyła 27 osób, a do Polski wracało 16.

– Z Anglii płynęliśmy statkiem, z Glasgow do Gdańska. Wystawiono nam bezpłatny bilet, tylko trzeba było podać jakiś adres. Podałam warszawski. Ten sam, z którego wyszłam na wojnę. Dojechałam do Warszawy i szłam... przez cmentarz miasta. Dotarłam na Aleję Wojska Polskiego 31/34, rano. Zapukałam, otwiera mi drzwi obca kobieta i wypuszcza mnie. Siedzę zaskoczona, a ona robi mi herbatę. Okazało się, że w tym trzypokojowym parterowym mieszkaniu zamieszkali bezdomni ludzie z baraków, które były w tym rejonie Żoliborza. Wolny był jedyny pokój, który Niemcy wykorzystywali na stajnie, a który był ścielony książkami, fotografiami, papierami. Tym bezdomnym nie chciało się tego posprzątać, dlatego moja ciotka Zosia, najmłodsza siostra mojej mamy, która też odbyła wędrowną tak jak wszyscy, wysiedlona z Warszawy po powstaniu, ten pokój odzyskała i poinformowała osiadłych tu ludzi, że ktoś taki jak ja może się zjawić. Ciotka jeździła do Anina, gdzie zamieszkały babcia i starsza siostra, zawoziła tam zaopatrzenie i nie nocowała na Żoliborzu. Wypiłam tę herbatę i weszłam do tego pokoju. Wiozłam dla rodziców papierosy z wojska, które dostawałam w przydziale, tego dnia wyciągnęłam te papierosy i wypalałam jeden po drugim. Ile? Nie wiem. Wiele. Wieczorem obudził mnie kuzyn, który szukał ciotki i mnie znalazł. Straciłam głos od tych papierosów. Rodzina w Aninie, do której dotarłam następnego dnia, leczyła mnie później.

Maria Radomska pod koniec października 1947 r. zdecydowała się na wyjazd do Wrocławia, gdzie przy ul. Rozbrat, niedaleko Ukrytej, zamieszkała jej siostra. Wówczas studentka Wydziału Rolniczego i asystentka profesora Stanisława Tołpy.

Z profesorem Tołpą rodzina Radomskich знаła się z czasów przedwojennych. Jan Radomski, ojciec Marii, był botanikiem i współautorem wraz z Tołpą podręczników szkolnych i akademickich, opartych na nowoczesnych metodach nauczania i wydawanych przez niemal 40 lat od 1935 r. Razem prowadzili badania w Puszczy Sandomierskiej i na torfowiskach Białostockich. Dla małej Marii najważniejsze były masy poziomki, które ojciec przywoził z tych eskapad. Kiedy Jana Radomskiego wysiedlono z Ostrołęki w 1939 r., zorganizował tajne gimnazjum, rozsiane po 20 wsiach gminy Czerwin w pobliżu Ostrołęki na terenie Generalnego Gubernatorstwa, przez tę szkołę przeszło kilkudziesięciu uczniów. Po wojnie ojciec osiadł najpierw w Kamiennej Górze, gdzie zorganizował gimnazjum i liceum, a od 1955 r. pracował w Akademii Rolniczej w Szczecinie jako profesor nadzwyczajny.

Pierwsze wrocławskie mieszkanie pań Radomskich znajdowało się na poddaszu budynku należącego dziś do Politechniki Wrocławskiej. Profesor Stanisław Tołpa też tu mieszkał, tylko niżej. W mieszkaniu siostr Radomskich odbywały się spotkania koła przyrodników.

– Miały te spotkania różny charakter, nie tylko naukowy. Bywało tak, że mieszkający razem z Tołpą Wilhelm Okruszko – dyrektor administracyjny uczelni przychodził i mówił, że żyrandol chce im się urwać.

Maria stawiała się na uczelnię po Wszystkich Świętych 1947 r., prof. Tołpa, wówczas dziekan, wyznaczył dla niej indywidualny egzamin wstępny. Kierowniczką dziekanatu była wtedy pani Pietruszko, maturzystka ze szkoły ojca Radomskiej, z Ostrołęki. Znała jego córki.

Okazało się, że matura Marii Radomskiej, wydana w Anglii przez Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicz-



nego rządu polskiego na wychodźstwie, wymaga weryfikacji w Ministerstwie Oświaty Rządu Jedności Narodowej. Radomska przesała dokumenty drogą pocztową i zaczęła uczęszczać na zajęcia jako wolny słuchacz. Mijały miesiące, a potwierdzenie z Warszawy nie nadchodziło.

– Sprawa się przeciągała. Mogłam stracić rok studiów. Wtedy ważną osobą w ministerstwie był W. Michajłow, botanik, który współpracował z moim ojcem i Tołpą przed wojną. Mój ojciec napisał do niego list z prośbą o interwencję. Pojechałam do Warszawy w mundurze, w czapce z koronowanym orzełkiem, bo to był mój jedyny strój. Na wartowni w ministerstwie dostałam przepustkę i zostałam skierowana do Michajłowa. Przyjęła mnie jego zastępczyni, która wydała mi tę maturę bez komentarza. Mogłam zalegalizować swój pobyt na studiach.

O tym, jak profesor Zygmunt Sobczak był oszczędny

Gdy profesor Zygmunt Sobczak odwiedzał profesora Jana Ludwiczaka swego krajana (też z Wielkopolski), a zdarzało się to często, bo obaj się bardzo lubili, zawsze miał przy sobie swoją herbatę i prosił tylko o wrzątek.

– Zawsze kupowałem dropsy i częstowałem Sobczaka, a on na to zwykle odpowiadał: *Dziękuję, teraz przed obiadem nie zjem, ale po objedzie chętnie i zabierał sobie dropsa do kieszeni.*



Kiedyś profesor Sobczak przyszedł do swojego kolegi profesora Jana Stefanowicza i oznajmił, że go żona z domu wyrzuciła. – *A za co?* – zapytał zatroskany Stefanowicz. – *Ktoś rozjechał gołębia, a ja go wziąłem i zaniósłem żonie, żeby rosół z tego przygotowała, bo przecież szkoda świeżego mięsa.*



Był na uczelni taki zwyczaj, że w dniu wypłaty profesorowie odebrawszy z uczelnianej kasy pieniądze, oczywiście w gotówce, szli do klubu pracowniczego w gmachu głównym i w swoim gronie wypijali herbatę i zjadali pączka. Był to swoisty,



obowiązkowy rytuał. W taki dzień, jeden z profesorów zobaczywszy kolegę Sobczaka, zawołał: – *Zygmunt, chodź do nas na herbatę!* Na co odezwał się drugi: – *Nie przyjdzie, bo ma węża w kieszeni.* – *Węża?* – dodał trzeci. – *W jego kieszeni nawet wąż by z głodu zdechtł.*

Profesor Zygmunt Sobczak nigdy się nie obrażał na te żarty, które w gruncie rzeczy były niewinne i pełne sympatii, ale swoje zasady miał.

Siła spokoju, czyli jak być dziekanem przez 15 lat

Profesor Jerzy Juszcak zastanowił się, czego od kogo się nauczył na uczelni:

– Miałem kilku mistrzów...

Życzliwości dla ludzi nauczył go profesor Tadeusz Konoński, który zawsze uważał, że trzeba pomóc, a nawet jak się na kogo zdenerwował i nakrzyczał, później czuł się nieswój. Obyczaje akademickie przejął od profesora Mieczysława Ceny, który podkreślał, że na uczelni obowiązują obyczaje polegające na tym, że wolno i trzeba się spierać, nawet mocno, ale nie powinno to przeszkadzać przyjaźni. Kiedyś na radach tak bywało, że uczeni się kłócili, a nawet sobie wymyślali, ale później wychodzili za pan brat na kawę. Natomiast tego, że pewne sprawy nie wymagają zaangażowania, tylko spokoju, a często rozwiązują się same, nauczył Juszcaka profesor Stanisław Chudoba.

Profesor Chudoba, kiedy był dziekanem (1956–1969), mówił do prof. Juszcaka, swojego prodziekana: *Wiecie kolego, wy sobie kolego nic z tego nie róbcie, wystuchajcie, ale róbcie, jak uważacie, i róbcie to, co uważacie, że jest słuszne. Co wam zrobią?*



Nic. Nakrzyczą na was? Nie, bo respekt będą czuli. Chudoba był właśnie taki. Nieprawdopodobnie spokojny, nawet może trochę flegmatyczny, pogodny i zwyczajnie przyzwoity. Charakteryzował się potężną budową ciała, ta postura i choroba serca wpływały na to, że profesor nigdy się nie spieszył, mówił, że ma czas. Ten spokój emanował na cały wydział, wszyscy się na nim dobrze czuli. To nie jest przypadek, że profesor Stanisław Chudoba był dziekanem przez 15 lat.

Kiedy profesor Jerzy Juszcak był rektorem i sekretarka, pani Henryka Zychla, przynosiła stosy pism, w których była masa spraw do załatwienia, on czytał i uznane za niepotrzebne... wrzucał do niszcarki. Kiedy pani Nusia chciała pisma odebrać, zaksięgować, zapytać o odpowiedzi, rektor rozkładał ręce:

– Nie będziemy odpowiadać i zobaczymy, co będzie.

Okazywało się, że na pięć pism, które zniszczył, na jedno przychodziła prośba o odpowiedź, wtedy odpowiadał. To samo rektor Juszcak robił z anonimami:

– Trudno sobie wyobrazić, ile przychodzi anonimów do rektora, na różnych ludzi. Wszystkie niszczyłem.

Pani Nusia też chciała je księgować, zachowywać w szafie, ale nie było już co.

– Odsuwania spraw zupełnie nieistotnych i zdrowego podejścia do rzeczywistości nauczyłem się od Chudoby, który zawsze powtarzał: *Co wam zrobią? Wezmą na kolano i klapsa wytną?*

O bojowym profesorze Antonim Wojtysiaku, który pytał studentów z zamków śląskich

Budził skrajne emocje. Jedni go podziwiali, u innych, delikatnie mówiąc, nie wzbudzał ani cienia sympatii. Najlepszy przyjaciel profesora Zygmunta Golonki, karnie wydany z warszawskiej uczelni za to, że nie respektował marksistowskich teorii rolniczych, został zapamiętany jako najbardziej bojowy wykładowca Uniwersytetu Przyrodniczego.

– On mieszkał w swoim gabinecie – wspomina profesor Wacław Leszczyński. – Tam stało łóżko – dodaje. – Zastanawialiśmy się, gdzie się mył, bo przecież w gabinetach nie było umywalk.

Profesor Zygmunt Mikołajczak pamięta, że profesor Wojtysiak został wybrany w 1956 r. na posła do sejmu.

– Był wtedy dziekanem, a że wszyscy myśleli, że to kościelny dziekan, to go wybrali – mówi.

Jego kolega, prof. Leszczyński, zna tę historię lepiej, bo przed wyborami został przez uczelnię mianowany pełnomocnikiem



w sprawie poselstwa prof. Wojtysiaka. Wspomina, że pojawiały się nawet głosy, by bojowy wykładowca został ministrem rolnictwa, ale w końcu na to stanowisko wytypowano profesora Tadeusza Konopińskiego. Ale wtedy pojawił się pomysł, by Antoni Wojtysiak został posłem.

– I nim został, jako jedyny reprezentant opozycji w historii PRL – mówi Leszczyński.

W sejmie wslawił się tym, że jako również jako jedyny sprzeciwił się kandydaturze Józefa Cyrankiewicza na premiera. Wygłosił wtedy emocjonujące przemówienie.

– Ostro go krytykował. Bojowy był. Jego mowa na pewno jest w stenogramach sejmowych – podkreśla profesor Leszczyński.

Wojtysiak był surowy. Twierdził, że jeśli ktoś kończy wyższe studia, musi reprezentować wysoki poziom; że wykształcony człowiek, to nie tylko ten, który zna swój zawód, lecz także taki, który stale poszerza swoje horyzonty. Toteż, gdy student wchodził do niego na egzamin, pytał: *A gdzie Pan mieszka?* Gdy student odpowiadał: *W Świdnicy*, Wojtysiak był w swoim żywiole. *To proszę wymienić kilka zabytków ze swojego miasta.* Gdy zalegała cisza, profesor kończył egzamin słowami: *No widzi Pan, nie tylko szczegółowej uprawy Pan nie zna, ale nawet się Pan łaskawie historią własnego miasta nie zainteresował.* I następował kilkunastominutowy wykład o świdnickich kościołach, kamienicach i zamkach.

– Żartowaliśmy, że Wojtysiak pyta z zamków śląskich – śmieje się prof. Waclaw Leszczyński.

Lwowiak, domator i nauczyciel pełną gębą

Elegancki, wyprostowany, z idealnym przedziałkiem z boku głowy. W latach 50. prowadząc zajęcia terenowe z geodezji dla meliorantów wraz z asystentami, „zagrzewał się” okowitą z pierśiówki. Zyskał wtedy przydomek „buteleczka”.

– Budził respekt – wspomina dziś prof. Stefan Cacoń, zapytany o pierwsze wspomnienie związane z Romanem Hlibowickim. – Dostojny, w nieskazitelnie białej koszuli, pod krawatem. Był osobą niezwykle wymagającą, nie tylko od innych, lecz przede wszystkim od siebie – precyzuje.

W czasie wykładów profesora Hlibowickiego sala wypełniała się po brzegi. Nie potrzebował notatek, mówił z ogromną swadą i mimo że przedmioty, których uczył – astronomia geodezyjna czy kartografia, należały do jednych z najtrudniejszych, potrafił studentów zainteresować wiedzą. Trudne partie materiału przedstawiał tak obrazowo, że aż chciało się go słuchać, a notatki z zajęć mogły stanowić podręcznikowy skrypt. Starsi studenci powtarzali młodszym: *Chcesz zdać egzamin u Hlibowickiego w pierwszym terminie? To chodź na wykłady.* I choć te wcale nie były obowiązkowe, a profesor raczej nie sprawdzał obecności, puste krzesło na jego zajęciach stanowiło rzadkość.



– Profesor Hlibowicki był doskonałym dydaktykiem. Nieco mniejszą wagę przykładał do badań – mówi prof. Cacoń.

Nie należał natomiast do łagodnych egzaminatorów. Raz nawet interweniowała u niego... matka jednego ze studentów, zaniepokojona tym, że jej synowi, który oblał już dwa terminy, grozi egzamin komisyjny. Ta historia urosła już do rangi anegdoty.

– *Pierwszy raz widzę, żeby za dorosłego studenta wstawiała się jego matka* – powiedział kobiecie Hlibowicki. – *Już ponad 40 lat prowadzę wykłady, ale nigdy mi się coś takiego nie zdarzyło.*

Na to matka studenta odpowiada: *A ja bym Panu tyle nie dała.*

Na to profesor Hlibowicki: *A skąd Pani wie, że ja bym jeszcze tyle mógł?*

Profesor Cacoń zapamiętał też inny egzamin, przeprowadzany przez profesora. Pomagał mu wtedy pilnować studentów.

– Profesor przyuważył brodatego studenta, który bezpardonowo ściągał. Ściąga składała się z zapisanej drobno cieniutkim piórkiem kalki technicznej, nawiniętej na gumkę. Podchodzę więc z przeciwnego rogu sali i mówię do studenta: *Panie Robercie, ściągnij poproszę.* A on na to: *Przecież ja nic nie mam.*

– Widzę, jak próbuje ukryć zwój papieru w splecionej brodzie – wspomina prof. Cacoń. – Więc mówię: *Proszę wyjąć ściągnij z tej brody.* Student wyciągnął rulonik i... zjadł.

Cała historia na szczęście uszła uwadze surowego egzaminatora, natomiast sam student nie ukrywał potem przed profesorem Caconiem konsekwencji zjedzenia posiłku złożonego z gumki i pergaminu.

Roman Hlibowicki pochodził z Przemyśla, ale swoje przedwojenne życie związał ze Lwowem – tam w 1930 r. skończył gimnazjum klasyczne im. Jana Długosza. Geodezję studiował na Politechnice Lwowskiej. Miał pięcioro rodzeństwa,

a w domu się nie przelewało, dlatego pracę zaczął już jako student I roku. W 1933 r. po śmierci ojca musiał przerwać naukę. Pracował w biurach geodezyjnych – ze swoim serdecznym przyjacielem, a późniejszym profesorem – Czesławem Kamelą parcelowali ziemię w Grybowie. Na początku lat 40. wrócił na studia – dyplom obronił w konspiracji w 1942 r.

Przez trzy lata – aż do 1945 r. pracował jako asystent w Katedrze Geodezji Politechniki Lwowskiej, tej samej, którą do momentu rozstrzelania przez Niemców w 1941 r. kierował prof. Kasper Weigel²⁹.

Po wojnie Roman Hlibowicki wraz z innymi wykładowcami Politechniki Lwowskiej pojechał do Krakowa, a rok później przeprowadził się do stolicy Dolnego Śląska. Doktoryzował się sześć lat później na podstawie rozprawy „Wpływ rzeźby terenu na kształt powierzchni pól uprawnych”. Promotorem rozprawy był profesor Stanisław Bac – senior. Pod koniec lat 50. profesora zaproszono do Ministerstwa Rolnictwa.

– Na Ziemiach Zachodnich brakowało wtedy inżynierów geodetów – tłumaczy prof. Stefan Cacoń. – Zapadła decyzja o otwarciu nowego kierunku, który nazywał się wtedy „geodezja urządzeń rolnych” – opowiada. Na pierwszy rok studiów przyjęto 70 osób, a kadre dydaktyczną stanowiło siedmiu pracowników.

Wraz z upływem czasu zaczęli pojawiać się nowi pracownicy. Stefan Cacoń doskonale pamięta Władysława Drozgowskiego, który do Wrocławia przyjechał za namową prof. Hlibowickiego aż ze Szczecina.

²⁹ Kasper Weigel – geodeta, profesor Politechniki Lwowskiej, autor ponad 30 prac naukowych, zamordowany przez Niemców w 1941 r. wraz ze swoim jedynym synem Józefem.

– Był już po sześćdziesiątce, kiedy robił doktorat – opowiada prof. Cacoń, nie ukrywając podziwu. – Na pewno szybko by się habilitował. Niestety, miał wylew – mówi.

Jednym z pierwszych pracowników katedry była mgr Ewa Krzywicka, późniejszy profesor. Pracę magisterską pisała pod kierunkiem profesora Hlibowickiego, a jej recenzentem był sam Hugo Steinhaus³⁰. Pani profesor wślawiła się później jako wynalazczyni dygitezera sonorocznego, urządzenia wspomagającego naukę niewidomych dzieci.

Profesor Cacoń najlepiej wspomina nieformalne spotkania członków katedry.

– Imieniny profesora Hlibowickiego wypadały na wiosnę, ale on twierdził, że to nie jest najlepszy czas na świętowanie – uśmiecha się prof. Cacoń. Dodaje, że wszyscy pracownicy naukowi wspólnie obchodzili Mikołajki. Odpowiedzialność za organizację i część artystyczną spadała zawsze na najmłodszych asystentów. W czasie tych mikołajkowych imprez pracownicy poznawali profesora Hlibowickiego z zupełnie innej strony. Lubił się bawić, pięknie śpiewał, dowcipkował.

– Mi także przypadło zagrać św. Mikołaja – opowiada prof. Cacoń. – Na jednej z takich imprez wystąpiłem w czerwonym stroju w towarzystwie śnieżynek.

W organizacji tych spotkań pomagał nam niezwykle utalentowany pracownik techniczny, Janusz Tyszkiewicz. Jego syn także skończył Technikum Geodezyjne, ale z geodezją się nie zaprzyjaźnił. Wybrał studia na ASP, na grafice. Dziś jest jednym z najbardziej rozchwytywanych wrocławskich artystów i wzię-

³⁰ Hugo Steinhaus – polski matematyk, należący do tzw. Lwowskiej szkoły matematycznej. Profesor, kierownik I Katedry Matematyki na Uniwersytecie Lwowskim.

tym profesorem na Akademii Sztuk Pięknych – mówi profesor Stefan Cacoń.

Najstarsi studenci profesora, mający teraz po siedemdziesiąt lat, pamiętają, że bardzo zachęcał ich do założenia Stowarzyszenia Studentów Melioracji.

– Do dziś jest jednym z najprężniej działających na uczelni – podkreśla prof. Cacoń.

Najlepiej wspomina chyba nieformalne spotkania z profesorem. Wtedy nagle zniknął dystans dzielących ich ponad 30 lat, a sam Hlibowicki przestawał być zasadniczy i niedostępny.

– W pamięć zapadła mi wycieczka, którą dostaliśmy w ramach nagrody za wykonanie planu pod projekty zabudowań rekreacyjnych w masywie Ślęży. Zwiedziliśmy Kraków, Wieliczkę i Zakopane, gdzie w kościele na Harendzie pracował jako proboszcz brat profesora Hlibowickiego – niesamowity człowiek, okazało się, że w czasie wojny był kapelanem na okrętach wojennych i cudem udało mu się przeżyć.

Hlibowicki był domatorem. Lubił spotkania w kawiarniach – miał swoją ulubioną, prowadzoną przez dawnego lwowiaka knajpkę „U Fąsia”, która mieściła się przy ul. Szewskiej. Tam spotykał się ze swoimi przyjaciółmi i spędzał wolne popołudnia. Nie był urodzonym sportowcem, stronił od wysiłku fizycznego, a za turystyką – delikatnie mówiąc – nie przepadał. Nie przeszkadzało mu to namawiać do ruchu studentów – uważał bowiem, że geodeta, czyli „skoczy bruzda” umiejętności sportowe powinien mieć we krwi.

Jednym z jego największych wyczynów było wdrapanie się w 1972 r. na Szczeliniec, najwyższy, liczący 919 m n.p.m., szczyt w Górach Stołowych.

– W okresie, gdy byłem opiekunem studenckiego koła naukowego, badaliśmy tam przemieszczenia bloków skalnych

w pobliżu schroniska PTTK na szczycie góry, jednego z najstarszych tego typu obiektów w Polsce – wyjaśnia Stefan Cacoń. Dodaje, że nigdy nie zapomni miny profesora, gdy ten zobaczył ponad 50-metrową przepaść, w pobliżu której pracowali. Hlibowicki miał bowiem lęk wysokości, objawiający się niechęcią do gór i podróży samolotami. – Wspólną wyprawę na szczyt odpokutował bólem nóg – wspomina Cacoń. – Na dolegliwości skarżył się jeszcze kilka dni po naszym powrocie– dodaje.

Gdy wyniki z badań w Górach Stołowych zostały opublikowane, zainteresował się nimi ormiański naukowiec, profesor Ter Stepanian z Erewania. Do Wrocławia przyjechał na zaproszenie profesora Ignacego Kisiela z Politechniki i profesora Alfreda Jahna³¹ z Uniwersytetu Wrocławskiego. Polscy naukowcy postanowili zabrać gościa z Armenii na wycieczkę w Góry Stołowe. W wyprawie uczestniczyli oprócz profesora Ter Stepaniana: Jerzy Kowalski, późniejszy rektor Uniwersytetu Przyrodniczego, profesor Maria Pulinowa, profesor Bolesław Broś i profesor Alfred Jahn. Był wśród nich także prof. Stefan Cacoń. W drodze powrotnej samochód, prowadzony przez prof. Kowalskiego, zatrzymała milicja. Na objeździe Polanicy, przy ograniczeniu do 70 km/h, auto przekroczyło prędkość o ponad 15. Mundurowy pokazał prędkość samochodu na radarze i zaczął wypisywać mandat w wysokości 500 zł. Nagle z auta wyskoczył profesor Broś.

– *Panie władzo* – zwrócił się do milicjanta – *Czy Pan wie, kogo tu wieziemy? Członka Ormiańskiej Akademii Nauk, pro-*

³¹ Alfred Jahn (1915–1999) – geolog i polarnik, profesor Uniwersytetu Wrocławskiego. W latach 1962–1968 pełnił funkcję rektora uczelni, zdjęty ze swojej funkcji za wspieranie manifestujących w 1968 r. studentów.

fesora Ter Stepaniana i członka rzeczywistego Polskiej Akademii Nauk, profesora Alfreda Jahna.

Mundurowy na to: *Co pan mówi! Takie sławy! Z tak niebezpieczną prędkością! W takim razie – podwójny mandat.* I wręczył prof. Kowalskiemu karę w wysokości 1000 zł.

Lata 80. przyniosły profesorowi Romanowi Hlibowickiemu wiele trudnych emocji. W 1981 r. jako członek uczelnianej komisji wyborczej został oskarżony o manipulowanie wyborami. I choć zarzut nie miał podstaw, wątek podchwyciła prasa, a profesor, będący w tamtym czasie tuż przed emeryturą, mocno to przeżył. Zaboląło go także pismo, jakie dostał z ministerstwa, gdy odchodził na emeryturę.

– Było tam napisane „Zwalniam pana z pełnienia funkcji profesora” – wspomina prof. Cacoń. – Nie było wzmianki o osiągnięciu wieku emerytalnego, o liczbie przepracowanych na uczelni lat. Po prostu: „Zwalniam pana” – mówi.

Jeszcze przez jakiś czas profesor mieszkał wraz z żoną w ponemieckiej kamienicy przy ul. Szczytnickiej. Pod koniec lat 80. za namową małżonki, w wieku 77 lat, przeniósł się do Lublina, gdzie jego córka, Barbara – również profesor – wykładała filologię romańską na Uniwersytecie Marii Skłodowskiej-Curie. Dwaj synowie profesora Hlibowickiego, Stefan i Andrzej, mieszkają w Kanadzie. Też są naukowcami – obronili prace doktorskie na Wydziale Elektroniki Politechniki Wrocławskiej.

– Profesor chciał odwiedzić synów, lecz jak ognia bał się latańia. W końcu, po długim namowach, wybrał się do Kanady w asyście zięcia-lekarsza – opowiada prof. Stefan Cacoń.

W Lublinie państwo Hlibowiccy zamieszkali w wieżowcu, na 6. piętrze. Profesor czuł się tam jak w betonowym więzieniu. Nie miał przyjaciół, z którymi był bardzo związany; czuł się samotny.

– W połowie lat 90. odwiedziłem profesora w Lublinie – ucieszył się, że zobaczył dawnego współpracownika. Nie mógł się doczekać wspólnego koniaczku – wspomina prof. Cacoń.

Zmarł w 1999 r., w wieku 88 lat. Został pochowany na cmentarzu w Dąbrownicy. Rok później, w czasie jubileuszu 40-lecia studiów geodezyjnych na Akademii Rolniczej we Wrocławiu, w celu upamiętnienia profesora Romana Hlibowickiego Sali II G nadano jego imię.

Cała Polska czeka na swego Dubczeka

Tak krzyczano na polskich ulicach w marcu 1968 r., solidaryzując się z Czechami, którzy przeżywali swoją Praską Wiosnę i liczyli na to, że ich zryw wolnościowy będzie trwał. Tymczasem uczelnie Wrocławia, podobnie jak i w innych miastach uniwersyteckich, ogarniały strajki studenckie będące odpowiedzią na brutalne rozgromienie wiecu studentów na Uniwersytecie Warszawskim protestujących przeciwko relegowaniu ze studiów Adama Michnika i Henryka Szlajfera. Nikt wówczas nie przypuszczał, że kilka miesięcy później, w sierpniu, interwencja wojsk Układu Warszawskiego zlikwiduje Praską Wiosnę, a niewiele później zmiecie Dubczeka ze sceny politycznej.

W każdym razie, kiedy te doniosłe wydarzenia przetaczały się ulicami, Jan Ludwiczak – młody doktor, asystent w Katedrze Ekonomii Rolnictwa, przeżywał osobisty problem. Dokładnie w tym czasie, 18 marca 1968 r., miało się odbyć jego kolokwium habilitacyjne. Dziekan wydziału profesor Zygmunt Hryniewicz rozważał przełożenie rady wydziału, ale profesor Jan Bogdanowicz, który był sekretarzem partii na uczelni, zdecydował, że kolokwium habilitacyjne trzeba przeprowadzić przy



ul. Cybulskiego 20, gdzie Katedra Ekonomii Rolnictwa miała swoją siedzibę. Zorganizowano wówczas transport rady wydziału autobusami do budynku przy ul. Cybulskiego. W bibliotece na piętrze słuchano habilitanta i radzono, a na dole jego żona z koleżankami szykowały przekąski. Jednym z recenzentów był Czech, prof. Grolik z Brna. Ciekawe, co myślał wówczas, słuchając dochodzących zza okien skandowanych haseł: *Cała Polska czeka na swego Dubczeka*, i co myślał w sierpniu?

Profesor Jan Ludwiczak rozpoczął studia w 1946, a ukończył w 1950 r. i był pierwszym magistrantem na ekonomice rolnictwa. Egzamin zdawał jeszcze u profesora Wincentego Stysia, zanim go zwolnili za krytykowanie komunistycznych metod zarządzania gospodarką.

Profesor Ludwiczak należał do drugiego rocznika studentów na Uniwersytecie i Politechnice we Wrocławiu. Przyjechał do Wrocławia z Krotoszyna na studia, ale najpierw musiał ukończyć tu ostatnią klasę i zdać maturę.

– W tym Wartegau nic nie było. Niemcy pozamykali polskie szkoły i kościoły katolickie – wspomina.

Po studiach został asystentem profesora Władysława Tilgnera, a gdy ten odszedł z pracy z powodu choroby, Ludwiczak przeszedł pod skrzydła docenta Bohdana Kopcia. Na ich katedrze najsilniej i najszybciej odbijały się wszystkie wydarzenia polityczne i decyzje gospodarcze.

– Na tym naszym kierunku różne były sytuacje, ktoś pisał o spółdzielniach produkcyjnych doktorat, a dwa lata po obronie spółdzielnie upadły.

Ludwiczkę wielokrotnie namawiano, żeby przystąpił do partii, ale odpowiadał zawsze, że jest bezpartyjny bolszewik. I tak już zostało.



Jak się poznali Państwo Ludwiczakowie?

– Zaliczyła u mnie kolokwium taka dziewczyna jakaś – wspomina prof. Jan Ludwiczak.

– Zdałam w 1951 r. maturę i dostałam się na rolnictwo – mówi Zenobia Ludwiczak. – On prowadził zajęcia na specjalizacji ochrona roślin, a ja byłam na agronomii, nie mieliśmy kontaktu. Poznałam go dopiero na kolokwium po semestralnej praktyce, na rok przed obroną dyplomu. Podczas tego kolokwium złapał mi byka ortograficznego w hektarach bieżących (w bieżących było rz): – *Od czego Pani sobie bierze to rz?* – *Od brac* – odpowiedziałam szybko. – *A nie od biegać?* – Tak mnie podrywał. Przetrzymał mnie na tym zaliczeniu, rozmawialiśmy o teatrze i na tematy zupełnie niezwiązane z rolnictwem. I tak się rozstaliśmy. Po wakacjach przyszłam na egzamin ostatnia, a koleżanka mi mówi: *Stenia, ten Ludwiczak to pyta i pyta o ciebie, gdzie ty łazisz*. A... skoro pyta, to niech czeka.

Ale od tego czasu zostałam narzeczoną. Na czwartym roku koleżanka Lutka zrobiła prywatkę i zaprosili pana magistra. Odprowadził mnie później do domu i od tego czasu przetrwaliśmy 50 lat.

– Wybraliśmy się w podróż poślubną, ale zamiast na Wyspy Kanaryjskie pojechalśmy do Kudowy. Trzeba było się zarejestrować, staliśmy więc w kolejce. Chcieliśmy pokój małżeński. Poproszono nas o dowody, a tam się nie zgadzały nazwiska ona – Michalska a ja – Ludwiczak. Kierownik ośrodka pokręcił głową, gawiedź z tyłu mówiła coś o nocowaniu w parku na ławce. Na szczęście przytomnie zabrałem z domu dowód z urzędu stanu cywilnego, że jednak ślub wzięliśmy. To było w 1960 r. Kierownik domu wczasowego na szczęście to uwzględnił. Takie były czasy.



– Kiedy próbuję sobie przypomnieć, ile lat jestem na emeryturze, to zawsze pytam, ile Madzia – moja najstarsza wnuczka – ma

lat – 18. A..., to ja 18 lat jestem na emeryturze. Przy dobrym „obrocie stada” mógłbym jeszcze mieć prawnuki – tak właściwie podsumował swoją opowieść profesor Jan Ludwiczak.

Wiersz Magdaleny Ludwiczak (17 lat)

Mój dziadek

Jan Ludwiczak – profesor

Jan Ludwiczak – uczony

Jan Ludwiczak...

„Czy ma pan wnuki?” – pytają ludzie.

„Tak, mam” – odpowiada – „Dwie wnuczki”.

Dla innych profesor.

Dla innych uczony.

A dla mnie?

Mój dziadziu, co zawsze pomoże w biedzie, w problemach,

[no i w kłopotach.

I nie liczą się medale, które zakurzone na półce symbolizują

[mądrość, doświadczenie i wiedzę.

Patrz!

Dziadziu idzie. Lecz nie ma medali, bo to nie je chciałby mi

[podarować...

Lekko pochyła głowę, siwe włosy targa wiatr.

„Może kolejną partyjkę szachów, dziadziu?”

„Z miłą chęcią”

Idę za dziadkiem i wyobrażam sobie jego dawny świat.

Przesiąknięty odmiennością i zapachem innym niż dziś.

Wchodzę do domu dziadzia przepełnionego tą samą wonią

[i już wiem, co chciałby mi dać.

Przeszłość, która trzyma się jego serca i pamięci, i której

[nie chciałby odrzucać w ką.

...,Piorun trzasł, znowu wygrałaś!”

Wywiad Magdaleny Ludwiczak (18 lat) z dziadkiem, profesorem Janem Ludwiczakiem

Zrozumienie konieczności to ważna rzecz

– Dziadziu, jak się czujesz?

– A, dobrze. Im człowiek starszy, tym zdrowszy. Kiedy to mówię, patrzą na mnie jak na pomyłonego (śmiech). Ja po prostu czuję się zgodnie z moim wiekiem. Gdybym był młody, to bym pewnie inaczej myślał.

– Jakbyś myślał, dziadziu?

– Że jak mi coś dolega, to chyba jest nie w porządku. Teraz, jak mnie coś boli, myślę, że to normalne, przecież mam już swoje lata. Jak ma mnie dzisiaj nic nie boleć?

– Hm... Chyba masz rację. Choć przynajmniej nie musisz się tyle uczyć, co ja... Lubieś swoją szkołę?

– Tak, myślę, że tak. Przed wojną na pewno, potem już nie chodziłem do szkoły. Tak jak ty zacząłem naukę w wieku siedmiu lat – w szkole podstawowej w Salni. Była tam tylko jedna klasa i jeden nauczyciel. Lubiełem się uczyć.

– A co z wojną? Przecież rozpoczęła się właśnie wtedy, kiedy byłeś w szkole.

– A, czekaj, zaraz do tego dojdę. Po podstawówce przenieśliem się do gimnazjum, ale to już w Krotoszynie. Kiedy zaczęła się II wojna światowa, miałem właśnie zacząć trzecią klasę gimnazjum. Wtedy w radiu nadali, że rok szkolny rozpocznie się później, bo jest wojna.

– Pamiętasz komunikaty?

– Nie. Ale pamiętam, że w pierwszych dniach wojny widzieliśmy taką akcję: stojąc na wzgórzu zauważyliśmy nadlatują-

cy samolot, który zbombardował wieś leżącą tuż przy granicy. A my mieszkaliśmy pięć kilometrów od niej.

– Nie baliście się, że was zaatakują?

– Baliśmy się. Dlatego też w tych pierwszych dniach uciekliśmy do wsi oddalonej o trzy kilometry, żeby w razie czego uciec przed Niemcami. W gospodarstwie został tylko mój ojciec. Przecież ktoś musiał pilnować dobytku. Czekaliśmy, ale nic się nie działo. Niemcy zaatakowali Polskę od północy i południa, ale my nie byliśmy tak bardzo narażeni na atak. Wróciliśmy. Wojna trwała dalej, ale nie w poznańskim. Zresztą, wiesz dlaczego w Wielkopolsce nie było powstania w czasie II wojny?

– Dlaczego?

– Bo Niemcy zakazali!

– Czy widać u was było, że trwa wojna? Latały samoloty, bombardowano okolicę, przechodzili żołnierze?

– Samoloty latały. Gdzieś tam w oddali słychać było odgłosy bombardowania, ale bardzo rzadko. Widoczna była jednak przynależność poznańskiego do Rzeszy, szczególnie po zmianie jego nazwy na Wartegau.

– A co wy robiliście w tym czasie?

– Przede wszystkim pracowaliśmy na roli i chodziliśmy na roboty do Niemców. Najgorszą rzeczą w czasie okupacji było wysiedlanie rolników z gospodarstw przekazywanych Niemcom, którzy przybywali zamieszkiwać na „nowych terenach”. Był u nas taki jeden Niemiec, Mann, „wielki pan” w porównaniu z nami. Przejęto wszystkie gospodarstwa oprócz naszego i Pypłowskich, naszych sąsiadów.

– Mieliście szczęście!

– Szczęście jak szczęście. Mannowi głupio było zabierać nasze gospodarstwa wcześniej; chciał je zabrać po wojnie.

– Ale was na szczęście nie wysiedlili.

– Nie, ale w 1945 r., tuż pod koniec wojny, musieliśmy przyjąć do siebie niemiecką rodzinę. A nie było nas mało – rodzice, nas pięcioro rodzeństwa, kuzyn Hipolit, jego siostra i głuchy dziadek. Zaczął się radziecki front i Niemcy musieli uciekać na Zachód. Zimą Mann wziął dwa konie i wóz, i więcej go nie widzieliśmy.

– Zaczął się front i znowu walki?

– Tak, ale znów przechodziło to północą i południem. Czasami tylko przez Krotoszyn przejeżdżały czołgi. W tym samym roku, w styczniu, byłem w Wieluniu na przygotowaniach obronnych. Robiliśmy podkopy pod mostami, tak by bomby je wysadzały. Mniej więcej w tym samym czasie aresztowali ojca i Hipolita.

– Aresztowali ich? Dlaczego?

– No, wiesz. To było tak: w czasie wojny na świniobocie trzeba było mieć specjalne zezwolenie. A Hipolit bez zezwolenia zabił świnię i pojechał do Krotoszyna sprzedać mięso. Policjantom zaraz doniesiono, że na rynku pojawiło się dużo wieprzowiny. Szybko dotarli do sprzedawcy, czyli do Hipolita. Niemcy przyjechali do nas i bili go po twarzy za zabicie świni. Potem przeszukali stodołę i znaleźli pięć świńskich nóg. Co to za świnia z pięcioma nogami? Szukali więc dalej i trafili na resztki wieprzka, którego zabiliśmy dla własnych celów. Dlatego aresztowali dwóch: ojciec dostał pół roku, a Hipolit rok w więzieniu we Wronkach. Gdy kuzyn skończył odsiadywać karę, nie wrócił do domu. Wzięli go do obozu.

– Wzięli go do obozu?!

– Tak, trafił do Oświęcimia. Na szczęście wrócił żywy. Ojciec też trafiłby do obozu, gdyby nie to, że jakiś Niemiec potrzebował go do pracy. Front sowiecki to były trudne czasy. Bywało,

że na ulicach napotykalimy rozwalone czołgi. Kiedyś widziałem zabitego czołgistę, obok którego leżał list do matki.

– To straszne! Ale, ale, co z waszą edukacją, przecież byliście w wieku szkolnym?

– Wszystkie szkoły były pozamykane, kościoły również. W Białkach był jeden kościół, ale tylko otwierany na śluby. Jeżeli chodzi o naukę, to możliwe było tylko samokształcenie. Starsi, którzy zdążyli się czegoś nauczyć, uczyli młodszych.

– A coście myśleli o wojnie?

– Zakładało się, że wojna się niedługo skończy, skoro Sowieci się zbliżają. O powstaniu warszawskim słyszeliśmy przez radio. Najbardziej przeżywałem to, że ludzie męczą się i giną. Dochodziło do nas trochę informacji, ale właściwie ludzie żyli własnym życiem, starali się jakoś przeżyć.

– No dobrze, wojna się skończyła i co dalej? Wiem, że kontynuowałeś naukę.

– Tak. Rok uczyłem się w liceum na skróconym kursie. Bardzo wtedy dużo uczyli o marksizmie i leninizmie oraz o ZSRR. Potem, zainteresowany rolnictwem, wybrałem naukę na Akademii Rolniczej we Wrocławiu. We Wrocławiu dlatego, że byłem bardzo ciekawy nowych miejsc.

– Jak wyglądała nauka na Akademii?

– Nie było polskich profesorów ekonomii politycznej. Uczyli nas wykładowcy radzieccy. Dopiero po jakimś czasie przyszli polscy profesorowie. W programie uczono dużo o kołchozach, sowchozach, ekonomii socjalistycznych przedsiębiorstw rolnych. Ot, cała nauka o rosyjskim systemie.

– No i spotkałeś potem babcię!

– Tak, byłem asystentem, a ona akurat zaliczała jakiś przedmiot. Od razu zauważyłem, że przyszła ładna dziewczyna.

– I się pobraliście! Co potem?

– Dostałem przydział na mieszkanie i przeprowadziliśmy się tutaj. Wcześniej chorowałem trochę na serce. W 1968 r., kiedy się habilitowałem, wybuchły studenckie strajki i to mi trochę przysporzyło nerwów.

– Potem zostałeś profesorem nadzwyczajnym. Napisałeś sześćdziesiąt prac naukowych, trzy skrypty. A ile masz odznaczeń?

– Tak, dużo. Największego znaczenia nabrały wtedy, kiedy jako malutkie dzieci bawiłyście się nimi na podłodze. Kto by pomyślał, co może się stać z Krzyżem Kawalerskim Odrodzenia Polski!

– A poza tym byłeś najdłużej dziekanem na Wydziale Rolniczym.

– Kolega, który mnie zastępował na wykładzie powiedział o mnie: *Profesor Ludwiczak ma baranie serce*. Mam nadzieję, że pomylił barana z gołębiem a nie serce z głową...

– Babcia mówi, że ty byś wszystkim nieba przychylił. Co z twoimi pasjami? Na pewno brydż...

– Poza partyjką brydża zawsze byłem bezpartyjny!

– i założę się, że...

– Szachy z tobą, piorun trzasł!

– Jaki jest twój stosunek, dziadziu, do otaczającego i wciąż zmieniającego się świata? Czy coś cię dziwi, gorszy, przeraża?

– Raczej nie. Ja mam taką zasadę, że zrozumienie konieczności czyni człowieka wolnym. Po prostu przyjmuję nowe zmiany.

– A co teraz będziesz robił?

– Pewnie to, co zwykle. Zdrzemnę się troszeczkę.

Niespełnione marzenia o zagranicznych wojazach

Profesor Stanisław Kowaliński – wymagający i surowy, ale i sprawiedliwy. Niejednokrotnie stawał w obronie studentów, stawiając idee nad konsekwencjami zadzierania z władzą. To właśnie postać jego i rektora Badury najbardziej wryła się w pamięć prof. Jerzego Webera, a wtedy – młodego asystenta.

Jest rok 1972. W katedrze gleboznawstwa szukają geologa. Zgłasza się świeżo upieczony absolwent tego kierunku, wówczas – magister Jerzy Weber. Dziś doskonale pamięta, co powiedział do niego szef gleboznawstwa, prof. Kowaliński: *Ostrzegam, kariery finansowej to Pan tutaj nie zrobi.*

– Ale na tym mi wtedy aż tak bardzo nie zależało – mówi dziś z uśmiechem prof. Weber.

W ten sposób prof. Kowaliński zostaje jego szefem i naukowym opiekunem. Wymagający i surowy, a zarazem niezależny, sprawiedliwy. Nie ukrywa swoich poglądów politycznych i niechęci do PZPR, co na uczelni nie przysparza mu przyjaciół. Współpracuje z naukowcami na całym świecie.

– W tamtym czasie była to rzecz zupełnie nietypowa – podkreśla prof. Weber. – Był znany na Zachodzie, cieszył się szacunkiem w Polsce, tylko we Wrocławiu jakby niedoceniany – dodaje.

W 1968 r. poparł strajkujących studentów, co sprawiło, że władze zawsze patrzyły na niego krzywo.

Na początku lat 70., wkrótce po tym, jak młody magister Weber stał się asystentem na uczelni, w ramach wymiany zorganizowany został przez prof. Kowalińskiego wyjazd grupowy do Holandii.

– Było to dla mnie wielkie przeżycie – opowiada profesor. Jeszcze w trakcie studiów marzył o zagranicznych wояażach. Będąc na drugim roku geologii, w którymś czasopiśmie naukowym wyczytał, że szefem służby geologicznej w Nigrze jest Polak. Nawiązał kontakt i wraz z kolegą z roku postanowili, że zrobią wszystko, żeby się tam dostać na kilkumiesięczny staż. Wcześniej, w trakcie podróży autostopem do Bułgarii w 1968 r. poznał młodych Holendrów, którzy później odwiedzili go we Wrocławiu. Nie było możliwości bezpośredniego wyjazdu do Afryki, więc zaprzyjaźnieni w Bułgarii Holendrzy przystali zaaprobować wyjazd do Holandii.

– Mieliśmy nadzieję, że załatwią nam tam jakąś pracę w Holandii, szybko zarobimy na bilet i wyjedziemy do Afryki – tłumaczy Weber.

Złożyli podania o paszporty na wyjazd do Holandii, wzięli roczne urlopy na uczelni i szykowali się do wyjazdu. Potem pierwsze rozczarowanie – odmowa wydania paszportu.

Na zajęcia już nie chodził, chciał więc wykorzystać czas i wyjechać autostopem ponownie do Bułgarii, tym razem z innym kolegą. Wyjazd był możliwy na podstawie tzw. wkładki paszportowej – dokumentu umożliwiającego podróże po krajach demokracji ludowej. Poszedł więc z kolegą na komendę milicji; tam obydwaj złożyli odpowiednie wnioski. Za dwa tygodnie mieli się zgłosić po odbiór wkładek. W dniu odbioru, gdy milicjantka w okienku stwierdziła, że posiada wkładkę paszportową

z poprzedniego wyjazdu do Bułgarii, poprosiła, by ją oddał do przedłużenia ważności i zgłosił się następnego dnia.

– Gdy przyszedłem następnego dnia z samego rana, dostałem odmowę. Nie dość, że nie mogłem wyjechać, to jeszcze odebrali mi wkładkę. Okazało się, że dostrzeżono mnie na którymś ze strajków w 1968 r. No i szlaban. Chciałem wykorzystać jakoś ten czas, potem starałem się o wakacyjny wyjazd do Włoch, a tu odmowa, odmowa za odmową – opowiada Weber.

To właśnie dlatego tak niesamowicie przeżywał swój pierwszy wyjazd do Holandii w ramach wymiany kadry naukowej. Wspomina, że nawet, gdy autokar przekraczał granicę, on cały czas nie wierzył, że to możliwe. W trakcie kontroli w Słubicach był święcie przekonany, że zaraz wywołają go celnicy. Potem wyjechał po raz drugi – na trzytygodniowy staż do Szkocji. A pod koniec lat 70. nadarzyła mu się kolejna okazja do wyjazdu – tym razem dłuższego, za ocean.

Prof. Stanisław Kowaliński na którymś z kongresów spotkał bowiem swojego znajomego prof. Douglasa, amerykańskiego gleboznawcę, który szukał do grantu badawczego kogoś, kto zajmowałby się mikromorfologią gleb. Polski naukowiec rekomendował właśnie Webera.

– Znowu niesamowite plany – inny kontynent, zachodnia pensja. Był rok 1978. Planowaliśmy z żoną, że zapożyczymy się na samolot, pojedę, a potem ściągnę ją i dzieci – opowiada Weber.

No, ale najpierw trzeba było dostać paszport. Krótco po złożeniu odpowiedniego wniosku Weber dostaje telefon z rektora. Wraz z prof. Kowalińskim idzie do prorektora ds. nauki. Okazuje się, że komitet uczelniany PZPR negatywnie zaopiniował jego wyjazd do USA. Prorektor powiedział smutno, że w tej sytuacji nie może wyrazić zgody na podróż. A chodziło

tylko o zgodę na urlop bezpłatny, będący podstawą ubiegania się o paszport.

– Poszedłem do działu współpracy z zagranicą i zapytałem, czy mogę zobaczyć tę opinię. Pracowniczka Działu wydała mi pismo. Zapytałem, czy mogę to skopiować. Powiedziała, że tak – mówi Weber.

Krótko po tym przysłała informacja, że szykuje się dyscyplinarne zwolnienie Webera z pracy, ponieważ „podstępnie wykradł dokument tajny”.

– Wróciliśmy z powrotem do Działu i oddaliśmy pismo. W końcu nie zostałem zwolniony, ale była to wielka afera, bo widziałem dokument, gdzie widniały nazwiska pracowników, którzy tę opinię wydawali – mówi Weber.

Kogo, oprócz prof. Kowalińskiego, pamięta najlepiej? Wyjątkową postacią był jego zdaniem rektor prof. Ryszard Badura. Rządził uczelnią, gdy Weber był przywódcą Solidarności, więc siłą rzeczy staliśmy po przeciwnych stronach barykady. Raz nawet Weber wraz z kolegami... okupował gabinet rektora.

– Chodziło o jakąś administracyjną sprawę. Chcieliśmy dostać odpowiedź, twierdzącą albo przeczącą, ale na piśmie – wyjaśnia Weber.

Badura powiedział, że nie może jej dać. W tej sytuacji prof. Weber wraz z kolegami stwierdzili, że będą siedzieć w gabinecie, dopóki nie dostaną odpowiedzi. *Jak to, Panowie, będziecie tu siedzieć?* – pytał zaszokowany rektor Badura. *Będziemy, nawet kilka dni* – odpowiedzieli niezrażeni.

Rektor wyszedł z gabinetu do drugiego pokoju, żeby zadzwonić do ministerstwa. Gdy wrócił, zapytał: *Czy Panowie opuście mój gabinet, jeśli obiecuję, że jutro będzie pozytywna opinia?*

Zaufaliśmy i rzeczywiście, następnego dnia obietnica została spełniona.

– Byliśmy wprawdzie przeciwnikami, ale mieliśmy do siebie szacunek. On zawsze grał *fair* – podkreśla Weber.

W marcu 1980 r. miał ciężki wypadek samochodowy. Z jego malucha zostało niewiele, a jego samego w ciężkim stanie przewieziono do szpitala. Lekarze powiedzieli żonie, że dopiero za kilka godzin będzie wiadomo, czy w ogóle z tego wyjdzie. W szpitalu pojawił się też prof. Badura, zapewnił u kierownika kliniki najlepszą opiekę lekarską i załatwił przeniesienie do innej, mniejszej sali.

– Człowiek z klasą – podsumowuje Jerzy Weber.

Kiedy stwarzanie staje się pasją³²

Do niedużego, przytulnego gabinetu w budynku przy ul. Kozuchowskiej 7 profesor Bolesław Nowicki przychodzi codziennie o 13.00, ponieważ w tym czasie karmi swoje stado gołębi, które mieszka w budynku naprzeciwko. To są gołębie Wrocławskie Mięsne – nowa rasa, którą profesor stworzył. W tygodniu, w którym rozmawiamy, profesor ukończył 80 lat.

Przez dziesiątki lat profesor Bolesław Nowicki wykładał studentom, jak się tworzy rasy zwierząt gospodarskich, w końcu doszedł do wniosku, że trzeba sprawdzić, czy sam potrafi to zrobić. Nie było mowy o tym, żeby wyhodować jakąś nową rasę bydła, na takie badania profesor zwyczajnie nie miał pieniędzy. Zdecydował się zatem poeksperymentować na gołębiach, na których znał się od dzieciństwa. Nie cieszyły się one wówczas szczególnym zainteresowaniem badaczy, a nawet w kontekście zwierząt nadających się do jedzenia były traktowane z przymrużeniem oka.

Swój eksperyment z gołębiami profesor zaczął w 1990 r. Postanowił wyhodować rasę o – jak to się fachowo określa – mię-

³² Tekst opublikowany pierwotnie w „Głosie Uczelni” nr 203, 2011.

snym kierunku użytkowania. To też lepiej brzmi. Do eksperymentów wybrał rasy Gołębka Pocztowego, Rysia Polskiego i Kinga Amerykańskiego. Gołąb Pocztowy podlega selekcji zootechnicznej, która jest zbieżna z selekcją naturalną, to nieczęsty przypadek. Obie wraz z Rysiem Polskim preferują szybki lot, silne mięśnie, powrót do domu i rodzicielskie instynkty. Rys Polski jest rasą mięsną, przystosowaną do warunków polskich, do specyfiki naszych makro- i mikroregionów. Profesor skrzyżował najpierw te dwie rasy, a następnie ich potomstwo z samiecą King Amerykański – typowo mięsnym gołębiem, potężnym, o masie ciała przekraczającej jeden kilogram.

Profesor chciał wyhodować rasę, która miałaby dobre cechy mięsne i zachowała zdolność do lotu. Nie było sensu tworzyć cięższych niż amerykańskie gołębi, bo wtedy trzeba byłoby je trzymać w wolierze, a wtedy to już lepiej zdecydować się na kury. Hodowcy chcieli, żeby gołąb dawał smaczne, pożywne mięso, ale żeby swoim lotem dostarczał też wrażeń estetycznych.

– Udało mi się. Interesowały mnie podczas tej pracy i inne sprawy – wspomina profesor Nowicki. – Otóż, żeby nową rasę skonsolidować, trzeba stosować kojarzenie krewniacze, chciałem osobiście się przekonać, ile gołębi młodych, będących efektem kojarzenia krewniaczego, będzie wybrakowanych – słabych, może bezpłodnych. Nigdy w żadnym podręczniku nikt nie napisał, jaki procent zwierząt gospodarskich podczas kojarzenia osobników pokrewnych trzeba wybrakować. Przekonałem się, że bardzo duży. Kojarząc w pokrewieństwie jakąś parę, można uzyskać 80% wspaniałych sztuk, zgodnych ze wzorcem, a od drugiej pary tylko 20%, a od trzeciej i czwartej – nic.

Po 10 latach profesorowi udało się skonsolidować rasę i przedstawić na wystawie. Przez trzy kolejne lata przynosił przedstawicieli nowej rasy do oceny, a w czwartym roku pokazał rodzi-

ców i potomstwo, żeby komisja mogła sprawdzić, czy cechy są wiernie przekazywane. W 2000 r. zatwierdzono rasę Wrocławską Mięsną, precyzując jej walory.

Stworzenie nowej rasy gołębi było wielkim sukcesem profesora Bolesława Nowickiego. Temu pomysłowi poświęcił 10 lat, a później kolejne dziesięć, ponieważ codziennie przychodzi, chociaż stawy odmawiają mu już posłuszeństwa, i karmi je, poi, szczepi, podaje witaminy, utrzymuje w dobrej kondycji. Stado profesora liczy dzisiaj 60 latających gołębi, a młodych – chyba drugie tyle.

– Udostępniłem stado studentom. Chciałem, żeby korzystali z efektów mojej pracy – mówi profesor Nowicki i dodaje, że w ciągu ostatnich dziesięciu lat powstało dzięki temu 15 prac magisterskich, dwie prace doktorskie i szereg artykułów.

Jeśli w gołębniku temperatura jest stale dodatnia, gołębie cały rok znoszą jaja.

– Ludzie hodują moje gołębie, znam hodowców z Konina, Gorzowa Wielkopolskiego, Gniezna i Górnego Śląska. Ptaki pojechały nawet na Uniwersytet do Olsztyna.

Profesor Nowicki jest autorem kilku podręczników o gołębiach, ich hodowli i rasach. Dzięki jego badaniom i publikacjom wzrosło zainteresowanie gołębiami, na innych uczelniach dostrzeżono, że poważne zajmowanie się gołębiami nie jest niczym wstydliwym ani błahym. Wciąż jednak nie ma jednak hodowli przemysłowej, a przecież to gołębie do jedzenia.

Profesor Nowicki mówi, że mięso gołębia jest smaczne, lekkostrawne, a rosół z tego ptaka delikatny i chudy. Tylko, że nie ma gołębi w menu żadnej restauracji. Ani w żadnym sklepie. U nas króluje wieprzowina, wołowina i kurczak, rzadko indyk i kaczka, i nic więcej. Cielęcina, jagnięcina, króliki, konina i gołębie – to fanaberie.

– Kiedyś zaproponowałem narzekającym sąsiadkom-eme-rytkom – opowiada profesor – że przyniosę im gołębie do konsumpcji, ale nie chciały, bo trzeba sobie wypatroszyć i oskubać. Gdyby były już przygotowane, oczyszczone i posolone, to może by spróbowały.

Tymczasem na przykład w Chinach są farmy gołębi mięsnych, liczące po milion sztuk; czyli opłaca się. Gołębie niewiele jedzą, szybko się rozmnażają i zajmują niewiele miejsca. W społeczeństwie odchudzającym się mięso gołębie byłoby hitem. Profesor widzi możliwości, ale nie ma chętnych, którzy by je wykorzystali.

Wystąpienie

doktora honoris causa prof. zw. dr. hab.
Tadeusza Garbulińskiego
podczas uroczystości nadania tytułu

Z profesorem Tadeuszem Garbulińskim nie zdążyliśmy przeprowadzić wywiadu. Odszedł 25 lutego 2011 r. Wszyscy pamiętają go jako nie tylko wybitnego uczonego, nauczyciela i mistrza oraz dobrego rektora, ale także świetnego mówcę, który każde swoje przemówienie umiał wygłosić z zadziwiająco dobrą dykcją i starannością. Profesor Garbuliński wiedział, że to, CO się mówi, lepiej dociera do słuchaczy, jeśli mówca wie, JAK to powiedzieć.



*Magnificencjo, Wysoki Senacie,
Dostojni Goście, Szanowni Państwo*

Laudacja wygłoszona przez Pana Dziekana przypomniła mi pierwsze kroki naukowego dzieciństwa. „Młodość nawet z błędami jest piękna!” W jesieni życia już tylko wspomnienia drzemią w pamięci. I szczęśliwy ten, w którego myślach ożywają najczęściej wspomnienia miłe, najcieplejsze. Łagodzą one gorz-



ki smak pamięci rzeczy utraconych, zdarzeń nie chcianych, celów nie spełnionych.

Spojrzenie wstecz, w przeszłość, przywołuje na pamięć werset poety:

Jakie dobrać słowa, jakie dobrać nuty, aby nie brzmiały niby śmiech na grobie, i poprzez wszystkie skargi i wszystkie zarzuty pozostać wiernym – wiernym, wiernym sobie.

Dzień ten, nad wyraz dla mnie uroczysty, ma swoją przeszłość – ma swoje ściśle związki z nazwiskami wybitnych profesorów przybyłych tutaj ze Lwowa. A to z mym naukowym nauczycielem, profesorem medycyny Andrzejem Klisieckim i również z profesorami, którzy kiedyś zdecydowali o powierzeniu mi katedry: Aleksandrem Zakrzewskim, Gustawem Poluszyńskim, Kazimierzem Szczudłowskim i Antonim Bantem.

Nie byłem w tym względzie wyjątkiem. Profesorowie nie szczędzili uczniom swoim pomocy i własnych przemyśleń. Oni to przekazali nam mądre zasady, że:

- twórca pozostaje wierny dewizie: poznać, zrozumieć, wyrazić,
- że życie bogatsze jest od najmądrzejszej księgi i tylko trzeba chcieć wejść w nie głęboko,
- i że niepospolitemu zjadaczowi chleba łatwiej jest żyć, gdy poprzez swój trud i obowiązki umie także dostrzec, jak wiatr czyści niebo i posłuchać, jak płacze zimą nad milczącym lasem.

Jestem szczęśliwy, że w tak szczególnie ważnym dla mnie dniu mogę mym nauczycielom i wszystkim tym, którzy zapisali swe imię w uczelnianej karcie świetlanej pamięci, poświęcić w hołdzie wspomnienie, oddając tym samym cześć nauko-

wym ojcom i korzeniom naszym. Albowiem wszystko co jest i co jeszcze powstanie w tej Uczelni, ma swój początek w przeszłości. Od naszych nauczycieli i naszych poprzedników przejmujemy obyczaje akademickie, tradycje i pamięć o rodowodzie z przesłaniem, że tradycje należy pielęgnować tak, jak ongiś w izbie naszych przodków z oddaniem pilnowano żaru domowego ogniska.

Były to osobowości obdarzone przymiotami prawdziwie humanistycznymi, pełne godności i kultury współżycia w szacunku i wzajemnej życzliwości, której nigdy nie jest za wiele. O Uczelni swej mówili jak o matce, która umie tak rzeźbić dusze swych dzieci, że wyrastają na ludzi dobrych jak chleb i świadomych nadrzędnych zadań światłego człowieka.

Wszyscy oni byli mi zawsze życzliwi i na zawsze imiona ich pozostaną w mej pamięci. A „wierna i wdzięczna pamięć wśród przymiotów ludziom danych, jest najpiękniejszym darem, jaki można ofiarować i jakiego się pożąda”.

Pragnę zakończyć tę wypowiedź słowami szczerego podziękowania za to szczególnie zaszczytne wyróżnienie akademickie, jakim jest doktorat honorowy. Z głębokim szacunkiem kieruję podziękowania do Jego Magnificencji Pana Rektora i Wysokiego Senatu, do mego Pana Dziekana i Rady Wydziału Medycyny Weterynaryjnej, która swoją uchwałą zainicjowała drogę do tej uroczystej dla mnie chwili. Potrafię docenić wagę okazanego mi dziś szacunku i uznania. Bardzo serdecznie dziękuję.



Jak powstał napis na uczelnianym sztandarze

– W 1970 roku zwrócił się do mnie zarząd wrocławskiej Izby Rzemieślniczej z propozycją ufundowania dla uczelni sztandaru – wspomina profesor Ryszard Badura. – Zacząłem zastanawiać się, co mogłoby być na nim napisane – nie można było użyć słowa akademii ani tym bardziej uniwersytet. Byliśmy od dwudziestu lat Wyższą Szkołą Rolniczą.

Profesor pełnił wówczas – od 1969 r. – funkcję rektora. Jednym z głównych celów, jakie sobie postawił, była właśnie zmiana nazwy uczelni. Dotychczasowa, narzucona w 1951 r., wszystkich mierzyła.

– Byliśmy zaraz po wojnie wielkim uniwersytetem. Po pierwsze rozbito z przyczyn politycznych wielką strukturę uniwersytecką, a po drugie wyodrębnioną uczelnię rolniczą nazwano za ledwie wyższą szkołą, nie akademią.

Były to czasy stalinowskie, lata ogromnej niepewności, w których mieszała się radość z przeżycia wojny i chęć jak najszybszego przywrócenia temu życiu normalności ze strachem przed Niemcami, którzy mogą na swoje ziemie powrócić



i przed bolszewikami, których zwłaszcza ekspatrianci z Kresów dobrze znali. Dlatego też decyzje władz komunistycznych o podziale Uniwersytetu i Politechniki zostały przez profesurę – jak wspomina to profesor Badura – przyjęte z milczeniem, tylko studenci tego przełomowego roku bardzo się spieszyli z ostatnimi egzaminami, żeby uzyskać jeszcze dyplom Uniwersytetu i Politechniki.

– Kiedy objąłem stanowisko rektora, pomyślałem, że muszę zrobić wszystko, żeby tę nazwę zmienić, to mi się udało w 1972 r. Dlatego trzeba było się dobrze zastanowić, co na tym sztandarze napisać. Doszedłem do wniosku, że najlepiej będzie ułożyć napis po łacinie. Poprosiłem profesorów Andrzeja Hlibowickiego z geodezji i Lesława Ogielskiego z weterynarii, którzy ukończyli klasyczne gimnazja, aby zaproponowali jakąś nazwę, do której nikt by nie mógł się przyczepić – wymyśliłiśmy *Academia Rerum Rusticarum Wratislaviensis*.

Profesor Badura urodził się w 1923 r. w Trzebini, a w Chorzowie ukończył 4 klasy gimnazjalne z tzw. małą maturą. Podczas wojny kształcił się samodzielnie w domu. Zaraz po zakończeniu działań wojennych zostało otwarte Liceum Administracyjne, gdzie wraz z dwudziestoosobową grupą przez dwa miesiące, eksternistycznie przygotowywał się do matury, do której przystąpił podczas wakacji. Profesor wraz z trzema kolegami postanowili przyjechać na studia do Wrocławia.

– Wysiedliśmy późnym wieczorem na Dworcu Nadodrze z jedną niewielką teczką w rękę i nie bardzo wiedzieliśmy, w którą stronę się obrócić. Gruzowisko wokół robiło potworne wrażenie, rozlegały się wrzaski. Jakiś młody człowiek, który na kogoś czekał na dworcu, zagadnął nas i zaproponował nocleg na Krzykach, w domu przy ul. Kasztanowej. Mieszkaliśmy u niego tydzień, a później przeprowadziliśmy się bliżej uczelni.

Profesor wspomina, że przy ulicy Curie-Skłodowskiej tuż przed Mostem Zwierzynieckim stał dom Bratniej Pomocy, w którym nowoprzybyli studenci mogli przenocować i zjeść (makaron z sosem pomidorowym), zanim się nie zorganizują. Jeździł tamtą trasą jedyny czynny wówczas we Wrocławiu tramwaj nr 1. Pustych mieszkań stało bardzo dużo. Można było w jednym się zatrzymać, a z drugiego poprzemnieść sprzęty, tylko że jak się człowiek urządził i wyszedł, natychmiast go okradli. W mieście roiło się od szabrowników.

– Szukając odpowiedniego mieszkania, spotkaliśmy Niemca, który zaproponował nam pokój na Biskupinie, w domu, który też zajmował wraz z inną rodziną niemiecką. Zamieszkaliśmy tam i założyliśmy taką spółdzielnię pisania podań. Niemcy składali podania do władz polskich, a myśmy te podania tłumaczyli z języka niemieckiego, w taki sposób trochę zarabialiśmy. Dobrze wspominam naszych niemieckich sąsiadów. Wkrótce nasza czwórka rozpadła się – dwóch kolegów pochodzących z Katowic postanowiło wrócić na Śląsk. Natomiast z Wiktorem Olszowskim trzymaliśmy się razem do końca studiów, znaliśmy się od gimnazjum.

Profesor rozpoczął studia w 1945 r., trwały one 5 lat, ukończył je w 1950 r. Podobnie jak prof. Zbigniew Samborski oraz Zenon Dubień i jego żona Aleksandra. Kiedy zastanawiał się, której dyscyplinie powinien się poświęcić, dr Zbigniew Madej podpowiedział mu: *Chcesz się nauczyć zawodu? Idź do Szczudłowskiego*. I prof. Ryszard Badura znalazł się w katedrze chirurgii, a jego mistrzem pozostał profesor Kazimierz Szczudłowski.

– Ogromną radość w życiu sprawiło mi objęcie katedry, którą mogłem kształtować według własnej wizji. Rozwinałem współpracę z medykami. Prof. Tadeusz Sobiech, który w tym czasie był dziekanem, mianował mnie pełnomocnikiem ds. rozwo-

ju wydziału, poświęciłem się budowie kliniki chirurgii, która ostatecznie powstała w 1980 r., jako ostatnia z czterech klinik. Był to na owe czasy bardzo nowoczesny obiekt. Zostałem prodziekanem, a później wezwał mnie prof. Aleksander Zakrzewski i poinformował, że w następnej kadencji będę dziekanem i tak to szło dalej.

Profesor Ryszard Badura przez 20 lat pełnił na uczelni funkcje kolejno prodziekana i dziekana Wydziału Medycyny Weterynaryjnej oraz prorektora i przez cztery kadencje rektora Akademii Rolniczej we Wrocławiu, przewodniczył kolegium prorektorów, a później rektorów szkół wyższych Wrocławia.

Z myślą o przeszłości i przyszłości

Rozmowa z profesorem Tadeuszem Szulcem

Ewa Jaworska: Zastanawiałam się, z którym bohaterem literackim Pan mi się kojarzy. Najbardziej chyba z głównym bohaterem powieści Hermanna Hessego pt. „Gra szklanych paciorków”. Kiedy wkraczał on na drogę nauki, narrator tak to komentował: „Istnieje wiele sposobów i rodzajów powołania, sedno jednak i sens tego przeżycia są zawsze jednakie: dusza zostaje przez nie zbudzona, odmieniona, a siły jej wzmożone wskutek tego, iż oto zamiast marzeń i przeczuc wewnętrznych pojawia się nagle zew z zewnątrz, ingeruje w nie fragment rzeczywistości”. Co było w Pana przypadku tym fragmentem rzeczywistości?

Tadeusz Szulc: Często w życiu przypadek rządzi o wielu rzeczach, które nas dotyczą. Cały czas byłem przekonany, że będę pracował w praktyce, miałem stypendium ufundowane przez Wojewódzkie Zrzeszenie Państwowych Gospodarstw Rolnych,



ale pewnego dnia na piątym roku poprosił mnie profesor Jerzy Juszcak i zaproponował, żebym został, że jest w stanie załatwić zwolnienie mnie z obowiązku pracy w miejscu, z którego pobierałem stypendium. I tak zostałem.

EJ: Więc jednak postać mistrza.

TS: Profesor zaprosił, choć jednocześnie uprzedził, że dostanę jako asystent 900 zł, co na dzisiejsze czasy też można przeliczyć na tyleż samo. To była więc trudna decyzja. Poza tym uważałem i tak też mówiłem profesorowi, że nie przystaję do wizji pracownika naukowego, że nie bardzo wyobrażam sobie siebie w tej roli. Może wynikało to z tego, że pochodziłem z małej, technikum rolnicze kończyłem też w małej miejscowości i Wrocław był dla mnie nico przytłaczający, takie okno na świat, a uczeni wydawali się czymś nieosiągalnym. Profesor Juszcak przekonał mnie, że praca na uczelni to też dalszy etap współpracy z młodzieżą, a ja lubię ludzi.

EJ: Co Pan otrzymał od swojego mistrza?

TS: Profesor Juszcak przede wszystkim dał mi wolność. Ma on duży dystans wobec różnych spraw, które się wokół dzieją. Kiedy byliśmy czymś podenerwowani, zawsze nas uspokajał, mówiąc, że to ma małe znaczenie wobec przeszłości, wobec życia i spraw ostatecznych. Kiedy musiałem wyjść i przyszedłem zwolnić się u profesora, ten zapytał mnie: *A czy ja się u Pana zwalniam? Pan musi być samodzielny, Pan musi sam decydować.* Na tym polegała wolność, której profesor Juszcak nas uczył i którą nas zarzązał. Nigdy w katedrze nie było systemu nakazowo-rozdzielczego i to stworzyło mi szansę na rozwój. Zresztą na swojej drodze miałem szczęście spotkać wielu wspianiałych ludzi.

EJ: Jacy inni nauczyciele wywarli na Pana największy wpływ, o czyje legendy Pan się otarł?

TS: Miałem zajęcia z prawie wszystkimi wielkimi mistrzami tej uczelni. Pierwszy egzamin zdawałem u prof. Stanisława Tołpy, następnie miałem zajęcia z profesorami Konopińskim, Olbrychtem, Świętochowskim, następnie z prof. Wojtysiakiem, w katedrze prof. Senzego przygotowywałem pracę magisterską. To byli ludzie powszechnie znani i szanowani. To były naprawdę wielkie, barwne postacie, wnoszące powiew inności, charyzmy, nowoczesności, nawet ich zachowania kontrowersyjne też nas czegoś uczyły. Mówiąc o wspaniałych ludziach, mam na myśli nie tylko dawnych mistrzów, którzy położyli fundamenty, ale też współpracowników, z którymi udawało się zmieniać tę uczelnię. Należą do nich wspaniali dziekani i prorektorzy mojej kadencji, a szczególnie prof. Tadeusz Trziszka, z którym nierzadko rozwiązywaliśmy problemy o pierwszej w nocy – każda pora była dobra na pracę. Tę wolność przy współpracy, której nauczył mnie prof. Juszcak, hołubiłem na wszystkich urzędach, jakie zajmowałem, nikt nie hamując, wszystkie pomysły ludzi uważałem za warte przedyskutowania.

EJ: A co z różnicami politycznymi? Czy miały znaczenie? Sprawował Pan różne znaczące funkcje na uczelni w okresach przełomowych – prodziekanem był Pan podczas stanu wojennego, a prorektorem podczas obrad okrągłego stołu.

TS: Przed procesem transformacji byłem członkiem PZPR. Chciałem coś zrobić i zmieniać. W każdym młodym człowieku drzemią pokłady patriotyzmu. Kiedy jednak chcieliśmy coś

radykałnie na uczelni zrobić, odbijaliśmy się od ściany – gorset był ciasny i panowała wszechogarniająca niemożność. Pewną wolność uzyskaliśmy po stanie wojennym, kiedy uczelnie zaczęły dostawać pierwszą dozę autonomii, a pełną po 1990 r. Nadszedł właściwy czas na zmiany, a proszę mi wierzyć, warunki pracy i studiowania były siermiężne, przeszkadzała mi dość powszechna szarość.

EJ: Jakie radykalne zmiany zdecydował się Pan w pierwszym rządzie przeprowadzić?

TS: Wydział Zootechniki był w siedmiu miejscach Wrocławia, a jeśli miał się rozwijać nie mógł być rozlokowany w siedmiu miejscach, w jakiś willach zupełnie nieprzystosowanych na laboratoria czy sale wykładowe. Jak tylko objąłem funkcję dziekana, pojechaliśmy z prof. Jerzym Presiem do ministerstwa, żeby zabiegać o zgodę i fundusze na budowę kampusu. Nikt z nami nie chciał rozmawiać, ale pracujący tam w inwestycjach starszy, już osiemdziesięcioletni pan powiedział nam, żebyśmy jeszcze raz przyszli i nie odpuszczali, powiedział: *nie znam takiego, co bardz pragnął i nie zrealizował swojego celu..* Dyrektor departamentu docenił nasz upór i przyjął nas, ale zgodę na rozbudowę Wydziału uzależnił od poparcia siedmiu województw w makroregionie. Wydawało się to nie do zrealizowania, ale zaczęliśmy jeździć z prof. Presiem i Juszczaikiem, i wszystkie zgody uzyskaliśmy, a nawet deklaracje, że przez pięć lat województwa będą wspierać finansowo inwestycję. Minister nie miał już argumentów, choć nie obyło się bez drobnego szantażu.

EJ: ?!

TS: Kiedy przyjechaliśmy po tę zgodę, odbywała się ważna narada w sprawach i szef departamentu chciał nas zbyć. Zapytałem wówczas, czy w znanej mu kontrowersyjnej sprawie, mam zabrać głos podczas tej narady? Ostatecznie wołał już dać tę zgodę.

EJ: Historie lubią się powtarzać - to mi przypomina perypetie prof. Antoniego Banta w ministerstwie w sprawie rozbudowy weterynarii.

TS: Być może. W każdym razie po kilkunastu latach, konkretnie ostatni obiekt otwierałem po 17 latach od tamtych wydarzeń, Wydział został skupiony w jednym miejscu, na Biskupinie.

EJ: A jaka była Pańska wizja uczelni?

TS: To samo dotyczyło uczelni. Na przedwyborczych spotkaniach powiedziałem po pierwsze, że nie chciałbym, żeby moje dziecko albo wnuk przyszło do tej uczelni i dowiedziało się, że kiedyś to była wyższa uczelnia a teraz jest college. Po drugie to był czas trudny, ale nasza uczelnia leży przy ul. K.C. Norwida, a ten pisał, że „kto czasu nie wykorzystuje, tego czas nie szanuje”, więc trzeba wykorzystać tę chwilę, która jest, maksymalnie jak się da. No i po trzecie, podobnie jak Wydział Zootechniki, cała uczelnia była rozczłonkowana po mieście w wielu miejscach. Uznałem, że powinna być w dwóch – przy Placu Grunwaldzkim i na Biskupinie. Senat przyjął tę koncepcję i wspólnym wysiłkiem konsekwentnie ją realizowaliśmy. Trzeba wspomnieć, że uczelnie świata rozwijają infrastrukturę dla studentów, my także tego chcieliśmy – kolejni rektorzy: prof.



Jerzy Juszcak, prof. Jerzy Kowalski, w końcówce również i ja zabiegaliśmy o rozbudowę hali sportowej i budowę pływalni. Studenci chcą studiować w kulturalnym miejscu, gdzie mogą realizować różne swoje potrzeby. Otworzyliśmy dziewięć nowych kierunków studiów, dostosowanych do potrzeb rynku, dając studentom wspaniałą alternatywę. Kolejną kwestią było wcielenie w życie idei, aby uczelnia istniała w co najmniej makroregionie, aby była rozpoznawalna i potrzebna. Towarzyszyliśmy więc w różnych inicjatywach, które były podejmowane w powiatach, województwach itp. Zdarzały się momenty sympatyczne, kiedy marszałek województwa mówił, że w mieście Wrocławiu najważniejszą uczelnią dla makroregionu jest Akademia Rolnicza. Otworzyliśmy wtedy siedem zamiejscowych punktów kształcenia. To była wspaniała rzecz - daliśmy szansę rozwoju tysiącom młodych ludzi, którzy nie mieli szans na studiowanie w mieście. Uważałem, że nasi pracownicy powinni być w różnych strukturach państwowych, uważałem, że jeżeli nas tam nie ma, to nie mamy racji, nie zostaniemy dostrzeżeni. Kiedy mówimy o wizji uczelni rolniczej, to trzeba powiedzieć też, że poza nowoczesnością doświadczalnych zakładów rolniczych, powinna ona mieć nowoczesną przestrzeń przyrodniczą, rekreacyjną – stąd inicjatywa stworzenia arboretum z pałacem, który dzisiaj pełni inną funkcję niż wcześniej i wpieranie utworzenia Ośrodka Badań Środowiska Leśnego i Zwierząt Łownych. Oczywiście, wszelkie decyzje łączyły się z kontrowersjami, z czymś niezadowolaniem, ale trzeba być upartym. W momencie, kiedy człowiek utwierdzi się w przekonaniu, że to, co robi jest słuszne, to trzeba z pełną determinacją to robić. Oczywiście, to wszystko, czego udało się dokonać, nie jest moją osobistą zasługą – to zrobili ludzie. Cały sztab współpracowników. Nie sposób nie docenić osoby naszego kanclerza, Mariana

Rybarczyka. Człowiek bardzo inteligentny, taktowny, umiejący współpracować z rektorami i ludźmi na wszystkich szczeblach. To jest wielka postać.

EJ: Poza uporem, jakimi innymi cechami powinien charakteryzować się dobry przywódca?

TS: Jeżeli ktoś decyduje się objąć jakieś stanowisko, musi pamiętać o tym, że nie będzie panował, bo jeżeli ktoś chce przyjąć urząd dla osobistego prestiżu lub pozornego splendoru, to jest to najgorsze, co może ten urząd spotkać i ludzi, którzy muszą współpracować. Każdy więc powinien mieć jakąś wizję tego urzędu. Musi umieć zjednać sobie ludzi, bo jeśli będzie robił wszystko wbrew ludziom, to prędzej czy później ludzie będą działać przeciwko niemu. Musi być otwartym dla ludzi i otoczenia. Otoczenia dlatego, że sami wiele nie zdołamy, musimy mieć przyjazne stosunki z urzędem marszałkowskim, z wojewodami, starostami, prezydentami miast, my od nich też się uczymy i zyskujemy różne wartości. Trzeba też być sprawiedliwym i uczciwym w tym, co się robi. Jeśli ludzie zobaczą, że „moje jest bliżej”, zaczną działać tak samo, dla siebie, a nie dla wyższego dobra, jakim jest uczelnia. Trzeba być otwartym na świat, patrzeć na innych. Moja mama zawsze mi powtarzała, popatrz na lepszych od siebie. Myślę, że jeśli ktoś zawrze te wszystkie elementy, to ma sukces gwarantowany.

EJ: Od kogo odbierał Pan najwięcej wskazówek?

TS: Kiedy tak prześledzę całe życie, to myślę, że największe piętno wywarła na mnie moja mama. Urodziłem się na wsi, w bardzo biednej rodzinie. Mama była bardzo pracowita, twór-

cza, aktywna, kochającą, miała pewien fenomen, że cała wieś ją lubiła, wszystkie dzieci nazywały ją chrzestną. Od dziecka musiałem też ciężko pracować. Dzisiaj trudno sobie wyobrazić, że ośmio-, dziesięcioletnie dziecko szło w pole i dostawało zadania. Mój ojciec był grał również na zabawach, weselach, w związku z czym ja też byłem angażowanym – grałem na perkusji, akordeonie, harmonii. Jako dziecko miałem dużo obowiązków, dlatego później nie czułem trudu. Mówią, że jeśli człowiek pokocha, to co robi, to nie będzie musiał pracować. Rzeczywiście lubię to, co robię i niczego nie robię z musu.

EJ: Czy rzeczywiście można lubić wszystkie dziedziny, w których jest się angażowanym? Jest Pan uczonym, organizatorem i społecznikiem. To trzy ogromnie obszary działalności.

TS: Jeżeli ktoś zdecydował się pracować naukowo, a w pewnym momencie tę naukę zaniedbał, to bardzo szybko jest weryfikowany przez środowisko. Wiele osób, które znałem, zaangażowało się w pracę organizacyjną i społeczną, co zresztą niesie więcej satysfakcji, w dodatku szybkiej. Natomiast nauka wymaga czekania i długiej, żmudnej pracy, ale jeżeli ktokolwiek na rzecz działalności społecznej lub organizacyjnej porzuci naukę, straci autorytet, będzie nawet czuł brak akceptacji. Nie wolno zapomnieć o tym, że przyszliśmy tu w określonym celu. Ideałem byłoby, żeby odnoszenie sukcesu na tych trzech obszarach jednocześnie, ale ponieważ nie ma ideału, to zawsze coś będzie kulało. Nie można sobie jednak pozwolić, ażeby nauka została zepchnięta na plan dalszy.

EJ: W zasadzie nie można mówić o trzech obszarach działalności, tylko o czterech i to ten czwarty na ogół pozostaje w tyle –

otóż, jeszcze jest strefa prywatna, bycie mężem i ojcem. Jak jest w Pana przypadku?

TS: Nie miałem tego typu problemu. Moja żona przez lata była dyrektorem hotelu studenckiego „Almatur”, pracowała w dziale spraw studenckich na Uniwersytecie Wrocławskim, to wiązało się z wieloma obowiązkami, była tak samo zajęta. Z tego powodu nie było konfliktów.

EJ: A dziecko?

TS: Tak, ale to było jedyne dziecko w dużej rodzinie. Miało dość młodą babcię. Córka ode mnie wymagała jedynie, abym był o określonej godzinie w domu i jeszcze z nią przed snem porozmawiał.

EJ: To się Panu udało!

TS: Tak, udało mi się. To był przywilej, na który nie mogli sobie pozwolić moi koledzy i zwłaszcza koleżanki.

EJ: Wracając do spraw zawodowych, zaraz po swej drugiej kadencji rektorskiej przeszedł Pan do pracy w Ministerstwie Edukacji Narodowej i Sportu, najpierw na stanowisko podsekretarza stanu, następnie sekretarza i wiceministra. Na czym polegała ta praca?

TS: Po zakończeniu kadencji zaprosiła mnie na spotkanie pani minister Krystyna Łybacka i zaproponowała stanowisko podsekretarza stanu. Zgodziłem się. Wyjechałem do Warszawy i spotkałem tam... trochę inny świat i inny typ relacji. Środowi-



sko jest zimne, patrzące nieprzychylnie, zdystansowane. Poza tym to jest urząd, który skupia około 130 uczelni państwowych i około 330 uczelni niepublicznych. Każda uczelnia uważa, że jest najważniejsza i chce realizować swoje interesy. Załatwia się sprawy trudne i nie zawsze po myśli wszystkich. Kiedy rozpocząłem pracę w departamencie, wyznaczyłem priorytety, że uczelnie i uczeni mają być traktowani podmiotowo, w sprawach które dotyczą środowiska akademickiego trzeba przywrócić sprawiedliwość – zwłaszcza podział środków finansowych musi być transparentny i oparty na jawnych i weryfikowalnych zasadach, trzeba przywrócić zasady przyznawania środków na inwestycje, włączyłem się w procedowanie nad ustawą o szkolnictwie wyższym i z pełną determinacją parłem do tego, żeby wspierać na przykład zapisy procesu bolońskiego. Widziałem i widzę nadal ich wielką wartość. Zmusiły ludzi do nowego sposobu myślenia o zasadach edukacji. Jedną z ważnych, wielkich rzeczy, które udało się przeprowadzić, to uwłaszczenie uczelni na majątkach, inną - umocowanie Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich, dlatego że rektorzy zjednoczeni są siłą, z którą trzeba się liczyć. Po wielkich kłopotach udało się to wszystko przeprowadzić. Dużo satysfakcji daje mi też taka małeńka rzecz, jak ogólnopolska legitymacja studencka, dziś umożliwiała poruszanie się po kraju a w przyszłości ułatwi poruszanie się po Europie. Wiedziałem, na czym polega funkcjonowanie uczelni, przychodząc do ministerstwa wiedziałem, co chcę osiągnąć, co się uczelniom należy, a co jest nadużyciem.

EJ: Jakie zadanie stoi przed naszą uczelnią dzisiaj?

TS: Jesteśmy uczelnią szanowaną i zauważalną. Jeżeli jeszcze udałoby się włączyć ją w Wrocławską Unię Akademicką, to

sądzę, że zrealizowane byłyby krajowe, europejskie i światowe aspiracje. Myślę, że dyskusja, którą rozpocząłem 10 lat temu przyniesie w końcu pozytywny finał. Idea unii jest w pewnym sensie powrotem do wielkiego uniwersytetu sprzed 1951 r. W tamtych czasach władza bała się wielkiej uczelni skupiającej dziesiątki tysięcy studentów i inteligencję, elementu najbardziej niepokornego. Teraz są zupełnie inne warunki, poza tym cały świat idzie w tym kierunku. Nie chciałbym, żebyśmy pozostali gdzieś w tyle Europy i świata.

EJ: Indyjski poeta z przełomu XIX i XX wieku, Rabindranath Tagore napisał: „Spałem i śniłem, że życie jest radością/ Obudziłem się i zobaczyłem, że życie jest służbą/ Działalem i spostrzegłem, że służba jest radością”. Czy mógłby Pan się podpisać pod tymi słowami?

TS: Przepiękny cytat. Cokolwiek podejmujemy, to jest służbą. Jeśli poprawia życie otaczających nas ludzi, to jest radością. Podpisałbym się kilka razy pod tym stwierdzeniem.

Dziękuję.

Posłowie

Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu, podobnie jak całe wrocławskie środowisko akademickie, swój rodowód wywodzi ze Lwowa, miasta znajdującego się do końca II wojny światowej w granicach Polski, a obecnie Ukrainy.

Dublany, położone nieopodal Lwowa, były siedzibą utworzonej w 1856 r. Szkoły Gospodarstwa Wiejskiego, która w 1901 r. osiągnęła rangę pierwszej na ziemiach polskich Akademii Rolniczej. Po I wojnie światowej, w 1919 r., uczelnia ta została włączona do Politechniki Lwowskiej. Natomiast w 1881 r. we Lwowie powstała trzecia w Polsce, po Wilnie i Warszawie, uczelnia weterynaryjna, której w 1897 r. nadano status akademii. Wybuch II wojny światowej, zajęcie polskich Kresów Wschodnich przez Armię Czerwoną, a następnie okupacja niemiecka nie przerwały ciągłości działania obu szkół, choć okupanci odebrali im status uczelni wyższych. Po zakończeniu II wojny i wyłączeniu miasta Lwowa z granic Polski ocalała część polskiej kadry naukowej osiedliła się we Wrocławiu.

We Wrocławiu, a przed wojną w niemieckim mieście Breslau, które na przestrzeni wieków należało do Polski, Korony Czeskiej, Monarchii Habsburskiej i Prus – także istniała szkoła rolnicza. W 1881 r. w Królewskim Uniwersytecie Wrocławskim powstał Instytut Rolniczy, który od 1923 r. zajmował bu-



dynek przy ul. Hansastrasse 25 (dziś C.K. Norwida 25), będący obecnie gmachem głównym Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu. W 1945 r. niemieccy uczeni opuścili Wrocław, odchodząc na zachód i pozostawiając materialne zaplecze, które mogli wykorzystać przybyli intelektualiści polscy.

Polskie władze centralne już w sierpniu 1945 r. powołały państwowe uczelnie akademickie, połączone osobą rektora, pod nazwą Uniwersytet i Politechnika we Wrocławiu. Wśród utworzonych wydziałów znalazły się Wydział Rolniczy z Oddziałem Ogrodniczym oraz Wydział Medycyny Weterynaryjnej. Tak otworzyła się powojenna karta historii naszej uczelni w totalitarnym państwie. W roku 1951 doszło do wyodrębnienia z Uniwersytetu Wrocławskiego obu wydziałów, które wraz z powstałymi rok wcześniej Oddziałem Melioracji Wodnych i wydziałem Zootechnicznym utworzyły nową uczelnię – Wyższą Szkołę Rolniczą. Jej pierwszym rektorem został prof. Stanisław Tołpa. Do zmiany nazwy uczelni, podkreślającej jej lwowskie korzenie i akademicki charakter, doszło w 1972 r. Wyższa Szkoła Rolnicza została przemianowana na Akademię Rolniczą we Wrocławiu. Wraz ze zmianą nazwy otwarto wówczas cztery nowe specjalności: budownictwo rolnicze, ekonomika rolnictwa, pedagogika i technologia rolno-spożywcza. Natomiast Oddział Technologii Żywności został w 1977 r. przekształcony w samodzielny wydział.

Podpisanie porozumień sierpniowych w Gdańsku w 1980 r. i powstanie „Solidarności” wywołało ogólnokrajowy ruch wolnościowy i otwartą dyskusję z władzą komunistyczną o kształt Polski. Akademia Rolnicza we Wrocławiu włączyła się w ten nurt. Senat uczelni wystosował w 1981 r. do rządu uchwałę krytykującą dotychczasową politykę rolną państwa i postulując rozwój rolnictwa indywidualnego. Wzrost napięć społecznych

i fala strajków w kraju przeciwko władzy komunistycznej nie ominęły uczelni. Demokratyczne przemiany pod koniec lat 80. XX w. szybko objęły polskie uczelnie, w tym także wrocławską Akademię Rolniczą, przywracając jej pełną i rzeczywistą autonomię.

W roku 2006 uczelnia, z uwagi na wielkość i różnorodność prowadzonych kierunków z prawem nadawania stopni doktora i doktora habilitowanego, została podniesiona do rangi uniwersytetu, co uzewnętrzniło się zmianą nazwy na Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu. Dziś jest to jedna z uczelni zajmująca najwyższe pozycje w krajowych rankingach specjalistycznych szkół wyższych, pielęgnująca swoje niemal 160-letnie dziedzictwo i najlepsze tradycje, a jednocześnie oferująca kształcenie na najwyższym poziomie i w nowoczesny sposób.

Ewa Jaworska

Encyklopedyczny indeks nazwisk profesorów uczelni – bohaterów, rozmówców lub osób cytowanych w książce

Bac Stanisław (junior) – (ur. 1929) profesor, kierownik Katedry Agro- i Hydrometeorologii AR w latach 1971–1992.

Bac Stanisław (senior) – (1887–1970), profesor Uniwersytetu i Politechniki we Wrocławiu, twórca Wydziału Melioracji Wodnych Wyższej Szkoły Rolniczej we Wrocławiu i jego pierwszy dziekan (1951–1954).

Badura Ryszard – (ur. 1923) profesor, lekarz weterynarii, specjalista z chirurgii, członek Straży Akademickiej we Wrocławiu, w latach 1962–1965 – prodziekan i dziekan Wydziału Medycyny Weterynaryjnej we Wrocławiu, 1965–1969 prorektor, od 1969 do 1981 r. przez cztery kadencje – rektor uczelni, *doctor honoris causa*.



Bant Antoni – (1891–1981), weteran pierwszej wojny światowej, profesor Akademii Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie, po wojnie twórca i kierownik Zakładu Anatomii Porównawczej Zwierząt Domowych Wydziału Medycyny Weterynaryjnej we Wrocławiu Uniwersytetu i Politechniki, później Wyższej Szkoły Rolniczej we Wrocławiu. W latach 1948–1950, 1952/1953, 1956–1958 – dziekan Wydziału Medycyny Weterynaryjnej we Wrocławiu, do 1961 r. członek Rady Głównej Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego.

Biskupski Antoni – (1923–1988), profesor, prodziekan (1968–1970) oraz dziekan (1970–1975) Wydziału Rolniczego Wyższej Szkoły Rolniczej, następnie Akademii Rolniczej we Wrocławiu, specjalista w dziedzinie technologii zbóż i hodowli.

Boratyński Kazimierz – (1906–1991), profesor, kierownik Katedry Chemii Rolnej Uniwersytetu i Politechniki we Wrocławiu, w latach 1947–1951 prodziekan, następnie od 1951 do 1954 dziekan Wydziału Rolniczego Wyższej Szkoły Rolniczej we Wrocławiu, w latach 1955–1959 prorektor tej uczelni.

Brej Szymon – (1913–1986), profesor, kierownik Katedry Hodowli Roślin i Nasiennictwa Akademii Rolniczej we Wrocławiu, w latach 1953–1964 prodziekan a następnie dziekan Wydziału Rolniczego Wyższej Szkoły Rolniczej.

Cacoń Stefan – (ur. 1943), profesor, kierownik Katedry Geodezji i Fotogrametrii (2003–2005), dyrektor Instytutu Geodezji i Geoinformatyki (2006–2009), prodziekan Wydziału Inżynierii Kształtowania Środowiska i Geodezji w okresie 1997–2003.

Cena Mieczysław – (1908–1990), profesor, kierownik Katedry Zoohigieny na Wydziale Zootechniki Wyższej Szkoły Rolniczej, następnie Akademii Rolniczej we Wrocławiu, specjalista w dziedzinie bioklimatologii, higieny zwierząt i środowiska wiejskiego, etiologii stosowanej, twórca nowoczesnej zoohigieny.

Chudoba Stanisław – (1906–1983), profesor, kierownik Katedry Zoologii w Wyższej Szkole Rolniczej we Wrocławiu (1954–1970), dyrektor Instytutu Biologicznych Podstaw Produkcji Zwierzęcej (1970–1973), prodziekan (1954–1956), dziekan (1956–1969) Wydziału Zootechnicznego.

Dejas Donat – (ur. 1929), docent, organizator i kierownik Zakładu Technologii i Organizacji Robót Wodno-Melioracyjnych i Budowlanych w latach 1971–1995), prodziekan Wydziału Melioracji Wodnych w okresie 1978–1981.

Dobicki Aleksander Włodzimierz – profesor, prodziekan (1975–1976), następnie dziekan (1976–1981) Wydziału Zootechnicznego Wyższej Szkoły Rolniczej, kierownik Katedry Hodowli Bydła i Produkcji Mleka.

Drozd Jerzy – (ur. 1938), profesor, prodziekan Wydziału Rolniczego Akademii Rolniczej we Wrocławiu (1981–1982), prorektora 1990–1993, członek Rady Nauki przy Ministerstwie Szkolnictwa Wyższego i Nauki.

Dubiel Andrzej – (ur. 1941), profesor Katedry Rozrodu z Kliniką Zwierząt Gospodarskich Wydziału Medycyny Weterynaryjnej we Wrocławiu.

Fabiszewski Jerzy – (ur. 1936), profesor, wieloletni kierownik Katedry Botaniki i Fizjologii Roślin na Wydziale Rolniczym WSR a później AR we Wrocławiu, prorektor w latach 1990–1992. Prowadził badania w zakresie ekologii roślin i lichenologii, badacz flory w Arktyce i Antarktyce.

Garbuliński Tadeusz – (1920–2011), profesor, wieloletni kierownik Katedry Farmakologii i Toksykologii Wydziału Medycyny Weterynaryjnej WSR we Wrocławiu, prorektor w latach 1962–1964, następnie rektor WSR w latach 1965–1969. Zajmował się m.in. badaniami nad fizjologiczną i farmakologiczną regulacją krążenia krwi oraz przemiany węglowodanów i związków wysokoenergetycznych w sercu i mięśniach szkieletowych, *doctor honoris causa*.

Golonka Zygmunt – (1889–1967), profesor, twórca i organizator w 1945 r. Katedry Uprawy Łąk i Pastwisk na Uniwersytecie i Politechnice we Wrocławiu, następnie WSR, którą kierował do 1960 r. W latach 1946–1947 prodziekan Wydziału Rolniczego.

Hlibowicki Roman – (1911–1999), profesor, kierownik Katedry Geodezji, następnie Instytutu Geodezji i Zastosowań Matematyki, prodziekan Wydziału Melioracji Wodnych 1951–1953, dziekan 1954–1958, 1961–1966, prorektor w okresie 191965–1968.

Hohenberg Rudolf – (1908–1979), profesor w Katedrze Melioracji i Inżynierii Rolnej na Uniwersytecie i Politechnice we Wrocławiu, organizator i kierownik Zakładu Matematyki w Wyższej Szkole Rolniczej we Wrocławiu, prorektor, prodziekan Wydziału

łu Melioracje Wodne w latach 1956–1961. Od 1962 r. pracował w Wyższej Szkole Ekonomicznej we Wrocławiu.

Hryniewicz Zygmunt – (1922–2004), profesor, kierownik Katedry Szczegółowej Uprawy Roślin na Wydziale Rolniczym WSR we Wrocławiu, prodziekan tego Wydziału w latach 1964–1966, następnie dziekan (1968–1970). W latach 1973–1982 – prorektor.

Jabłoński Bronisław – (1920–1986), profesor, kierownik Katedry Ogólnej Uprawy Roślin w latach 1965–1986, prodziekan Wydziału Rolniczego w latach 1966–1970, następnie dziekan (1981–1984) oraz rektor Akademii Rolniczej we Wrocławiu (1984–1986).

Jamroz Dorota – (ur. 1939), profesor, kierownik Katedry Żywnienia Zwierząt i Paszoznawstwa Na Wydziale Zootechnicznym, następnie Biologii i Hodowli Zwierząt, prodziekan w latach 1981–1984, następnie dziekan w latach 1987–1990.

Juny Marian – (1916–1987), profesor, współorganizator Wydziału Zootechnicznego na WSR we Wrocławiu, kierownik Zakładu Hodowli Owiec i Zwierząt Futerkowych, następnie Katedry a później Zakładu Obrotu i Oceny Surowców Zwierzęcych.

Juszczak Jerzy – (ur. 1928), profesor, kierownik Zakładu Hodowli Owiec i Zwierząt Futerkowych, następnie Zakładu Hodowli Trzody Chlewnej, Zakładu Hodowli Bydła przekształconego w Katedrę Hodowli Bydła i Produkcji Mleka, pełnił funkcję prodziekana i dziekana Wydziału Zootechnicznego w latach 1965–1972 oraz rektora w okresie 1985–1990.



Kamiński Eugeniusz – (ur. 1933), profesor, dyrektor Instytutu Inżynierii Rolniczej Wydziału Rolniczego.

Kiersnowski Jerzy – (ur. 1923), docent, współorganizator Wydziału Technologii Żywności, współtworzył na uczelni NSZZ „Solidarność”, zajmował się badaniami z zakresu słodownictwa i piwowarstwa, gorzelnictwa rolniczego i przechowalnictwa produktów rolnych.

Klisiński Andrzej – (1895–1975), profesor, kierownik Katedry i Zakładu Fizjologii Akademii Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie przed wojną, współorganizator Wydziału Medycyny Weterynaryjnej we Wrocławiu i pierwszy kierownik Katedry Fizjologii, *doctor honoris causa*.

Kocór Marian – (1922–1980), profesor, kierownik Katedry Chemii Ogólnej w WSR we Wrocławiu, prodziekan Wydziału Rolniczego, prorektor w latach 1960–1965, współautor patentu do otrzymywania tlenu glinu do chromatografii.

Kołacz Roman – (ur. 1947), profesor Wydziału Zootechnicznego, lekarz weterynarii, specjalista w dziedzinach higieny i dobrostanu zwierząt oraz ekotoksykologii, prorektor w latach 2002–2008, rektor Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu od 2008 r.

Konopiński Tadeusz – (1894–1965), profesor, organizator Wydziału Rolnego na Uniwersytecie i Politechnice Wrocławskiej, którego został pierwszym dziekanem, kierował Katedrą Hodowli Szczegółowej i Żywienia Zwierząt, inicjator powołania Wydziału Zootechnicznego w Wyższej Szkole Rolniczej we Wrocławiu i w latach 1957–1962 jego dziekan.

Kopec Bohdan – (1910–1987), profesor, kierownik Katedry Ekonomiki i Organizacji Socjalistycznych Przedsiębiorstw Rolnych, następnie Dyrektor Instytutu Ekonomiki i Organizacji Rolnictwa w WSR i AR we Wrocławiu.

Kosiba Aleksander – (1901–1981), profesor Uniwersytetu Wrocławskiego, założyciel i kierownik Katedry i Obserwatorium Meteorologii i Klimatologii, organizator polskich wypraw badawczych na Spitsbergen.

Kotliński Jerzy – (1921–2005), były żołnierz AK, profesor, dyrektor Instytutu Zootechniki w Czechnicy, wieloletni dyrektor Instytutu Technologii Produkcji Zwierzęcej AR we Wrocławiu.

Kowaliński Stanisław – (1920–1999), profesor, prodziekan Wydziału Rolniczego w latach 1954, 1961–1962, dziekan w okresie 1954–1956, prorektor w latach 1962–1968, Kierownik Katedry i Zakładu Gleboznawstwa WSR we Wrocławiu.

Kowalski Jerzy – (ur. 1933), profesor, Kierownik Zakładu Geotechniki i Wód Podziemnych od 1980 r., dziekan Wydziału Melioracji Wodnych (1981–1987), prorektor ds nauki i współpracy z zagranicą w latach 1987–1990, rektor od 1990 do 1996 r.

Krzywiecki Stanisław – (ur. 1944), profesor, specjalista z zakresu paszoznawstwa i żywienia zwierząt przeżuwających, senior budowy Wydziału Zootechnicznego, prorektor w latach 1994–1996.

Leszczyński Wacław – (ur. 1936), profesor, kierownik Katedry Technologii Rolnej i Przechowalnictwa, prodziekan w 1981 r.

i dziekan w latach 1981–1987, 1993–1999 Wydziału Technologii Żywności, prorektor w okresie 1990–1993.

Lidtke Włodzimierz – (1917–2006), profesor, współorganizator Katedry Łąkarstwa i Kształtowania Terenów Zieleni Uniwersytetu i Politechniki we Wrocławiu, a później WSR.

Ludwiczak Jan – (ur. 1923), profesor, kierownik Zakładu Rachunkowości Rolniczej w Instytucie Ekonomiki i Organizacji Rolnictwa na Wydziale Rolniczym, prodziekan w latach 1975–1981 i dziekan w okresie 1987–1993.

Markowski Zygmunt – (1872–1951), profesor, rektor Akademii Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie w latach 1920–1923, 1927–1930, kierownik Kliniki Chorób Wewnętrznych i Zakaźnych. Organizator Wydziału Weterynaryjnego przy Uniwersytecie i Politechnice we Wrocławiu oraz pierwszy jego dziekan (1945–1947), kierownik trzech katedr: Katedry Diagnostyki Chorób Wewnętrznych, Katedry Patologii i Terapii Szczegółowej Chorób Wewnętrznych i Katedry Epizootiologii.

Mikołajczak Zygmunt – (ur. 1928), profesor, specjalista z zakresu gospodarowania na użytkach zielonych nizinnych i górskich Dolnego Śląska, kierownik Katedry Łąkarstwa i Kształtowania Terenów Zieleni.

Monkiewicz Jerzy – (ur. 1940), profesor, w Katedrze Genetyki i Ogólnej Hodowli Zwierząt Wydziału Zootechnicznego a następnie Biologii i Hodowli Zwierząt, twórca preparatu ograniczającego wchłanianie metali ciężkich i wypierającego już nagromadzone metale z organizmu bydła.

Nadwyczawski Władysław – (1914–1972), profesor w Katedrze Ogólnej Hodowli Zwierząt, następnie kierownik Katedry Paszoznawstwa Wydziału Zootechnicznego, autor wyhodowanych i zarejestrowanych pięciu odmian kukurydzy pastewnej.

Nietupski Teodor – (ur. 1931), profesor, dyrektor Instytutu, następnie Katedry Ekonomiki i Organizacji Rolnictwa, prodziekan w latach 1970–1975, dziekan w okresie 1975–1978 Wydziału Rolniczego, prorektor w latach 1981–1982.

Nowakowski Jan – (1922–2000), profesor, zastępca dyrektora Instytutu Hodowli i Technologii Produkcji Zwierzęcej (1973–1981), prodziekan Wydziału Zootechnicznego w latach 1972–1981 i 1984–1987.

Nowicki Bolesław – (ur. 1928), profesor, kierownik Katedry Genetyki i Ogólnej Hodowli Zwierząt Wydziału Zootechnicznego, prodziekan w latach 1970–1973, wyhodował rasę gołębi o miesnym kierunku użytkowania.

Nowosad Roman – (1930–1999), doktor habilitowany, pracownik Katedry Fizjopatologii, prowadził badania na temat skażeń promieniotwórczych zwierząt i środowiska.

Obmińska-Mrukowicz Bożena – (ur. 1954), profesor, kierownik Zakładu Farmakologii i Toksykologii w Katedrze Biochemii, Farmakologii i Toksykologii, prodziekan w latach 1996–2002, dziekan Wydziału Medycyny Weterynaryjnej w okresie 2002–2008.

Olbrycht Tadeusz Maria Celestyn – (1891–1963), profesor Akademii Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie, absolwent Akademii Weterynaryjnej w Wiedniu, doktorat z genetyki obronił na Uniwersytecie w Londynie, stażysta prof. T.H. Morgana – laureata Nagrody Nobla, w latach II wojny światowej prodziekan Wydziału Weterynaryjnego w Edynburgu. Pierwszy dziekan Wydziału Zootechnicznego (1950–1953) WSR we Wrocławiu, kierownik Katedry Ogólnej Hodowli Zwierząt

Opaliński Czesław – (ur. 1928), profesor, specjalista w dziedzinie ekonomiki budownictwa wodno-melioracyjnego oraz rolniczego, w latach 1969–1972 dziekan Wydziału Melioracji Wodnych AR we Wrocławiu.

Poluszyński Gustaw – (1887–1959), profesor, przed wojną Kierownik Katedry oraz Zakładu Zoologii i Parazytologii Akademii Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie, następnie współorganizator Wydziału Medycyny Weterynaryjnej we Wrocławiu, jego prodziekan w latach 1945–1947, dziekan w okresie 1947–1948, kierownik zespołu Katedr Chorób Zakaźnych i Inwazyjnych WSR, prorektor w latach 1957–1959.

Poznański Wiesław – (ur. 1930), profesor, kierownik Katedry Hodowli Trzody Chlewnej, prodziekan w latach 1978–1982, dziekan w okresie 1982–1984 na Wydziale Zootechniki AR we Wrocławiu.

Preś Jerzy – (ur. 1926), profesor, wieloletni kierownik Katedry Żywienia Zwierząt i Gospodarki Paszowej, prorektor w latach 1965–1969, 1969–1981.

Przestalski Stanisław – (ur. 1927), profesor, organizator i kierownik Katedry Fizyki i Biofizyki na Wydziale Rolniczym WSR, prowadzi badania z zakresu biofizyki i agrofizyki błon, m.in. współodkrywca zjawiska grawiosmozy.

Radomska Maria – (ur.1927), sanitariuszka w Powstaniu Warszawskim, profesor nadzwyczajny, specjalista w Katedrze Ogólnej Uprawy Roli i Roślin do roku 1980, kiedy to przeszła do Zamiejscowego Wydziału Ekonomiki Produkcji Rolniczej i Obrotu Rolnego krakowskiej AR w Rzeszowie, gdzie pełniła funkcje: dyrektora Instytutu następnie Katedry Technologii Produkcji Rolniczej, dziekana Wydziału Ekonomiki Produkcji Rolniczej.

Ralski Eugeniusz – (1910–1981), profesor Wydziału Rolniczo-Lasowego Politechniki Lwowskiej z siedzibą w Dublanach, osadzony w obozie koncentracyjnym w Płaszowie-Krakowie za działalność konspiracyjną, po wojnie organizator i kierownik Katedry Fitopatologii i Ochrony Roślin Uniwersytetu i Politechniki we Wrocławiu, aresztowany i skazany na karę śmierci za przynależność do AK i WiN, spędził w więzieniu 10 lat, w 1956 organizator i kierownik Katedry Ekologii Roślin na Wydziale Melioracji Wodnych WSR we Wrocławiu.

Rauszkiewicz Stanisław – (ur. 1926), profesor, specjalista w Katedrze Patologii Rozrodu i Kliniki Położniczej Wydziału Weterynaryjnego WSR w zakresie patologii i fizjologii rozrodu oraz gruczołu mlekowego.

Ruebenbauer Tadeusz – (1909–1991), profesor, organizator Katedry Hodowli Roślin i Nasiennictwa na Wydziale Rolni-

czym Uniwersytetu i Politechniki we Wrocławiu, następnie WSR, w 1956 r. przeniesiony służbowo do Katedry Szczegółowej Uprawy Roślin WSR w Krakowie.

Ruszczyc Zygmunt – (1914–1996), działacz ruchu oporu AK okręgu wileńskiego, profesor, specjalista w dziedzinach żywienia zwierząt i paszoznawstwa, powołany przez FAO jako ekspert do Syrii, kierownik Katedry Żywienia Zwierząt na Wydziale Zootechnicznym w WSR w latach 1951–1979, prodziekan w okresie 1959–1962.

Samborski Zbigniew – (1923–2011), profesor, członek Akademickiej Straży Uniwersyteckiej, kierownik Katedry Patologii Rozrodu Zwierząt i Kliniki Położniczej Wydziału Weterynaryjnego WSR we Wrocławiu.

Schmuck Adam – (1904–1971), profesor, kierownik Katedry Hydrometeorologii na Wydziale Melioracji Wodnych WSR we Wrocławiu, w latach 1953–1954 prodziekan Wydziału, prorektor w okresie 1959–1965.

Senze Alfred – (1911–1993), profesor, asystent w Katedrze Chirurgii i Ortopedii wraz z Kliniką Położniczą w Akademii Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie, współtwórca Wydziału Medycyny Weterynaryjnej Uniwersytetu i Politechniki we Wrocławiu, kierownik Katedry Położnictwa i Patologii Rozrodu Zwierząt, prorektor WSR w latach 1951–1954, rektor w okresach 1954–1955, 1959–1965.

Skurski Adam – (1913–1992), profesor, asystent w Zakładzie Mikrobiologii Akademii Medycyny Weterynaryjnej we

Lwowie, współorganizator Wydziału Medycyny Weterynaryjnej na Uniwersytecie i Politechnice we Wrocławiu, kierownik Katedry Mikrobiologii Weterynaryjnej WSR, następnie AR, prodziekan w latach 1962–1964.

Sobczak Zygmunt – (ur. 1921), profesor, organizator i kierownik Zakładu Hodowli Koni na Wydziale Zootechnicznym WSR, następnie AR.

Sobociński Marian – (1913–1994), profesor, pracował w Katedrze Anatomii Zwierząt, w 1962 r. przeniósł się do WSR w Poznaniu, obejmując kierownictwo podobnej katedry.

Stefanowicz Jan – (1922–2000), profesor, kierownik Katedry Hodowli Owiec i Zwierząt Futerkowych Wydziału Zootechnicznego w latach 1966–1990.

Szczudłowska Matylda – (1902–2004), docent, absolwentka Akademii Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie oraz Konserwatorium Muzycznego w klasie fortepianu, pracownik Katedry Chirurgii Wydziału Medycyny Weterynaryjnej we Wrocławiu, stworzyła podstawy okulistyki weterynaryjnej.

Szczudłowski Kazimierz – (1890–1985), profesor, pracował w Katedrze Fizjologii w Akademii Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie, pełnił funkcję rektora tej uczelni w latach 1936–1939, kierował Katedrą Chirurgii Ogólnej wraz z Polikliniką Chirurgiczną i Kliniką Położniczą, we Wrocławiu organizował Katedrę Chirurgii, którą kierował, oraz Katedrę Położnictwa.

Szpindor Adam – (1924–2001), profesor w Katedrze Budownictwa Wodnego Wydziału Melioracji Wodnych WSR, następnie AR, prodziekan w latach 1969–1972, dziekan w okresie 1972–1975.

Szulc Tadeusz – (ur. 1942), profesor, prodziekan w latach 1980–1983, dziekan w okresie 1983–1986, prorektor (1986–1989), rektor Akademii Rolniczej w latach 1996–2001. Podsekretarz stanu, następnie sekretarz i wiceminister w Ministerstwie Edukacji Narodowej i Sportu

Świętochowski Bolesław – (1895–1975), żołnierz AK, profesor, organizator Wydziału Rolniczego na Uniwersytecie i Politechnice we Wrocławiu, organizator Katedry Ogólnej Uprawy Roli i Roślin, dziekan Wydziału (1946–1947), prorektor w okresie 1951–1954.

Tilgner Władysław – (1898–1971), żołnierz pierwszej i drugiej wojny światowej, uczestnik powstania Wielkopolskiego, profesor, organizator i kierownik Katedry Ekonomii Rolniczej i Polityki Agrarnej Wydziału Rolnego Uniwersytetu i Politechniki we Wrocławiu.

Tołpa Stanisław – (1901–1996), profesor, absolwent Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, żołnierz AK, pierwszy dziekan Wydziału Rolnego przy Uniwersytecie i Politechnice we Wrocławiu, organizator Wyższej Szkoły Rolniczej i Wydziału Rolniczego, pierwszy rektor uczelni (1951–1954), twórca wrocławskiej szkoły torfoznawczej, efektem jego badań było wprowadzenie na rynek leku TTC stosowanego jako preparat immunologiczny.

Tomaszewski Jan – (1884–1967), profesor, prowadził badania gleboznawcze na Dalekim Wschodzie, a po powrocie do Polski, w latach 1948–1950 zorganizował badania kartograficzno-gleboznawcze, w wyniku których powstała mapa gleb Polski; kierownik Katedry Gleboznawstwa Wydziału Rolniczego Uniwersytetu i Politechniki we Wrocławiu.

Tychowski Aleksander – (1900–1962), weteran wojny polsko-bolszewickiej, absolwent Politechniki Lwowskiej, profesor Wydziału Chemicznego tej uczelni, twórca i kierownik Katedry Technologii Rolnej na Uniwersytecie i Politechnice we Wrocławiu, następnie WSR, prodziekan w latach 1953–1954, dziekan w okresie 1960–1962 Wydziału Rolniczego, prorektor (1954–1955), rektor (1955–1959).

Tymrakiewicz Włodzimierz – (1898–1975), profesor, absolwent Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, kierownik Katedry Ekologii Roślin WSR we Wrocławiu, specjalista od chwastów i biologii torfowisk.

Wajdzik Czesław – (1913–1995), profesor, kierownik Katedry Budownictwa Ogólnego na Wydziale Melioracji Wodnych, prodziekan Wydziału w latach 1958–1961, 1965–1969.

Wandokanty Franciszek – (1913–1985), doktor, absolwent Lwowskiej Akademii Medycyny Weterynaryjnej, we Wrocławiu w latach 1948–1963 kierownik Katedry Chemii Fizjologicznej Wydziału Weterynaryjnego Uniwersytetu i Politechniki we Wrocławiu a później WSR.



Weber Jerzy – (ur. 1947), profesor w Instytucie Gleboznawstwa i Ochrony Środowiska Rolniczego, specjalista z zakresu mikromorfologii gleb oraz metali ciężkich i substancji humusowych, założyciel niezależnych związków zawodowych, przewodniczący Komisji Uczelnianej NSZZ „Solidarność” w latach 1980–1989.

Wojtysiak Antoni – (1896–1978), profesor, przed wojną kierownik Katedry Rolnictwa SGGW, po wojnie organizator i kierownik Katedry Szczegółowej Uprawy Roślin na Wydziale Rolnym Uniwersytetu i Politechniki we Wrocławiu, dziekan Wydziału w latach 195–1960, poseł na Sejm w okresie 1957–1960.

Wyrost Piotr Paweł – (ur. 1925), profesor, kierownik Katedry Anatomii Zwierząt w latach 1969(ur. 1925),1995, prodziekan w latach 1972–1981.

Zakrzewski Aleksander – (1894–1976), profesor, absolwent Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie oraz Lwowskiej Akademii Medycyny Weterynaryjnej, we Lwowie oraz we Wrocławiu pełnił funkcję kierownika Katedry Anatomii Patologicznej i Weterynarii Sądowej w latach 1926–1964.

Załucki Grzegorz – (1918–), profesor, absolwent Akademii Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie oraz Akademii Medycznej we Wrocławiu, organizator i kierownik Katedry Fizjologii Zwierząt Wydziału Weterynaryjnego WSR we Wrocławiu, prodziekan w latach 1956–1960.

Ziemiński Ryszard – (ur. 1935), kierownik Katedry Hodowli Bydła i Produkcji Mleka Wydziału Zootechnicznego WSR we Wrocławiu w latach 1994–2000).

Indeks nazwisk

- Alexandrowicz Jerzy 223
Anders Władysław 222, 223
Andraszak Edward 207
Bac Stanisław (junior) 148, 215–218, 285
Bac Stanisław (senior) 8, 123, 131, 143–148, 235, 285
Bac-Bonowicz Joanna 148
Badura Ryszard 71–82, 97, 254, 255, 265–268, 285
Bartel Kazimierz 192
Beck Adolf 114
Bierut Bolesław 95, 96, 140
Biskupski Antoni 208, 209, 286
Bodarski Rafał 152
Bogdanowicz Jan 241
Boratyński Kazimierz 205, 286
Bors Jerzy 130
Brej Szymon 208, 286
Broś Bolesław 238
Buluk Karol 88
Buła Bolesław 181
Buła Kamila 181
Cacoń Stefan 233–240, 286
Cena Mieczysław 56, 57, 66, 91, 129, 130, 229, 287

Chruszczow Nikita 57, 58
Chruściel Antoni, gen., ps. „Monter” 220
Chudoba Stanisław 62, 229, 230, 287
Cybulski Naopoleon 114
Cyrankiewicz Józef 96, 232
Czartoryska Izabella 161
Dobicki Aleksander Włodzimierz 151, 287
Dobrzański Zbigniew 94
Drozd Jerzy 203–205, 287
Dubczek Aleksander 241, 242
Dubiel Andrzej 107–109, 287
Fabiszewski Jerzy 25–31, 288
Frank Hans 183
Fritz Waldemar 130
Garbuliński Tadeusz 9, 261, 288
Gienc Jerzy 88
Golonka Zygmunt 137–142, 231, 288
Gomułka Władysław 148
Grzegorski Wincenty 118
Hamerski Edward 107
Hanke Karl August 97
Hlibowicki Andrzej 239
Hlibowicki Roman 233–240, 288
Hlibowicki Stefan 239
Hirszfeld Ludwik 48
Hohenberg Rudolf 60, 288
Hryncewicz Zygmunt 138, 139, 141, 241, 289
Jabłoński Bronisław 118, 289
Jahn Alfred 238, 289

Jamroz Dorota 151, 152, 289
Jan Paweł II 163
Janowski T.M. 72, 91
Jasiorowski Henryk 48
Jelinowska Anna 119, 120
Juny Marian 68, 69, 289
Juszczak Jerzy 39–47, 65, 67–70, 229, 230, 270–272, 274, 289
Kaczmarek Antoni 48
Kiersnowski Jerzy 11–23, 290
Kisiel Ignacy 238
Klisiecki Andrzej 100, 175, 262, 290
Kocór Marian 183, 189, 290
Kończ Roman 7, 9, 290
Konopińska Stefania 40
Konopiński Tadeusz 8, 18, 20, 39–50, 52, 53, 55, 65, 66, 69,
149, 150, 229, 232, 271, 290
Kopalko Ryszard 160
Kopeć Bohdan 153, 155–158, 160, 163, 291
Kopeć Feliks 162
Kopeć Józef 160, 161
Kopeć Mieczysław 88, 89, 154, 155, 158, 159, 161, 162
Kopeć Paweł 163
Kopeć Stefan 161, 162
Koprowski Kazimierz 218
Kosiba Aleksander 11, 22–24, 41, 291
Kostrzewa Stanisław 147
Kostuch Zygmunt 137–140
Kościuszko Tadeusz 161
Kotliński Jerzy 45, 46, 49–51, 53, 69, 291



Kowaliński Stanisław 203–205, 251–254, 291
Kowalski Jerzy 238, 239, 274, 291
Krzywiecki Stanisław 207–213, 219
Krzyżanowski Aleksander płk, ps. „Wilk” 12, 13, 149
Kubasiewicz Marian 88
Kubizna Janusz 152
Kuczera Janina 130
Kulczyński Stanisław Leon 25, 158
Lengiewiczowa Zofia 123
Leszczyński Wacław 26, 27, 173, 174, 183–189, 231, 232, 291
Lidtke Włodzimierz 138, 159, 292
Ludwiczak Jan 153, 154, 156, 157, 163, 227, 241–245, 249, 292
Ludwiczak Magdalena 244, 245
Ludwiczak Zenobia 243
Łobarzewska Julia 104
Łuczak Wacław 152
Łukasiewicz Włodzimierz 114
Łysenko Trofim 56–58
Macheku Emanuel 114
Maczek Stanisław, gen. 104, 222
Madej Zbigniew 76, 267
Markowski Zygmunt 21, 71–74, 81, 82, 85, 97, 100–102, 292
Michalski Jan 32
Michalski Zbigniew 111–113
Michnik Adam 241
Mickiewicz Adam 161
Mikołajczak Zygmunt 137–142, 231, 292
Minc Hilary 57
Monkiewicz Jerzy 87–89, 166–170, 292

Morgan Thomas Hnut 55, 56, 294
Nadwyczawski Władysław 57, 207–210, 212, 213, 293
Nietupski Teodor 157, 293
Nieżankowski Czesław 88
Niklibordz Jan 98, 99, 127
Noga Henryk 32
Norwid Cyprian Kamil 117
Nowakowski Jan 68, 293
Nowicki Bolesław 46, 55–63, 66, 89, 150, 257–259, 293
Nowosad Roman 58, 59, 293
Nowotny Franciszek 19
Obmińska-Mrukowicz Bożena 9, 293
Oczeretko Mieczysław 124
Ogielski Lesław 266
Okruszko Wilhelm 225
Olbrycht Tadeusz Maria Celestyn 8, 20, 55–63, 65, 66, 150,
210, 211, 271, 294
Olszowski Wiktor 267
Opaliński Czesław 141, 294
Pietruszko Józefa 225
Pikusiński Andrzej 187
Pilecki Witold 12
Piłsudski Józef 162, 173
Płazek Edwin 21
Poluszyński Gustaw 72, 100, 262, 294
Poznański Wiesław 49–53, 294
Prawocheński Roman 149
Preś Jerzy 61, 149–151, 272, 294
Przestalski Stanisław 127–135, 295

Pulinowa Maria 238
Radomska Maria 21, 22, 29–32, 100, 117, 119–121, 123–125,
219–226, 295
Radomski Jan 225
Ralski Eugeniusz 21, 295
Rauszkiewicz Stanisław 105, 295
Ruebenbauer Tadeusz 24, 295
Ruszczyc Zygmunt 70, 149–152, 296
Rydz-Śmigły Edward 162
Samborski Zbigniew 17, 104, 109, 296
Schmuck Adam 215, 216, 218, 296
Senze Alfred 72, 95–98, 100–102, 104, 105, 107–109, 165,
271, 296
Sienkiewicz Jerzy 32
Skurska Helena 71–74
Skurski Adam 165, 296
Skurski Michał 71
Skurski Rudolf 72
Słowacki Juliusz 13, 65
Sobczak Zygmunt 227, 228, 297
Sobiech Tadeusz 267
Sobociński Marian 88, 297
Sosnkowski Kazimierz, gen. 173
Staliński Zbigniew 61, 65
Stefanowicz Jan 67–69, 86, 162, 227, 297
Steinhaus Hugo 62, 63, 236
Stepanian Ter 238, 239
Styś Wincenty 11, 20, 154, 242
Szczudłowska Matylda 74, 75, 80–82, 297

Szczudłowski Kazimierz 8, 75–82, 95, 100, 262, 267, 297
Szljajfer Henryk 241
Szpindor Adam 216, 298
Szulc Tadeusz 48, 269–279, 298
Świętochowska Maria 123
Świętochowski Bolesław 19, 117–125, 131, 271, 298
Telizanka Zofia 120
Tilgner Władysław 45, 153, 242, 298
Tołpa Ida 29
Tołpa Stanisław 11, 19, 20, 25–34, 37, 134, 224–226, 271, 282,
298
Tomaszewska Klara 33–37
Tomaszewski Jan 203–204, 299
Tychowski Aleksander 19, 21, 173, 174, 299
Tymrakiewicz Włodzimierz 29, 30, 299
Wajdzik Czesław 191–201, 299
Wajdzik Elżbieta 192
Wajdzik Franciszka 191
Wajdzik Jan 192
Wajdzik Jolanta 201
Wandokanty Franciszek 72, 165–171, 299
Wanke-Jakubowska Małgorzata 7
Wanke-Jerie Maria 7
Weber Jerzy 251–255, 300
Weigel Kasper 235
Wesołowski Jan 127–129
Wiertelecki Tomasz 152
Witkiewicz Wojciech Józef 53
Wojtysiak Antoni 142, 231, 271, 300

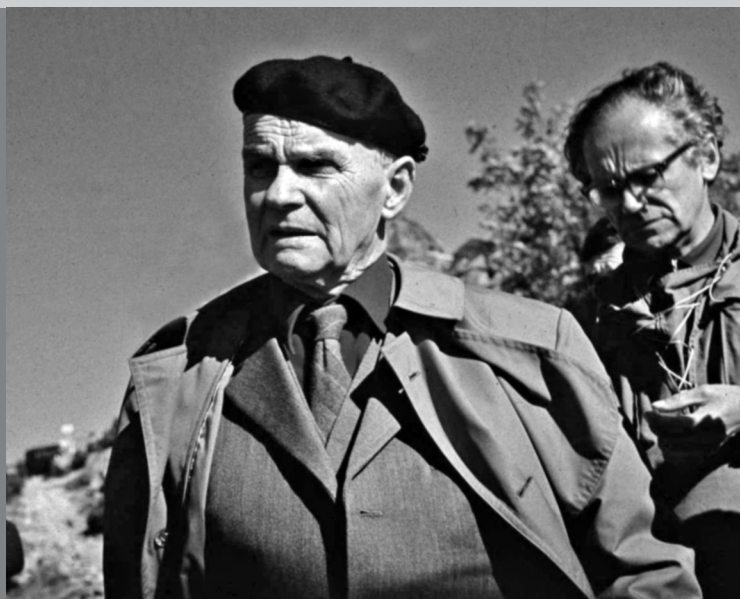
Wolski Tadeusz 208, 209
Wołkowski Olgierd 98, 104
Wustinger Jerzy 89
Wyrost Piotr Paweł 87, 88, 300
Zabawski Jerzy 30, 31
Zabłocki Jacek 89
Zakrzewski Aleksander 72, 76, 102, 111–114, 262, 268, 300
Zalewski Władysław 48
Załucka Anna 176
Załucka Anna Karolina 178, 181
Załucka Olga 176
Załucki Andrzej 175–180
Załucki Grzegorz 175, 176, 178–180
Zatoń Marek 166
Ziemiński Ryszard 43, 45, 300
Zunker Ferdinand 143
Zychła Henryka 230
Żebracki Antoni 104, 105

Spis treści

Wstęp	7
Uczelnia powstaje z gruzów	11
O tym, jak profesor Tołpa...	25
...wjechał do Wrocławia na wielbłądzie	25
...zrezygnował z kapłaństwa.	29
...opracował metodę orientacji w zasobach boczku	30
...ekspresowo czytał prace doktorskie	31
...egzaminował czwórkami	31
Torfowiska były jego pasją.	33
O profesorze Tadeuszu Konopińskim i sprawach ogólnych.	39
Dwadzieścia lat pod jednym dachem	49
Po pierwsze – praca, po drugie – praca, a po trzecie... też praca.	55
Konopiński i Olbrycht – „Dwa na słońcach swych przeciwnych – Bogi”.	65
Jak asystenci Juszcak ze Stefanowiczem kupowali warchlaki i budowali drogę	67
Napoleon Markowski	71
Państwo Szczudłowscy – historia o miłości... również do muzyki i koni	75

Bant.	85
Alfabet Mieczysława Ceny.	91
Czasem trzeba było wziąć byka za rogi.	95
Początki	95
Koledzy	98
Profesorowie	100
Wrocław lat 50. okiem weterynarza	103
Uczelnia	104
Weterynarze z trojanką i adapterem	107
Weterynaria i medycyna.	111
Spotkania o świecie.	117
Katedra Fizyki.	127
O tym, jak profesor Golonka uczył łagodności	137
O tym się nigdy nie pisze, bo to właściwie życie codzienne	143
Niepokorny	149
Specjalista od rachunkowości i miłośnik literatury.	153
Z prywatnych zapisków profesora Bohdana Kopcia	163
Doktor zwany profesorem	165
O profesorze Tychowskim, który uratował generała Sosnkowskiego	173
Uśmiech dobry na wszystko	175
Egzamin z zaćmienia słońca	183
Nie dbajcie o rzeczy wielkie	191
Od sześciu gabinetów do wielkiego laboratorium	203

Lekarz weterynarii-botanik207
Jak profesor Schmuck polubił Rosjan215
Podróż bez powrotów219
O tym, jak profesor Zygmunt Sobczak był oszczędny227
Siła spokoju, czyli jak być dziekanem przez 15 lat229
O bojowym profesorze Antonim Wojtysiaku, który pytał studentów z zamków śląskich231
Lwowiak, domator i nauczyciel pełną gębą233
Cała Polska czeka na swego Dubczeka241
Wiersz Magdaleny Ludwiczak (17 lat)244
Wywiad Magdaleny Ludwiczak (18 lat) z dziadkiem, profesorem Janem Ludwiczakiem245
Niespełnione marzenia o zagranicznych wojażach251
Kiedy stwarzanie staje się pasją257
Wystąpienie doktora honoris causa prof. zw. dr. hab. Tadeusza Garbulińskiego podczas uroczystości nadania tytułu261
Jak powstał napis na uczelnianym sztandarze265
Z myślą o przeszłości i przyszłości. Rozmowa z profesorem Tadeuszem Szulcem269
Posłowie281
Encyklopedyczny indeks nazwisk profesorów uczelni – bohaterów, rozmówców lub osób cytowanych w książce285
Indeks nazwisk301



prof. Stanisław Tołpa



prof. Zygmunt Markowski



prof. Tadeusz Konopiński



prof. Bolesław Świętochowski (pierwszy z prawej strony)



prof. Bolesław Świętochowski – w środku w czarnej todze



prof. Tadeusz Olbrycht w laboratorium – badania nad kukurydzą



prof. Tadeusz Olbrycht podczas obowiązkowych ćwiczeń wojskowych – był świetnym strzelcem



prof. Alfred Senze oprowadza po uczelni Bolesława Bieruta, prezydenta RP od 1947 r., przewodniczącego KC PZPR od 1948 r., premiera PRL od 1952 r.



Zachęca go do finansowego wsparcia rozbudowy Wydziału Medycyny
Weterynaryjnej



Profesorstwo Matylda i Kazimierz Szczudłowscy



doc. Matylda Szczudłowska, prof. Kazimierz Szczudłowski, dr Ryszard Badura



prof. Mieczysław Cena w swoim gabinecie



prof. Zygmunt Golonka w swoim gabinecie



prof. Zygmunt Golonka, mgr Ludwik Cetera, prof. Zygmunt Mi-
kołajczak, sekretarka Jadwiga Goszewska, prof. Zygmunt Kostuch,
w gabinecie prof. Zygmunta Golonki



prof. Zygmunt Hryncewicz, prof. Zygmunt Golonka



od lewej: prof. Stanisław Kowaliński, prof. Zygmunt Golonka,
prof. Włodzimierz Tyrnakiewicz



od lewej: prof. Stanisław Rojek, prof. Zygmunt Golonka, mgr Ludwik Cetera



prof. Czesław Wajdzik



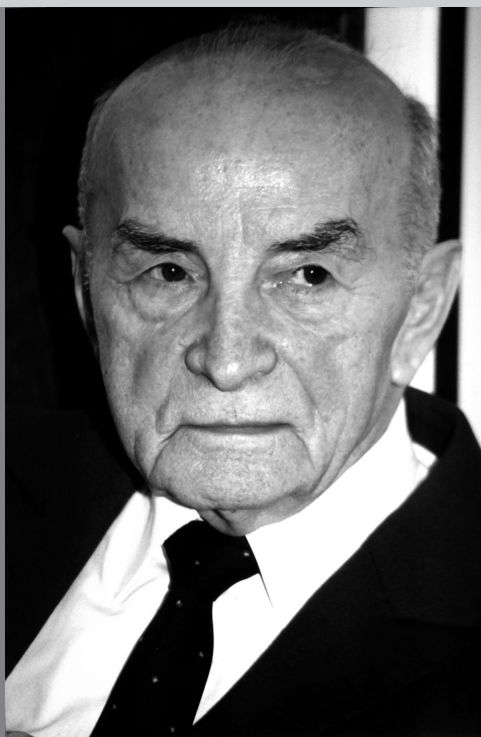
prof. Czesław Wajdzik z żoną



prof. Bogdan Kopeć



prof. Bogdan Kopec, prof. Jan Ludwiczak



prof. Tadeusz Garbuliński